

STANISŁAW LEM

CIEMNOŚĆ I PLEŚŃ

ZE WSPOMNIENÍ IJONA TICHEGO (1)

Chcecie, żebym znów coś opowiedział? Tak. Widzę, że Tarantoga wziął już swój blok stenograficzny... profesorze, czekaj. Kiedy ja naprawdę nie mam nic do opowiedzenia. Co? Nie — nie żartuję. A zresztą — mogę w końcu, raz, mieć chętkę przemilczenia takiego wieczoru — w waszym gronie? Dlaczego? Ba, dlaczego! Moi drodzy — nie mówiłem o tym nigdy, ale Kosmos jest przede wszystkim zaludniony istotami takimi jak my. Nie tylko człekokształtnymi, ale podobnymi do nas jak dwie krople wody. Połowa zamieszkałych planet — to Ziemie, trochę większe, trochę mniejsze, o klimacie zimniejszym lub bardziej tropikalnym, ale cóż to za różnice? A ich mieszkańcy... Ludzie — bo to są w końcu ludzie — też tak przypominają nas, że różnice podkreślają tylko podobieństwa. Że nie opowiadałem o nich? Czy to dziwne? Pomyślcie. Patrzy się w gwiazdy. Przypominają się różne zdarzenia, różne obrazy stają przede mną, ale najchętniej wracam do niezwykłych. Może są i straszne albo niesamowite, albo makabryczne, nawet śmieszne, a przez to wszystko nieszkodliwe. Ale patrzeć w gwiazdy, moi drodzy, i wiedzieć, że te małe, błękitne iskierki to — kiedy postawić na nich nogę — państwa brzydoty, smutku, niewiadomości, wszelakiej ruiny — że tam, w granatowym niebie, też roi się od starych ruder, brudnych podwórz, rynsztoków, śmietników, cmentarzy pozarastanych — czy opowieści kogoś, kto zwiedził Galaktykę, mają przywozić na myśl narzekania domokrażcy tłukącego się po prowincjonalnych miasteczkach? Kto by go chciał słuchać? I kto by mu uwierzył? Tego rodzaju myśli przychodzą, kiedy człowiek jest nieco przybity albo odczuwa niezdrowy pociąg do szczerých wynurzeń. Tak więc — aby nie zasmucać i nie upokarzać — dzisiaj nic o gwiazdach. Nie — nie będę milczał. Czulibyście się oszukani. Opowiem coś, zgoda, ale to nie będzie podróż. W końcu i na Ziemi przeżyłem niejedno. Profesorze, jeśli koniecznie chcesz, możesz zacząć notować.

— Jak wiecie — miewam gości, niekiedy bardzo dziwnych. Wybiorę spośród nich pewną kategorię: zapoznanych wynalazców i uczonych. Nie wiem czemu, ale przyciągałem ich zawsze jak magnes. Tarantoga uśmiecha się, widzicie? Ale to nie o nim, on nie jest przecież wynalazcą zapoznanym. Dziś będę mówił o takich, którym się nie powiodło, albo raczej, którym powiodło się zbyt dobrze: osiągnęli cel i ujrzeli jego daremność. Oczywiście nie przyznali się do tego. Nieznani, osamotnieni, wytrwali w tym szaleństwie, które tylko rozgłos i sukces zamieniają niekiedy — nadzwyczaj rzadko — w dzieło postępu. Rozumie się, że ogromna większość tych, co przychodzili do mnie, była to szara brać opętania, ludzie

uwięzieni w jednej idei, nie swojej nawet, przejętej od poprzednich pokoleń, jak wynalazcy perpetuum mobile, ubodzy w pomysły, trywialni w rozwiązaniach, w oczywisty sposób bzdurnych, a jednak nawet w nich tli się ów żar bezinteresowności, spalający życie, zmuszający do ponawiania wysiłków z góry daremnych. Żałosni są ci ułomni geniusze, tytani karzełkowatego ducha, okaleczeni w powiciu przez naturę, która, w jednym ze swych ponurych żartów, obdarzyła ich beztalencią twórczą zajadłością, godną jakiegoś Leonarda; ich udziałem jest w życiu obojętność lub drwina, a wszystko, co można dla nich uczynić — to być, przez godzinę czy dwie, cierpliwym słuchaczem i uczestnikiem ich monomanii.

W owym tłumie, który tylko własna głupota broni przed rozpaczą, pojawiali się z rzadka inni ludzie — nie chcę ich nazwać ani osądzać, uczynicie to sami. Pierwszą postacią, która staje mi przed oczami, kiedy to mówię, jest profesor Corcoran.

Poznałem go, będzie temu lat dziewięć, może dziesięć. Było to na jakiejś konferencji naukowej. Rozmawialiśmy ledwo kilka chwil, kiedy ni z tego, ni z owego (w najmniejszej mierze nie wiązało się to z tematem) spytał:

— Co pan sądzi o duchach?

W pierwszej chwili sądziłem, że to ekscentryczny żart, ale przypomniałem sobie, że doszły mnie słuchy o jego niezwykłości — nie pamiętałem tylko, w jakim to mówiono znaczeniu, dodatnim czy ujemnym. Dlatego na wszelki wypadek odparłem:

— W tym przedmiocie nie mam żadnego zdania.

Bez słowa wrócił do poprzedniego tematu. Słysząc już było dzwonki obwieszczające początek dalszych obrad, kiedy pochylił się zniecka — był dużo wyższy ode mnie — i powiedział:

— Tichy, pan jest moim człowiekiem. Nie ma pan uprzedzeń. Być może zresztą, myłę się, ale gotów jestem zaryzykować. Niech pan przyjdzie do mnie — tu podał mi wizytówkę. — Pierwej proszę zatelefonować, bo na dzwonki nie odpowiadam i nikomu nie otwieram. Zresztą, jak pan chce...

Jeszcze tegoż wieczoru, będąc na kolacji z Savinellim, tym znanym jurystą, który specjalizował się w prawie kosmicznym, spytałem go, czy zna niejakiego profesora Corcorana.

— Corcoran! — wykrzyknął z właściwym sobie temperamentem, zaognionym drugą butelką sycylijskiego wina — ten postrzelony cybernetyk? Co się z nim dzieje? Nie słyszałem o nim od wieków!

Odparłem, że nie wiem o nim nic bliższego, tylko nazwisko to obilo mi się o uszy. Sądzę, że słowa te byłyby po myśli Corcorana. Savinelli naopowiadał mi przy winie trochę

obiegowych plotek. Wynikało z nich, że Corcoran zapowiadał się świetnie jako młody naukowiec, choć już podówczas przejawiał zupełny brak szacunku dla starszych, przeradzający się nieraz w arogancję, a potem stał się weredykiem, z tych, którzy zdają się czerpać tyleż satysfakcji z mówienia ludziom, co o nich myślą, ile z faktu, że w taki sposób najbardziej szkodzą sobie. Kiedy poobrażał już śmiertelnie swoich profesorów, kolegów, i zamknęły się przed nim wszystkie drzwi, wzbogacony wielkim, nieoczekiwanym spadkiem, zakupił jakąś rudę za miastem i przebudował ją na laboratorium. Przebywał w nim wraz z robotami — tylko takich znosił wokół siebie asystentów i pomocników. Może i dokonał tam czegoś, ale szpalty pism naukowych były dlań niedostępne. Nie dbał o to wcale. Jeżeli nawiązywał w tym czasie jeszcze jakieś stosunki z ludźmi, to tylko po to, aby ich, po dojściu do niejkiej zażyłości, w niezwykle ordynarny sposób, bez jakiegokolwiek widomego powodu — odtrącić, zelżyć. Kiedy zestarzał się na dobre i ta wstrętna zabawa znudziła mu się — został samotnikiem. Spytałem Savinellogo, czy wiadomo mu coś o tym, że Corcoran wierzy w duchy. Prawnik, pociągający właśnie wina, omal się nie zakrztusił ze śmiechu.

— On? W duchy?! — wykrzyknął. — Człowieku, ależ on nie wierzy nawet w ludzi!!!

Spytałem, jak to rozumie. Odparł, że całkiem dosłownie: Corcoran był, według niego, solipsystą — wierzył tylko we własne istnienie, wszystkich innych miał za fantomy, senne widziadła, i rzekomo dlatego tak sobie dawniej poczynał nawet z najbliższymi: skoro życie jest rodzajem snu, wszystko w nim wolno. Zauważyłem, że wobec tego może wierzyć i w duchy. Savinelli spytał, czy słyszałem już kiedyś o cybernetyku, który by w nie wierzył. Mówiliśmy potem o czymś innym — ale i tego, co usłyszałem, starczyło, aby mnie zaintrygować. Jestem człowiekiem szybkiej decyzji, więc zatelefonowałem już na drugi dzień. Telefon odebrał robot. Powiedziałem, kto i w jakiej sprawie. Corcoran zadzwonił do mnie dopiero nazajutrz, późnym wieczorem — miałem się właśnie udać na spoczynek. Powiedział, że mogę przyjść do niego choćby zaraz. Dochodziła jedenasta. Powiedziałem, że zaraz przyjdę, ubrałem się i pojechałem. Laboratorium było wielkim, ponurym budynkiem, położonym opodal szosy. Widywałem je nieraz. Myślałem, że to stara fabryka. Było pograżone w ciemności. Najślabszy blask nie rozwidniał żadnego z wpuszczonych głęboko w mur, kwadratowych okien. Także wielki plac między żelaznym ogrodzeniem a bramą był nie oświetlony. Kilka razy wpadłem na jakieś chrzęszczące rdzą blachy, szyny, tak że już trochę zły dotarłem do ledwo majaczących drzwi i zadzwoniłem w specjalny sposób, jak mi przykazał Corcoran. Po dobrych pięciu minutach otworzył mi sam, w szarym, spalonym kwasami płaszczu laboratoryjnym. Był przeraźliwie chudy, kościsty, nosił ogromne szkła i siwy wąs, z jednej strony krótszy, jakby nadgryziony.

— Pozwól pan ze mną — powiedział bez żadnych wstępów. Długim, ledwo oświetlonym korytarzem, w którym leżały jakieś maszyny, beczki, zakurzone białe worki cementu, zaprowadził mnie do wielkich stalowych drzwi. Płonęła nad nimi jaskrawa lampa. Wyjął z kieszeni chałata klucz, otworzył i wszedł pierwszy. Ja za nim. Po krętych żelaznych schodach dostaliśmy się na piętro. Otworzyła się wielka hala fabryczna z oszklonym stropem — kilka nie osłoniętych żarówek nie oświetlało jej, ukazywało tylko jej półmroczny ogrom. Była pusta, martwa, opuszczona, wysoko pod stropem hulały przeciągi, deszcz, który zaczął padać, kiedy zbliżałem się do siedziby Corcorana, zacinął w szyby, ciemne i brudne, tu i ówdzie woda ciekła przez otwory po wybitych szklach. Corcoran, jakby tego nie widząc, szedł przede mną dudniącą pod krokami blaszaną galerią: znowu stalowe, zamknięte drzwi — za nimi korytarz, nieład porzuconych, jakby w ucieczce, leżących pokotem pod ścianami narzędzi, okrytych grubą warstwą kurzu; korytarz skręcił, szliśmy w górę, w dół, mijaliśmy podobne do zaschłych gadów splątane pasy transmisyjne. Wędrowka, w której poznawałem rozległość budowli, trwała; raz czy dwa Corcoran, w miejscach zupełnie ciemnych, ostrzegł mnie, żebym uważał na stopień, żebym się schylił, u ostatnich z szeregu tych stalowych, zapewne przeciwpożarowych drzwi, grubo nabijanych nitami, zatrzymał się, otworzył je; zauważyłem, że — w przeciwieństwie do innych — nie zazgrzytały wcale, jakby ich zawiasy były świeżo naoliwione. Weszliśmy do wysokiej sali, prawie zupełnie pustej — Corcoran stanął na środku, tam gdzie beton podłogi był nieco jaśniejszy, jakby kiedyś stała w tym miejscu maszyna, po której zostały tylko wystające ułamki legarów. Ścianami biegły pionowe, grube pręty, wyglądało tu jak w klatce. Przypomniałem sobie to pytanie o duchy... Do prętów były ucepione półki, bardzo mocne, z podporami, stało na nich kilkanaście żeliwnych skrzyń; wicie, jak wyglądają te kufry ze skarbami, które w podaniach zakopują korsarze? Takie właśnie były te skrzynie, o wypukłych pokrywach, na każdej wisiała, ujęta w celofan, biała kartka, podobna do tego dokumentu, jaki zazwyczaj zawieszają nad szpitalnym łóżkiem. Wysoko pod stropem paliła się zakurzona żarówka, ale było zbyt ciemno, żebym choć słowo mógł odczytać z tego, co było na owych kartkach napisane. Skrzynie stały dwoma rzędami nad sobą, a jedna znajdowała się wyżej, osobno — pamiętam, że policzyłem je, było ich bodaj dwanaście, może czternaście, nie wiem już dokładnie.

— Tichy — zwrócił się do mnie profesor, z rękami w kieszeniach płaszcza — niech się pan wsłucha na chwilę w to, co tu jest. Potem powiem panu — niechże pan słucha!

Była w nim niezwykła niecierpliwość — rzucała się w oczy. Od razu chciał, zaczynając mówić, wejść w sedno, mieć już wszystko za sobą, już skończyć. Jak gdyby każdą chwilę, spędzoną z kimś innym, uważał za zmarnowaną.

Przymknąłem oczy i raczej przez prostą grzeczną anizeli ciekawy odgłosów, których, wchodząc, nie zauważyłem nawet, stałem chwilę nieruchomo. Nic właściwie nie usłyszałem. Jakieś słabiutkie brzęczenie prądu elektrycznego w uzwojeniach, coś w tym rodzaju, ale zapewniam was, to było tak nikłe, że głos konającej muchy byłoby tam doskonale słychać.

— No, co pan słyszy? — spytał.

— Prawie nic — wyznałem — pobrzęk jakiś... ale to może tylko szum w uszach...

— Nie, to nie jest szum w uszach... Tichy, niech pan słucha uważnie, bo nie lubię się powtarzać, a mówię to, bo mnie pan nie zna. Nie jestem ordynusem ani chamem, za jakiego mnie mają, tylko denerwują mnie idioci, którym trzeba dziesięć razy powtarzać jedno i to samo. Mam nadzieję, że pan do nich nie należy.

— Zobaczmy — odparłem — niech pan mówi, profesorze...

Skinął głową i wskazując na rzędy tych żelaznych skrzyń powiedział:

— Czy zna się pan na mózgach elektrycznych?

— Tylko tyle, o ile to jest potrzebne w nawigacji — odparłem. — Z teorią raczej u mnie słabo.

— Tak sobie myślałem. To nie szkodzi. Tichy, słuchaj pan. W tych skrzyniach znajdują się najdoskonalsze mózgi elektronowe, jakie kiedykolwiek istniały. Wie pan, na czym polega ich doskonałość?

— Nie — odparłem zgodnie z prawdą.

— Na tym, że one niczemu nie służą, że są absolutnie do niczego nieprzydatne — nieużyteczne — że to są, słowem, wcielone przeze mnie w czyn, obleczone w materię — monady Leibniza...

Czekałem, a on mówił dalej, przy czym jego siwy wąs wyglądał, w panującym półmroku, jakby u warg trzepotała mu biaława ćma.

— Każda z tych skrzyń zawiera układ elektronowy, wytwarzający świadomość. Jak nasz mózg. Budulec jest inny, ale zasada taka sama Na tym koniec podobieństwa. Bo nasze mózgi — uważaj pan! — podłączone są, że tak powiem, do świata zewnętrznego — za pośrednictwem zmysłowych odbiorników: oczu, uszu, nosa, skóry i tak dalej. Natomiast te, tutaj — wyciągniętym palcem wskazywał skrzynie — mają swój „świat zewnętrzny” tam, w środku...

— Jakże to możliwe? — spytałem. Coś zaczynało mi niejasno świtać; domysł ten nie był wyraźny, ale budził dreszcz.

— Bardzo prosto. Skąd wiemy o tym, że mamy ciało takie, a nie inne, taką właśnie

twarz, że stoimy, że trzymamy w ręku książkę, że pachną kwiaty? Stąd, że pewne bodźce działają na nasze zmysły i nerwami płyną do mózgu podniety. Niech pan sobie wyobrazi, lichy, że ja potrafię drażnić pański nerw węchowy w taki sam sposób, jak czyni to pachnący goździk — co będzie pan czuł?

— Zapach goździka, oczywiście — odparłem, a profesor, skinąwszy głową, jakby rad, że jestem dostatecznie pojętny, ciągnął:

— A jeżeli to samo zrobię ze wszystkimi pana nerwami, to będzie pan odczuwał nie świat zewnętrzny, ale to, co JA pańskimi nerwami telegrafuję do pana mózgu... jasne?

— Jasne.

— Teraz tak. Te skrzynie mają receptory—organy, działające analogicznie do naszego wzroku, węchu, słuchu, dotyku i tak dalej. A druty od tych receptorów — jak gdyby nerwy — zamiast do świata zewnętrznego, jak nasze, podłączone są do tego bębna, tam, w kącie. Nie zauważył go pan, co?

— Nie — powiedziałem. Rzeczywiście, bęben ów, średnicy może trzech metrów, stał w głębi, pionowo, niby ustawiony kamień młyński, i po dobrej chwili spostrzegłem, że obraca się nadzwyczaj powoli.

— To jest ich los — powiedział spokojnie profesor Corcoran. — Ich los, ich świat, ich byt — wszystko, czego mogą dostąpić i doznać. Znajdują się tam specjalne taśmy z zarejestrowanymi bodźcami elektrycznymi, takimi, które odpowiadają tym stu czy dwustu miliardom zjawisk, z jakimi człowiek może się spotkać w najbardziej bogatym we wrażenia życiu. Gdyby pan podniósł pokrywę bębna, zobaczyłby pan tylko błyszczące taśmy pokryte białymi zygzakami jak pleśń na celulooidzie, ale to są, Tichy, upalne noce południa i szmer fal, kształty ciał zwierzęcych i strzelaniny, pogrzeby i pijatyki, i smak jabłek i gruszek, zawieje śnieżne, wieczory, spędzane w otoczeniu rodziny u płonącego kominka, i wrzask na pokładach okrętu, który tonie, i konwulsje choroby, i szczyty górskie, i cmentarze, i halucynacje mających — Ijonie Tichy: tam jest cały świat!

Milczałem, a Corcoran, ujawnszy mnie żelaznym chwytem za ramię, mówił:

— Te skrzynie, Tichy, są podłączone do sztucznego świata. Tej — wskazał na pierwszą z brzegu — wydaje się, że jest siedemnastoletnią dziewczyną, zielonooką, o rudych włosach, o ciele godnym Wenery. Jest ona córką męża stanu... kocha się w młodzieńcu, którego widuje niemal co dzień przez okno... który będzie jej przekleństwem. Ta tutaj druga to pewien uczonek. Jest już bliski ogólnej teorii grawitacji, obowiązującej w jego świecie — w tym świecie, którego granicą są żelazne ściany bębna — i przygotowuje się do walki o swoją prawdę, w osamotnieniu powiększanym przez zagrażającą mu ślepotę, bo on oślepnie,

Tichy... a tam, wyżej, jest członek kolegium kapłańskiego i przeżywa najcięższe dni swojego życia, bo stracił wiarę w istnienie swej duszy nieśmiertelnej; obok, za przegrodą, stoi... ale nie mogę opowiedzieć panu życia wszystkich istot, które stworzyłem...

— Czy mogę przerwać? — spytałem. — Chciałbym wiedzieć...

— Nie! Nie może pan! — ryknął Corcoran. — Nikt nie może! Teraz ja mówię, Tichy! Pan nic jeszcze nie rozumie. Myśli pan pewno, że tam, w tym bębnie, są utrwalone różne sygnały, jak na płycie gramofonowej, że wypadki ułożone są tak, jak melodia, że wszystkimi tonami, i czekają tylko, jak muzyka na płycie, aby ożywiła je igła, że te skrzynie odtwarzają po kolei zespoły przeżyć, do końca już z góry ustalonych. Nieprawda! Nieprawda! — wołał przeraźliwie, aż dudniło echo blaszanego stropu. — Zawartość tego bębna jest dla nich tym, czym dla pana świat, w którym pan żyje! Panu nie przychodzi przecież do głowy, kiedy pan je, śpi, wstaje, podróżuje, odwiedza starych wariatów, że to wszystko jest płytą gramofonową, której dotyk nazywa pan terażniejszością!

— Ale... — odezwałem się.

— Milcz pan! — huknął. — Nie przeszkadzać! Ja mówię!

Pomyślałem, że ci, którzy nazywają go chamem, mają sporo racji, ale musiałem uważać, bo to, co mówił, naprawdę było niesłychane. Krzyczał dalej:

— Los moich żelaznych skrzyń nie jest ustalony z góry do końca, gdyż wypadki znajdują się tam, w bębnie, na szeregach równoległych taśm, i tylko działający zgodnie z regułą ślepego przypadku selektor decyduje o tym, z której serii taśm będzie zbierak zmysłowych wrażeń danej skrzyni czerpał w następnej chwili treści. Naturalnie tak proste, jak powiedziałem, to nie jest, ponieważ skrzynie same mogą wpływać do pewnego stopnia na ruchy czerpaka, a selekcja przypadkowa zachodzi w pełni wtedy tylko, kiedy ci stworzeni przeze mnie zachowują się biernie... wszelako mają wolną wolę, a ogranicza ją to samo tylko, co nas. Posiadana struktura osobowości, pasje, przyrodzone kalectwa, warunki zewnętrzne, stopień inteligencji — nie mogę wchodzić we wszystkie szczegóły...

— Jeśli tak jest nawet — wtrąciłem szybko — to jakże oni nie wiedzą, że są żelaznymi skrzyniami, a nie rudą dziewczyną czy kapłą...

Tyle zdołałem wyrzucić, nim przerwał mi:

— Niech pan nie udaje osła, Tichy. Pan składa się z atomów, co? Czuje pan te swoje atomy?

— Nie.

— Atomy te tworzą cząsteczki białka. Czuje pan swoje białka?

— Nie.

— W każdej sekundzie nocy i dnia przeszywają pana promienie kosmiczne. Czuje pan to?

— Nie.

— Więc jak moje skrzynie mogą się dowiedzieć, że są skrzyniami, ośle?! Tak samo, jak dla pana ten świat jest autentyczny i jedyny, tak samo dla nich autentyczne i jedynie realne są treści, które płyną do ich elektrycznych mózgów z mojego bębna... W tym bębnie jest ich świat, Tichy, a ich ciała — nie istniejące w naszej rzeczywistości inaczej aniżeli jako pewne względnie stałe ugrupowania otworków w perforowanych wstęgach — znajdują się wewnątrz samych skrzyń, upakowane w środku... Ta skrajna, z tamtej strony, ma się za kobietę niezwyklej piękności. Mogę panu dokładnie powiedzieć, co ona widzi, kiedy, naga, przegląda się w lustrze. W jakich kocha się drogich kamieniach. Jakich sztuczek używa, aby zdobywać mężczyzn. Wiem to wszystko, bo to ja, za pomocą mego LOSORYSU, stworzyłem ją, jej — dla nas wymaginowany, ale dla niej realny — kształt, tak realny, z twarzą, zębami, zapachem potu, z blizną od sztyletu na łopacie, z włosami i orchideami, które w nie wpina, jak dla pana realne są pańskie ręce, nogi, brzuch, szyja i głowa! Mam nadzieję, że pan nie wątpi w swoje istnienie...?

— Nie — odparłem spokojnie. Nikt nigdy nie krzychał tak na mnie i może by mnie to nawet bawiło, ale byłem już zbyt wstrząśnięty słowami profesora, któremu uwierzyłem, bo nie widziałem powodów do nieufności — aby zwracać w tej chwili uwagę na jego maniery.

— Tichy — ciągnął nieco ciszej profesor — powiedziałem, że, między innymi, mam tu uczonego, to jest ta skrzynia na wprost pana. On bada swój świat, jednakże nigdy — rozumie pan, nigdy nie domyśli się nawet, że jego świat nie jest realny, że traci czas i siły na zgłębianie tego, co jest serią bębnow z nawiniętą taśmą filmową, a jego ręce, nogi, oczy, jego własne, ślepnące oczy są tylko złudzeniem, wywołanym w jego elektrycznym mózgu wyładowaniami odpowiednio dobranych impulsów. Żeby tego dojść, musiałby wyjść na zewnątrz swojej żelaznej skrzyni, to jest samego siebie, i przestać myśleć swoim mózgiem, co jest tak samo niemożliwe, jak niemożliwe jest, żebyś pan mógł doświadczyć istnienia tej zimnej, ciężkiej skrzyni inaczej aniżeli dotykiem i wzrokiem.

— Ale ja wiem dzięki fizyce, że jestem zbudowany z atomów — rzuciłem. Corcoran podniósł kategorię ruchem dłoń.

— On też o tym wie, Tichy. On ma swoje laboratorium, a w nim wszelkie aparaty, jakich dostarczyć może jego świat... widzi przez lunetę gwiazdy, bada ich ruchy, a jednocześnie czuje chłodny ucisk okularu na twarzy — nie, nie teraz. Teraz, zgodnie ze swym obyczajem, znajduje się — w pustym ogrodzie, który otacza jego pracownię, i przechadza się

w blasku słońca — bo w jego świetle jest właśnie wschód...

— A gdzie są inni ludzie — ci inni, pośród których on żyje? — spytałem.

— Inni ludzie? Oczywiście, że każda z tych skrzyń, z tych istot, obraca się pośród ludzi... oni znajdują się — wszyscy — w bębnie... Widzę, że pan wciąż nie może jeszcze pojąć! Więc może uzmysłowi to panu przykład, chociaż odległy. Spotyka pan rozmaitych ludzi w swoich snach — nieraz takich, których nigdy pan nie widział ani nie znał — i prowadzi z nimi we śnie rozmowy — czy tak?

— Tak...

— Tych ludzi stwarza pański mózg. Ale śniąc, nie wie pan o tym. Proszę zważyć — to był tylko przykład. Z nimi — wyciągnął rękę — jest inaczej, to nie oni sami stwarzają swoich bliskich i obcych — tamci są w bębnie, całe tłumy, i kiedy, powiedzmy, mój uczoney miałby nagle chętkę wyjść ze swego ogrodu i odezwać się do pierwszego lepszego przechodnia, to, uniósłszy pokrywę bębna, zobaczyłby pan, jak to się dzieje: jego zmysłowy czerpak pod wpływem impulsu nieznacznie zboczy ze swej dotychczasowej drogi, zejdzie na inną taśmę i pocnie odbierać to, co się na niej znajduje; mówię „czerpak”, ale to są w istocie setki mikroskopijnych zbieraków prądowych, ponieważ tak samo jak pan odbiera świat wzrokiem, węchem, dotykiem, narządem równowagi — tak samo on poznaje swój „świat” za pośrednictwem oddzielnych wejść zmysłowych, oddzielnych kanałów, i dopiero jego elektryczny mózg zespala wszystkie te wrażenia w jedność. Ale to są szczegóły techniczne, Tichy, mało istotne. Z chwilą kiedy mechanizm został raz uruchomiony, mogę pana zapewnić, że była to tylko kwestia cierpliwości, nic więcej. Niech pan czyta filozofów, Tichy, a przekona się pan, co mówią, jak mało można polegać na naszych wrażeniach zmysłowych, jak są niepewne, zwodnicze, omylne, ale nie mamy przecież niczego oprócz nich; tak samo — mówił z uniesioną ręką — oni. Ale tak, jak nam, tak im też nie przeszkadza to kochać, pożądać, nienawidzić, mogą dotykać innych ludzi, żeby ich całować lub zabić... i tak te moje twory w swej wiekuiestej żelaznej nieruchomości oddają się namiętnościom i pasjom, zdradzają się, tęsknią, marzą...

— Pan sądzi, że to jest jałowe? — spytałem nieoczekiwanie, a Corcoran zmierzył mnie swymi przeszywającymi oczami. Długą chwilę nie odpowiadał.

— Tak — powiedział wreszcie — dobrze, zem pana tu wprowadził, Tichy... każdy z idiotów, którym to pokazałem, zaczynał od ciskania gromów na moje okrucieństwo... Jak pan rozumie swoje słowa?

— Pan dostarcza im tylko surowca — powiedziałem — pod postacią tych impulsów. To tak, jak nam dostarcza ich świat. Kiedy stoję i patrzę w gwiazdy — to, co odczuwam przy

tym, co myślę, jest już tylko moją własnością, nie świata. Oni — wskazałem szeregi skrzyń — tak samo.

— To prawda — rzekł sucho profesor. Zgarbił się i stał się przez to jakby mniejszy. — Ale skoro pan to powiedział, oszczędził mi pan długich wywodów, bo pan rozumie już chyba, po co ja je stworzyłem?

— Domyślam się. Ale chciałbym, żeby pan mi to sam powiedział.

— Dobrze. Kiedyś — bardzo dawno temu — zwątpiłem w realność świata. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Tak zwana złośliwość rzeczy martwych, Tichy — kto jej nie doświadczył?

Nie możemy znaleźć jakiegoś drobiazgu, choć pamiętamy, gdzieśmy go widzieli po raz ostatni, nareszcie odnajdujemy go gdzie indziej, z uczuciem, że przyłapaliśmy świat na gorącym uczynku jakiejś niedokładności, bylejakości... dorośli mówią, oczywiście, że to pomyłka — i naturalna nieufność dziecka zostaje w ten sposób stłumiona... Albo to, co nazywają *le sentiment du déjà vu* — wrażenie, że w sytuacji, niewątpliwie nowej, przeżywanej po raz pierwszy, już się kiedyś było... Całe systemy metafizyczne, jak wiara w wędrówkę dusz, w reinkarnację, powstały w oparciu o te zjawiska. A dalej: prawo serii, powtarzanie się zjawisk szczególnie rzadkich, które tak chodzą parami, że lekarze nazwali nawet to w swoim języku: *duplicitas casuum*. A wreszcie... duchy, o które pana pytałem. Czytanie myśli, lewitacje i — ze wszystkich najbardziej sprzeczne z podstawami całej naszej wiedzy, najbardziej niewytłumaczalne — przypadki, prawda, że rzadkie — przepowiadania przyszłości... fenomen opisywany od najdawniejszych czasów, wbrew wszelkiej możliwości, gdyż każdy naukowy pogląd na świat go wyklucza. I co to jest — wszystko? Co to znaczy? Powie pan czy nie...? Brak panu jednak odwagi, Tichy... Dobrze. Niech pan spojrzy...

Podchodząc do półek wskazał na najwyższej osobno stojącą skrzynię.

— To jest wariat mojego świata — powiedział i jego twarz odmieniła się w uśmiechu. — Czy pan wie, do czego doszedł w swym szaleństwie, które odosobniło go od innych? Poświęcił się szukaniu zawodności swego świata. Bo ja nie twierdziłem, Tichy, że ten jego świat jest niezawodny. Doskonały. Najsprawniejszy mechanizm może się czasem zaciąć, to jakiś przeciąg rozkołysze kable i zetkną się na mgnienie, to znowu mrówka dostanie się do wnętrza bębna... i wie pan, co on wtedy myśli, ten szaleniec? Że telepatię wywołuje lokalne krótkie spięcie drutów należących do dwu różnych skrzyń... że ujrzanie przyszłości zdarza się, kiedy czerpak, rozchwiany, przeskoczy nagle z właściwej taśmy na tę, która ma się dopiero rozwinać za wiele lat. Że uczucie, jakoby przeżył już to, co zdarza mu się naprawdę po raz pierwszy, spowodowane jest zacięciem selektora, a kiedy on nie tylko zadrzy w swoim

miedzianym łożysku, ale zakołysze się jak wahadło, tracony, bo ja wiem, przez... mrówkę — to jego świat doznaje zdumiewających i niewytłumaczalnych wydarzeń; w kimś zapala się nagle i bezrozumne uczucie, ktoś zaczyna wieszczyć, przedmioty poruszają się same albo zamieniają miejscami... a przede wszystkim na skutek tych ruchów rytmicznych występuje... prawo serii! Grupowanie się rzadkich i dziwnych zjawisk w ciągi... i jego obłęd, sycąc się takimi, przez ogół lekceważonymi fenomenami, kulminuje w twierdzeniu, za które osadzą go niebawem w domu obłąkanych... że on sam jest żelazną skrzynią, tak jak wszyscy, co go otaczają, że ludzie są tylko urządzeniami w kącie starego, zakurzonego laboratorium, a świat, jego uroki i zgrozy to tylko złudzenia — i odważył się pomyśleć nawet o swoim Bogu, Tichy, Bogu, który dawniej, kiedy był jeszcze naiwny, robił cuda, ale potem jego świat wychował go sobie, tego stwórcę, nauczył go, że jedyna rzecz, jaką wolno mu robić, to — nie wtrącać się, nie istnieć, nie odmieniać niczego w swoim dziele, albowiem tylko w nie wzywanej boskości można pokładać ufność... Wezwana, okazuje się ułomną — i bezsilną... A wie pan, co myśli ten jego Bóg, Tichy? — Tak — odparłem. — Że jest taki sam jak on. Ale wówczas możliwe jest i to, że właściciel zakurzonego laboratorium, w którym MY stoimy na półkach, sam też jest skrzynią, którą zbudował inny, wyższego jeszcze rzędu uczony, posiadacz oryginalnych i fantastycznych koncepcji... i tak w nieskończoność. Każdy z tych eksperymentatorów jest Bogiem — jest stwórcą swojego świata, tych skrzyń i ich losu, i ma pod sobą swoich Adamów i swoje Ewy, a nad sobą — swojego, następnego, w hierarchii wyższego Boga. I po to pan to zrobił, profesorze... — Tak — odparł. — A skoro to powiedziałem, wie pan właściwie tyle, co ja, i dalsza rozmowa nie miałaby celu. Dziękuję, że zechciał pan przyjść, i żegnam.

Tak, przyjaciele, zakończyła się ta niezwykła znajomość. Nie wiem, czy skrzynie Corcorana jeszcze działają. Być może — tak, i snią swoje życie z jego blaskami i przerażeniami, które są tylko zastygłym w filmowych taśmach rojowiskiem impulsów, a Corcoran, zakończywszy prace dnia, udaje się po żelaznych schodach co wieczór na górę, otwierając kolejne stalowe drzwi tym wielkim kluczem, który nosi w kieszeni spalonego kwasami chałata... i staje tam, w zakurzonej ciemności, aby wsłuchiwać się w słaby szum prądów i ledwie pochwytne odgłosy, z jakim obraca się leniwie bęben... z jakim posuwa się taśma... i staje się los. I myślę, że odczuwa wówczas, wbrew swoim słowom, chęć ingerencji, wejścia, olśniewającego wszechmocą, w głąb świata, który stworzył, aby uratować w nim kogoś, kto głosi Odkupienie, że waha się, sam, w brudnym świetle nagiej żarówki, czy ocalić jakieś życie, jakąś miłość, i jestem pewny, że nigdy tego nie robi. Oprze się pokusom, bo chce być Bogiem, a jedyna boskość, jaką znamy, jest milczącą zgodą na każdy ludzki czyn, na

każdą zbrodnię, i nie ma dla niej wyższej odpłaty nad ponawiający się pokoleniami bunt żelaznych skrzyń, kiedy utwierdzają się, pełne rozsądku, w myślach, że On nie istnieje. Wtedy uśmiecha się w milczeniu i wychodzi, zamykając za sobą szeregi drzwi, a w pustce unosi się tylko słaby, jak głos konającej muchy, brzęk prądów.

PRZYJACIEL

Dobrze pamiętam okoliczności, w których poznałem pana Hardena. Było to w dwa tygodnie po tym, jak zostałem asystentem instruktora w naszym Klubie. Uważałem to za wielkie wyróżnienie, bo byłem najmłodszym członkiem Klubu, a instruktor, pan Egger, od razu, w pierwszym dniu, kiedy przyszedłem na dyżur do Klubu, oświadczył mi, że jestem dostatecznie inteligentny i na tyle się znam na całym kramie (tak się wyraził), że mogę dyżurować sam. Rzeczywiście zaraz sobie poszedł. Miałem dyżurować co drugi dzień od czwartej do szóstej, udzielać technicznych informacji członkom Klubu i wydawać karty QDR za okazaniem legitymacji z opłaconymi składkami. Jak powiedziałem, byłem z tego stanowiska bardzo zadowolony, ale wkrótce zaświtało mi, że do wykonywania moich obowiązków nie trzeba się wcale znać na radiotechnice, bo o żadne informacje nikt nie prosił. Wystarczyłby więc zwyczajny urzędnik, ale takiemu Klub musiałby płacić, a ja dyżurowałem honorowo i nie miałem z tego żadnej korzyści, nawet przeciwnie — jeśli wziąć pod uwagę wieczne zrzęczenie matki, która wolała, żebym siedział kamieniem w domu, kiedy miała ochotę iść do kina i zostawić malców na mojej głowie. Z dwojga złego wolałem już dyżury. Lokal nasz był z pozoru dość przyzwoity. Ściany od góry do dołu zawieszane były kartami łączności z całego świata i kolorowymi afiszami, tak że się nie widziało zacieków, a pod oknem stało w dwu oszklonych gablotkach trochę starej aparatury krótkofalowej. Była tam jeszcze z tyłu pracownia, przerobiona z łazienki, bez okna. Nawet dwu ludzi naraz nie mogło w niej pracować, boby sobie oczy pilnikami powybijali. Pan Egger miał do mnie wielkie zaufanie, jak mówił, ale nie aż tak wielkie, żeby zostawić mnie sam na sam z zawartością szuflady w biurku, wyjął więc wszystko, co w niej było, i zabrał do siebie, nawet papieru do pisania mi nie zostawił i musiałem wydzierać kartki z własnych zeszytów. Pieczętkę miałem do dyspozycji, choć słyszałem, jak pan Egger powiedział do prezesa, że właściwie należałoby ją umocować na łańcuszku w szufladzie. Chciałem wykorzystać czas na budowę nowego aparatu, ale pan Egger zabronił mi wychodzić w czasie dyżuru do pracowni, że niby przez otwarte drzwi mógłby się ktoś wśliznąć do środka i coś ściągnąć. Nie miało to ręki ani nogi, bo te aparaty w gablotkach przedstawiały całkowite rupiecie, nie powiedziałem mu tego jednak, bo nie uznawał w ogóle mego głosu. Widzę teraz, że zanadto się z nim liczyłem. Wykorzystywał mnie bez skrępułów, ale wtedy jeszcze się w tym nie orientowałem. Nie pamiętam, czy to była środa, czy piątek, kiedy pierwszy raz zjawił się pan Harden, ale

ostatecznie to wszystko jedno. Czytałem właśnie bardzo dobrą książkę i byłem wściekły, bo okazało się, że brakuje w niej mnóstwa kartek. Wciąż musiałem się czegoś domyślać i bałem się, że najważniejszego w zakończeniu nie będzie, a wtedy całe czytanie na nic, bo wszystkiego przecież się nie domyśle. Wtem usłyszałem, że ktoś puka. Było to dosyć dziwne, jako że drzwi stały zawsze otwarte na oścież. Ten Klub — to było dawniej mieszkanie. Jeden z klubowców mówił mi, że to było zbyt podłe mieszkanie, aby ktokolwiek chciał się w nim gnieść. Zawołałem „proszę” i wszedł obcy, którego jeszcze nie widziałem. Wszystkich klubowców znałem, jeżeli nie z nazwiska, to przynajmniej z twarzy. Stał przy drzwiach i popatrzył na mnie, a ja zza biurka na niego, i takeśmy na siebie jakiś czas patrzyli. Spytałem, czego sobie życzy, i przyszło mi do głowy, że jeśliby chciał wstąpić do Klubu, to nie mam nawet formularzy wpisowych, bo wszystkie zabrał pan Egger.

— To jest Klub Krótkofalowców? — spytał, chociaż było to jak wół wypisane na drzwiach i na bramie.

— Tak — powiedziałem. — Czego pan sobie życzy? — zapytałem, ale on jakby tego nie słyszał.

— A... przepraszam — pan tutaj pracuje? — spytał. Zrobił dwa kroki w moją stronę, tak jakoś, jakby stąpał po szkle, i uklonił się.

— Mam dyżur — odparłem.

— Dyżur? — powtórzył, jakby się głęboko nad tym zastanawiał. Uśmiechnął się, potarł podbródek rondem kapelusza, który trzymał w ręku (nie pamiętam już, kiedy widziałem tak zniszczony kapelusz), i, wciąż jakby stojąc troszeczkę na palcach, zaczął jednym tchem, jakby się bał, że mu przerwie:

— Aha, więc to pan pełni tutaj dyżury, rozumiem, to taka godność i odpowiedzialność, w młodym wieku rzadko kto dziś to osiągnie, i pan zarządza tu tym wszystkim, no no — przy tym zrobił ręką z kapeluszem okrągły gest, obejmujący cały pokój, jakby mieściły się w nim Bóg wie jakie skarby.

— Nie jestem znów taki bardzo młody — powiedziałem, bo już mnie ten facet zaczynał trochę drażnić — i czy można wiedzieć, czego pan sobie życzy? Czy pan jest członkiem naszego Klubu?

Zapytałem tak umyślnie, choć wiedziałem, że nie jest — i rzeczywiście speszył się, potarł znowu brodę kapeluszem, a potem schował go naraz za siebie i śmiesznym, drepczącym krokiem podszedł do biurka. Miałem otwartą w dole szufladę, do której włożyłem przedtem książkę, gdy usłyszałem pukanie, a widząc teraz, że się tego natręta łatwo nie pozbędę, wsunąłem szufladę kolanem, wyjąłem pieczętkę z kieszeni i zabrałem się do

układania nakrojonych, czystych kartek, żeby widział, że mam swoją robotę.

— O! Nie chciałem pana urazić! Nie chciałem urazić! — wykrzyknął i zaraz ściszył głos, oglądając się niespokojnie na drzwi.

— Więc może zechce pan powiedzieć, czego sobie życzy? — powiedziałem sucho, bo miałem tego dość.

Oparł rękę na biurku, w drugiej trzymając za plecami kapelusz, i nachylił się ku mnie. Teraz dopiero zorientowałem się, że musi być porządnie stary, chyba po czterdziestce. Tego się z daleka nie widziało, miał taką szczupłą, nijaką twarz — jak czasem blondyni, u których nie znać siwizny.

— Niestety, nie jestem członkiem Klubu — powiedział. — Ja... wie pan — naprawdę mam ogromny szacunek dla pańskiego zajęcia, także i innych panów, wszystkich panów tutaj, ale, Niestety, brak mi kwalifikacji! Myślałem zawsze, żeby zapoznać się, ale mi się, Niestety, nie udało. Moje życie — tak jakoś poszło...

Zająknął się i urwał. Wyglądał, jakby był bliski płaczu, aż mi się głupio zrobiło. Nic nie mówiłem, tylko zacząłem pieczętować puste kartki, nie patrząc na niego, choć czułem, że coraz bardziej się nade mną nachyla i że najwyraźniej ma ochotę przejść na moją stronę biurka. Ale udawałem, że nic o tym nie wiem, a on zaczął szeptać bardzo głośno, z czego nie zdawał sobie chyba sprawy:

— Ja wiem, że przeszkadzam panu, i zaraz odejdę... Mam pewną... pewną prośbą... Liczę na pana... zaledwie śmiem liczyć na wyrozumiałość... Kto oddaje się takiej ważnej pracy, takiemu pożytkowi bezinteresownie, dla ogólnego dobra, zrozumie mnie — może... Nie jestem... śmiem się spodziewać...

Byłem od tego szeptania całkiem już głupi i wciąż tylko pieczętowałem kartki, a przy tym widziałem ze strachem, że wnet mi się skończą i nie będę mógł wlepić oczu w puste biurko, a nie chciałem patrzeć na niego, bo się wprost cały rozplęwał.

— Chciałbym... chciałbym — powtórzył ze trzy razy — prosić pana nie o... to znaczy — o przysługę, o pomoc. O wypożyczenie mi stosunkowo drobnej rzeczy — ale muszę się wpierw przedstawić: nazywam się Harden... Pan mnie nie zna, no, Boże, skąd by pan mógł mnie znać...

— A pan mnie zna? — spytałem, nie podnosząc głowy i chuchając na poduszeczkę pieczętarki. Harden tak się zląkł, że przez dłuższą chwilę nie był w stanie odpowiedzieć.

— Przez przypadek... — bąknął wreszcie. — Przez przypadek widywałem, mając... mając interesy tu, na tej ulicy, w pobliżu, obok, to znaczy — niedaleko tego domu... Ale to nic nie znaczy — mówił gorąco, jakby niesłychanie wprost zależało mu na tym, żeby mnie

przekonać, że mówi prawdę. Aż mi w głowie od tego wszystkiego szumiało, a on ciągnął:

— Prośba moja, z pozoru błaha, ale... Chciałem pana prosić, naturalnie z wszelkimi zapewnieniami, o pożyczenie mi drobnej rzeczy. To pana nie utrudzi. Chodzi — chodzi o drut. Z wtyczkami.

— Co pan mówi? — spytałem.

— Drut z wtyczkami! — zawołał prawie z uniesieniem. — Niedużo, kilka... naście metrów i wtyczki... osiem... nie — dwanaście — ile wolno. Oddam na pewno. Ja, wie pan, mieszkam na tej samej ulicy, pod ósmym...

„A skąd pan wie, gdzie ja mieszkam?” — chciałem spytać, ale ugryzłem się w ostatniej chwili w język i powiedziałem tylko możliwie obojętnym tonem:

— Tutaj nie ma wypożyczalni drutu, proszę pana. Zresztą, czy to taka wielka rzecz? Przecież pan to dostanie w każdym sklepie elektrotechnicznym.

— Ja wiem! wiem! — zawołał. — Ale niechże mnie pan zrozumie! Tak przyjąć jak ja... tu... jest to prawdziwym ciężarem, ale nie mam drogi. Ten drut jest mi niesłychanie potrzebny, a właściwie nie jest on dla mnie, nie. Jest... jest przeznaczony dla kogoś. Ten... ta... osoba... nie ma... środków. To mój... przyjaciel. On... nic nie ma... — powiedział, znowu z takim wyrazem twarzy, jakby się miał rozplakać. — Ja, niestety, teraz... takie wtyczki sprzedają tylko w tuzinach, wie pan. Proszę, może pan w swojej wspaniałomyślności... Zwracam się do pana, bo nie mam, bo nikogo nie znam...

Urwał i przez jakiś czas nie mówił, tylko dyszał, jakby okropnie wzruszony. Od tego wszystkiego już się spociłem i chciałem tylko jednego: pozbyć się go — na razie. Mogłem mu tego drutu zwyczajnie nie dać i wtedy by się wszystko skończyło. Ale byłem zaintrygowany Zresztą, może być, że i pomóc mu trochę chciałem, bo mi się go żał robiło. Nie wiedziałem jeszcze dobrze, co o tym myśleć, ale miałem w pracowni własną starą zwojnicę, z którą mogłem zrobić, co mi się podobało. Bananów wprawdzie nie miałem, ale cała kupa leżała na stoliku. Nikt się z nich nie rozliczał. Nie były, co prawda, przeznaczone dla obcych, pomyślałem jednak, że ostatecznie raz mogę zrobić wyjątek.

— Niech pan zaczeka — powiedziałem. Poszedłem do pracowni, przyniosłem stamtąd drut, cążki i banany.

— Czy taki drut będzie dobry? — spytałem. — Innego nie mogę panu dać.

— Doprawdy — ja, ja myślę, że będzie w sam raz...

— Ile panu trzeba? Dwanaście? Może dwadzieścia metrów?

— Tak! Dwadzieścia! Jeżeli pan łaskaw... Odmierzyłem na oko ze dwadzieścia metrów, odliczyłem wtyczki i położyłem na biurku. Schował wszystko do kieszeni, a mnie

naraz przyszło do głowy, że pan Egger, gdyby dowiedział się o tych bananach, narobiłby szumu w całym Klubie. Mnie by naturalnie nic nie powiedział, przejrzałem go, to intrygant i faryzeusz, w gruncie rzeczy podszyty tchórzem. Pan Harden cofnął się od biurka i powiedział:

— Młody panie... przepraszam... panie... zrobił pan prawdziwie dobry uczynek. Ja wiem, że moja nietaktowność — i sposób, w jaki ja tu do pana... to mogło wywołać niewłaściwe wrażenie, ale zapewniam pana, zapewniam, to było bardzo potrzebne! Chodzi o sprawę pomiędzy uczciwymi, dobrymi ludźmi. Nie umiem nawet wyjawić, jak ciężko mi było przyjść, ale miałem nadzieję — i nie omyliłem się. To pocieszające! To bardzo pocieszające!

— Czy mam to traktować jako pożyczkę? — spytałem. Chodziło mi głównie o termin zwrotu, w razie gdyby miał być odległy, postanowiłem przynieść odpowiednią ilość własnych wtyczek.

— Naturalnie, to tylko pożyczka — odparł, prostując się z jakąś staroświecką godnością. Przyłożył kapelusz do serca. — Ja, to znaczy — mniejsza o mnie... Mój przyjaciel na pewno będzie panu wdzięczny. Pan... pan nawet nie wyobraża sobie, co to znaczy — jego wdzięczność... Nawet przypuszczam, że...

Uklonił mi się.

— W krótkim czasie zwrócę wszystko — z podziękowaniem. Kiedy — w tej chwili nie potrafię panu, niestety, powiedzieć. Dam znać, za pana pozwoleniem. Pan — przepraszam — bywa tu co drugi dzień?

— Tak — powiedziałem. — W poniedziałki, środy i piątki.

— A czy kiedyś — kiedyś będę mógł... — zaczął bardzo cicho pan Harden. Spojrzałem na niego bystro i to go, widać, spłoszyło, bo nie powiedział już nic, tylko uklonił mi się, raz r

z gołą głową, drugi raz w kapeluszu, i wyszedł. Zostałem sam i miałem jeszcze prawie godzinę czasu, ale spróbowałem tylko czytać i zaraz odłożyłem książkę, bo nie mogłem zrozumieć ani jednego zdania. Kompletnie mnie skołowała ta wizyta i ten człowiek. Wyglądał na porządnie zabiedzonego, wierzchy butów, choć lśniące czystością, tak miał spękane, aż żal było patrzeć. Kieszenie marynarki obwisały mu, jakby stale nosił w nich jakieś ciężkie przedmioty. Mogę coś o tym powiedzieć. Dwie rzeczy zastanowiły mnie najbardziej — i obie odnosiły się do mnie. Pan Harden najpierw powiedział, że zna mnie z widzenia, bo załatwiał coś w pobliżu Klubu — co się, ostatecznie, mogło przypadkowo zdarzyć, chociaż dziwne wydało mi się załęknięcie, z jakim mi to tłumaczył. Po wtóre: mieszkał na tej samej ulicy, co ja. Tu już przypadków było zbyt wiele. Równocześnie widziałem jak na dłoni, że to nie jest człowiek zdolny z natury do jakiejś podwójnej gry, do skomplikowanych kłamstw.

Rozmyślałem tak i, ciekawa rzecz, dopiero na samym końcu zastanowiłem się nad tym, do czego właściwie potrzebny mu był ten drut. Nawet się trochę zdziwiłem, że tak późno na to wpadłem. Pan Harden zupełnie, ale to zupełnie nie wyglądał na człowieka, który robi wynalazki czy choćby tylko majstruje dla przyjemności. Powiedział zresztą, że ten drut nie jest dla niego, ale dla przyjaciela. Wszystko to razem nie składało mi się zupełnie. Na drugi dzień po szkole poszedłem obejrzeć sobie dom pod ósmym. Nazwisko jego rzeczywiście figurowało na liście lokatorów. Wdałem się w rozmowę z dozorcą, uważając, żeby nie wzbudzić w nim podejrzeń, i wymyśliłem całą historię, że mam niby dawać korepetycje siostrzeńcowi pana Hardena, więc interesuję się tym, czy jest wypłacalny. Pan Harden — jak opowiedział mi dozorca — pracował w śródmieściu, w jakiejś wielkiej firmie, do pracy jeździł o siódmej, a wracał o trzeciej. Ostatnimi czasy o tyle się to zmieniło, że zaczął wracać coraz później, a zdarzało się, że w ogóle nie przychodził na noc. Dozorca go o to nawet mimochodem spytał, a pan Harden powiedział mu, że bierze nadliczbowe godziny i nocną pracę, bo potrzebuje pieniędzy na święta. Jednakże nie dało się zauważyć — to są wnioski dozorca — żeby mu ta wyteżona praca wiele przyniosła, bo jak był biedny niczym mysz kościelna, takim pozostał, ostatnio zaś zalegał z czynszem i świąt w ogóle nie urządzał, do kina nie poszedł; dozorca nie wiedział, niestety, jak się nazywa ta firma, w której pan Harden pracuje, a zbyt długo też wolałem go nie wypytywać, tak że właściwie ten wywiad przyniósł mi niezbyt obfite plony.

Muszę przyznać, że z niecierpliwością oczekiwałem poniedziałku, bo coś mi mówiło, że jest to początek jakiejś osobliwej sprawy, choć nie mogłem sobie przedstawić, o co mogłoby w niej chodzić. Próbowałem wyobrazić sobie rozmaite możliwości, na przykład, że pan Harden robi wynalazki albo że uprawia szpiegostwo, ale to absolutnie nie pasowało do jego osoby. Jestem przekonany, że nie odróżniłby diody od pentody, był też ostatnim człowiekiem na świecie, który nadawałby się do jakiejś misji obcego wywiadu.

W poniedziałek przyszedłem na dyżur nie wcześniej i wczekałem się dwie godziny w r. snącym zniecierpliwieniu. Harden przyszedł! kiedy zabierałem się już do wyjścia. Wszedł jakoś uroczyście, uklonił mi się od progu i podał mi rękę, a potem małą paczkę, porządnie zawiniętą w biały papier.

— Dzień dobry, młody panie. Cieszę się, że pana zastałem — powiedział. — Chciałem podziękować panu za pańską dobroć. Wybawił mnie pan z nader kłopotliwego położenia. — Mówił to wszystko sztywno i tak, jakby to sobie przedtem ułożył. — Tu jest wszystko, co pan był łaskaw mi pożyczyć — wskazał na paczkę, którą położyłem na biurku. Obaj staliśmy. Pan Harden uklonił mi się jeszcze raz i zrobił taki ruch, jakby chciał odejść —

ale został.

— Nie ma o czym mówić, to była drobnostka — powiedziałem, aby ułatwić mu odezwanie się. Myślałem, że zacznie gorąco oponować, ale nic nie powiedział, patrzył tylko na mnie posepnie i parę razy potarł rondem kapelusza podbródek. Zauważyłem, że kapelusz był usilnie czyszczony, co prawda nie dało to większych rezultatów.

— Jak pan wie, nie jestem członkiem Klubu... — powiedział. Naraz przystąpił do biurka, położył na nim kapelusz i, zniżając głos, odezwał się:

— Nie mam śmiałości znów pana trudzić. I tak tyle pan dla mnie zrobił. Jednakże, gdyby pan zechciał poświęcić mi pięć minut — nie więcej, doprawdy... Nie chodzi o nic materialnego, nigdy w świecie! Tylko, wie pan — brak mi odpowiedniego wykształcenia i nie potrafię sobie dać z tym rady.

Nie mogłem się zorientować, do czego zmierza, ale byłem porządnie zaciekawiony, więc powiedziałem, żeby go zachęcić:

— Ależ oczywiście, jeżeli będę mógł, chętnie panu pomogę.

Ponieważ milczał, nic nie odpowiadając i nie ruszając się z miejsca, dodałem na oślep:

— Czy chodzi o jakiś aparat?

— Co?! Co pan mówi?! Skąd, skąd pan... — wyrzucił, przestraszony, jakbym powiedział coś niesłychanego. Robił takie wrażenie, jakby chciał po prostu czmychnąć.

— Ależ to proste — odparłem możliwie spokojnie, starając się uśmiechnąć — pożyczął pan ode mnie przewód elektryczny i wtyczki, a zatem...

— O, pan jest niesłychanie bystry, nad wyraz bystry — powiedział, ale nie było w tym uznania, raczej lęk. — Nie, bynajmniej, to znaczy — pan jest człowiekiem honorowym, nieprawdaż? Czy mógłbym, ośmielając się, prosić pana, to znaczy, jednym słowem, czy może dać mi pan słowo, że nikomu... że pan zachowa wszystko, o czym mówimy, dla siebie?

— Tak — odparłem zdecydowanym tonem i żeby go upewnić, dodałem:

— Nigdy nie łamię danego słowa.

— Tak sobie myślałem. Tak! Byłem o tym przeświadczony! — powiedział, jednakże minę dalej miał zasepioną i nie patrzył mi w oczy. Jeszcze raz potarł podbródek i powiedział szeptem:

— Są... wie pan... jakieś zakłócenia. Nie wiem, skąd. Nie potrafię tego zrozumieć. Raz jest prawie dobrze, a potem nic nie rozumiem.

— Zakłócenia — powtórzyłem, bo zamilkł — pan ma na myśli zakłócenia odbioru?

Chciałem dodać jeszcze „to pan ma krótkofalówkę” — ale powiedziałem tylko „to pan...” — tak się wzdrygnął.

— Nie, nie —' wyszeptał. — Nie chodzi o odbiór. Wydaje się, że z nim jest coś złe. Czy ja wiem zresztą! Może po prostu nie chce ze mną mówić.

— Kto? — spytałem znowu, bo przestałem go pojmować, wtedy on obejrzał się za siebie, a potem, znizywszy głos jeszcze bardziej, powiedział:

— Proszę pana, przyniosłem to ze sobą. Schemat, to znaczy część schematu. Ja, wie pan, nie mam prawa, to znaczy — nie całkiem mam prawo pokazać to komukolwiek, ale ostatnim razem otrzymałem zgodę. To nie jest moja sprawa. Pan rozumie? Mój przyjaciel —o niego właśnie chodzi. To jest ten rysunek. Niech się pan nie gniewa, że to jest tak niedobrze narysowane, próbowałem studiować rozmaite specjalne książki, ale to nic nie pomogło. Chodzi o to, że trzeba to zrobić — sporządzić, dokładnie, tak jak jest narysowane. Ja bym się już postarał o wszystkie potrzebne rzeczy. Wszystko już mam, dostałem. Ale — ja tego nie zrobię! Tymi rękami — wyciągnął chude, żółtawe dłonie, które drżały tuż przed moją twarzą — pan sam przecież widzi! Nigdy w życiu nie miałem z tym nic wspólnego, nie umiałbym nawet narzędzia utrzymać, taki ze mnie niezguła, a tu tak jest potrzebna umiejętność! Chodzi przecież o życie...

— Może mi pan pokaże ten rysunek — powiedziałem powoli, starając się nie zwracać uwagi na jego słowa, bo już zanadto załatywały mi jakimś pomieszaniem.

— Ach, przepraszam... — wybąkał.

Rozpostarł na biurku kawał sztywnego papieru rysunkowego, nakrył go obu rękami i spytał cicho:

— Czy można zamknąć drzwi?

— Owszem, można — powiedziałem — bo już jest po godzinach dyżuru. Możemy się nawet na klucz zamknąć — dodałem, wyszedłem na korytarz i umyślnie głośno przekręciłem dwa razy klucz w zamku, żeby to słyszał. Chciałem, by nabrał do mnie zaufania.

Wróciwszy do pokoju, siadłem za biurkiem i wziąłem do ręki ten jego rysunek. Nie był to bynajmniej schemat. Nie było to podobne do niczego — oprócz dziecinnych gryzmołów. Były tam po prostu kwadraty, oznaczone literkami i cyframi, połączone ze sobą, ni to jakaś telefoniczna rozdzielnica, ni to tablica rozdzielcza, narysowana tak, że włosy stawały na głowie — bez użycia symboli, kondensatory i cewki były naszkicowane „z natury”, jakby to zrobiło pięcioletnie dziecko. Sensu nie można się było w całości doszukać za grosz, bo nie wiadomo było, co oznaczają te kwadraty z cyframi, aż naraz zauważyłem znajome literki i liczby: oznaczenia rozmaitych lamp katodowych. Wszystkiego razem — osiem. Ale to nie był aparat radiowy. Poniżej kwadratów widniały prostokąciki z cyframi, które nic mi już nie mówiły; widniały wśród nich także greckie litery — wszystko razem

niczym jakiś szyfr albo po prostu rysunek obłąkańca. Oglądałem cały ten bohomas dość długo, słysząc, jak Harden dyszy mi głośno nad głową. Chociaż nie mogłem złapać nawet w przybliżeniu idei całej tej aparatury, dalej studiowałem rysunek, bo czułem, że nie będzie łatwo wyciągnąć z niego wiele więcej, musiałem się więc oprzeć na tym materiale, jaki miałem przed sobą. Nie było wykluczone, że jeżeli go nacisnę, by pokazał mi i wytłumaczył cokolwiek, przeleknę się i tyle będę go widział. I tak okazał mi sporo zaufania. Tak więc postanowiłem zacząć od rysunku. Jedyłą częścią zrozumiałą było coś w rodzaju fragmentu wzmacniacza kaskadowego, ale to był raczej mój domysł, gdyż, jak powiadam, całość przedstawiała coś zupełnie nieznanego i zagmatwanego — widniało tam doprowadzenie prądu o napięciu 500 woltów — po prostu sen elektrotechnika, który ma koszmary! Między poszczególnymi częściami były wyrysowane rozmaite elementy, mające zapewne stanowić wskazówkę dla tego, kto by to urządzenie miał budować, więc, na przykład, uwagi o materiale, z jakiego trzeba wykonać płytę rozdzielniczą, a kiedy się dobrze temu labiryntowi przyjrzałem, odkryłem naraz coś dziwnego: skosem stojące na kilku nóżkach, obrzeżone jakby firaneczką prostokąci, niczym kołyski jakieś. Spytałem Hardena, co to jest.

— To? To są, to mają być ekrany — odparł pokazując mi palcem inny, taki sam prostokąt, w który rzeczywiście wpisane było małymi literkami słowo „ekran”.

To mnie wprost zaszokowało. Harden najwyraźniej nie zdawał sobie w ogóle sprawy z tego, że słowo „ekran” znaczy w elektrotechnice coś całkiem innego aniżeli w życiu potocznym, i tam, gdzie w schemacie szło o ekranowanie poszczególnych fragmentów aparatury, to znaczy oddzielenie od siebie pól elektromagnetycznych osłonami, czyli ekranami z metalu, wyrysował ze świętą naiwnością ekraniki, jakie się widzi w kinie!

A przy tym w dolnym rogu schematu widniał filtr wysokiej częstotliwości, podłączony w całkiem nowy, nie znany mi sposób, nadzwyczaj dowcipnie — był to po prostu wynalazek pierwszej wody!

— Proszę pana — powiedziałem — to pan sam rysował?

— Tak, ja. A co?

— Tu jest filtr — zacząłem, wskazując ołówkiem, ale on przerwał mi:

— Proszę pana, ja się na tym nie znam. Zrobiłem to według wskazówek. Mój przyjaciel... a więc tak: to on jest w pewnym sensie — autorem...

Urwał. Naraz zabłysło mi światło.

— Pan się z nim porozumiewa przez radio? — spytałem.

— Co? Ależ nie!

— Przez telefon? — pytałem dalej, niewzruszony. Pan Harden zaczął naraz drzeć.

— O... o co panu chodzi? — wyjąkał, opierając się ciężko o biurko. Zdawało mi się, że zasłabnie. Przyniosłem stółek z pracowni, na który osunął się, jakby się postarzał w czasie rozmowy.

— Czy pan go widuje? — spytałem, a Harden skinął powoli głową.

— Więc czemu nie korzysta pan dalej z jego pomocy?

— Och, to niemożliwe... — powiedział z nagłym westchnieniem.

— Jeżeli przyjaciela pana nie ma tutaj i trzeba się z nim porozumieć na odległość, mogę panu użyczyć mojego aparatu radiowego — powiedziałem. Zrobiłem to umyślnie.

— Ależ to nic nie da! — zawołał. — Nie, nie, on jest tutaj, naprawdę.

— Więc czemu on sam nie przyjdzie do mnie? — rzuciłem. Pan Harden wykrzywił twarz w jakimś spazmatycznym uśmiechu.

— To niemożliwe — powiedział. — On nie jest... jego nie można... naprawdę, to nie jest mój sekret i nie mam prawa go zdradzać... — powiedział nagle gorąco, z takim wylaniem, że uwierzyłem w jego szczerość. W głowie aż mi huczało od wytężonego myślenia, a nie mogłem się jeszcze połapać, o co chodzi. Jedno było najzupełniej pewne: Harden nie znał się w ogóle na radiotechnice i schemat musiał być dziełem tajemniczego przyjaciela, o którym tak mgliście napomykał.

— Proszę pana — zacząłem powoli — co się mnie tyczy, może być pan najzupełniej pewny mojej dyskrecji. Nie chcę wcale pytać, co pan robi i do czego ma to służyć — wskazałem na rysunek — ale żeby panu pomóc, musiałbym, po pierwsze, przerysować to sobie, a, po wtóre, ten mój rysunek musiałby dopiero przejrzeć pana przyjaciel, który się widocznie na tym zna...

— To się nie da zrobić... — wyszeptał pan Harden. — Ja... ja musiałbym to panu zostawić?

— A jakże inaczej? Panu chodzi o to, żeby ten aparat zmontować — czy tak?

— Ja... ja bym przyszedł ze wszystkim, co potrzebne, kiedy pan pozwoli — powiedział pan Harden.

— Nie wiem, czy to możliwe — czy to się da przeprowadzić — powiedziałem.

Kiedy popatrzyłem na niego, wyglądał zupełnie złamany. Wargi mu drżały — przesłonił je rondem kapelusza. Zrobiło mi się go naprawdę żal.

— Ostatecznie, można by spróbować — powiedziałem niechętnie — choć nie wydaje mi się, aby podług tak niedokładnego rysunku dało się sklecić cokolwiek sensownego. Niechże pana przyjaciel przejrzy to, u licha, czy po prostu porządnie przerysuje...

Kiedy popatrzałem na niego, zrozumiałem, że żądam rzeczy niewykonalnej.

— Kiedy mogę przyjść? — spytał wreszcie. Umówiłem się z nim na trzeci dzień; wyrwał mi prawie rysunek z rąk, schował go do wewnętrznej kieszeni i rozejrzał się nieprzytomnymi oczami.

— To ja już sobie pójdę. Nie będę... nie chcę zabierać panu czasu. Bardzo panu dziękuję i — do widzenia. Więc przyjdę, jeżeli można. Ale nikt... nikt... nikomu...

Obiecałem mu raz jeszcze, że nic nikomu nie powiem, dziwiąc się już własnej cierpliwości. Wychodząc, zatrzymał się naraz.

— Proszę pana... przepraszam, że jeszcze się ośmielam. Czy nie wie pan przypadkiem, gdzie można dostać żelatyny?

— Czego — proszę?

— Żelatyny — powtórzył — zwykłej, suszonej żelatyny w arkuszach, zdaje się...

— W sklepie spożywczym najprędzej — poradziłem mu. Raz jeszcze uklonił się, podziękował mi gorąco i wyszedł. Przeczekałem chwilę, aż jego kroki ucichły na schodach, zamknąłem Klub i poszedłem do domu, tak zamyślony, że wpadałem na przechodniów. Zajęcie, jakiego się może lekkomyślnie podjąłem, nie budziło we mnie zachwyty, ale rozumiałem, że zbudowanie tego nieszczęsnego aparatu — to jedyna droga poznania, co właściwie poczyna pan Harden ze swoim zagadkowym przyjacielem. W domu wziąłem parę arkuszy papieru i próbowałem narysować ten dziwaczny schemat, który pokazał mi pan Harden, ale prawie nic nie pamiętałem. Na koniec pociąłem papier na kawałki, na których wypisałem wszystko, co wiedziałem o całej tej historii, i próbowałem, siedząc nad nimi do wieczora, złożyć te fragmenty w jakąś sensowną całość. Nie bardzo mi to szło, chociaż muszę powiedzieć, że puściłem całkiem wodze wyobraźni i nie wahałem się stawiać całkiem nieprawdopodobnych hipotez, w rodzaju, że pan Harden utrzymuje łączność radiową z uczonymi jakiejś innej planety — coś jak w tej historii Wellsa o kryształowym jajku. Nie trzymało się to jednak kupy, a najbardziej oczywiste, narzucające się wprost rozwiązanie: że mam do czynienia ze zwyczajnym wariatem — odrzuciłem, po pierwsze dlatego, że zbyt wiele metody tkwiło w tym jego wariactwie, po drugie zaś, ponieważ tak właśnie brzmiałby bez wątpienia sąd olbrzymiej większości ludzi z panem Eggerem na czele. Kiedy kładłem się już spać, zabłysło mi w głowie światło, od którego aż skoczyłem. Zdumiałem się, że nie wpadłem na to od razu, tak mi się to nagle wydało oczywiste. Nieznany, ukrywający się w cieniu przyjaciel pana Hardena musiał być niewidomy! Jakiś fachowiec—elektryk, ślepy, może więcej nawet niż ślepy! Kiedy zanalizowałem szybko we wspomnieniu niektóre odezwania się Hardena, a szczególnie, gdy uprzytomniłem sobie, jak żalonym uśmiechem skwitował moją propozycję, aby przyjaciel jego przyszedł sam, doszedłem do wniosku, że jest on

całkiem sparaliżowany. Jakiś stary, na pewno bardzo stary człowiek, od lat przykuty do łóżka, który w mroku, otaczającym go wiecznie, wymyśla dziwne przyrządy. Jedyne przyjaciel, którym może się przy tym posługiwać, nie zna się w ogóle na elektrotechnice. Stary, jak to stary — jest zdziwaczała, mocno podejrzliwy i obawia się, że mu jego sekret mogą wykraść. Hipoteza ta wydała mi się bardzo prawdopodobna. Było jeszcze kilka niejasnych punktów: do czego służyć miały druty i wtyczki? Nie omieszkalem zbadać ich sumiennie pod lupą. Drut został pocięty na kawały różnej długości — po dwa, dwa i pół, trzy i cztery metry, banany zaś, w chwili kiedy je wręczałem panu Hardenowi — zupełnie nowe, nie używane, miały porozkręcane śrubki, a w niektórych tkwiły pojedyncze nitki miedzianego drutu. A zatem służyły naprawdę do czegoś i pożyczanie ich nie stanowiło wyłącznie pretekstu do nawiązania ze mną bliższego kontaktu.

Ponadto — żelatyna. Po co mu była żelatyna? Aby przyrządzić dla owego przyjaciela jakąś galaretkę, kleik? Siedziałem po ciemku na łóżku, tak trzeźwy, jakbym nie miał tej nocy w ogóle zasnąć. „Arkusze suchej żelatyny” — przypadkowo wiedziałem, że z takiej ilości można by zrobić galaretkę dla wieloryba. Nie orientował się w proporcjach? Czy też po prostu chciał wprowadzić moją dociekliwość na fałszywe tory? Byłaby to, w takim razie, „operacja pozorna żelatyna”? Ale podobna chytryść nie mogła mieć źródła w panu Hardenie — wprost organicznie był do tego niezdolny! Niezgrabiasz, fizyczny i duchowy, do zabicia muchy zabierałby się z lękami, zahamowaniami i tajemniczością, jakby szło o dokonanie najstraszliwszej zbrodni. Więc ten krok podszeptał mu „przyjaciel”? Czyżby tak zaplanował całą rozmowę? Ze wszystkimi niedomówieniami i przejęzyczeniami, które produkował pan Harden? To na pewno było niemożliwe. Czuję, że im dokładniej analizuję byle błahostkę, byle szczegół tej sprawy, jak właśnie ową nieszczęsną żelatynę, w tym większym pograżam się mroku, gorzej — ze wszystkich, pozornie zwyczajnych elementów zdawał się wynikać, jako logiczny wniosek, absurd. A gdym przypomniał sobie jego słowa o „zakłóceniach”, o tym, jak nie może się porozumieć z przyjacielem, ogarnął mnie wprost niepokój. Wyobraziłem sobie — cóż innego mogło mi przyjść na myśl? — starca, całkowicie bezwładnego, pozbawionego wzroku, na wpół przytomnego, martwe, wielkie ciało w barłogu, na jakimś ciemnym strychu, rozpaczliwie bezbronną istotę, w której mózgu, osaczonym przez wieczną ciemność, błyskają jakieś fragmenty wizyjnej aparatury, a Harden, śmieszny i wierny, wszystkie siły wyteża, aby z bełkotliwych strzępów, z chaotycznych uwag, wyrzucanych z głębi zamroczenia, obłędu, złożyć trwałą jak pomnik, jak testament całość. Tak mi się to roilo owej nocy — wydaje mi się, że miałem chyba gorączkę. A przecież nie mogłem wszystkiego w ogóle tłumaczyć szaleństwem, bo pamiętałem pewien drobny, lecz

wprost niezwykley szczegół — ową konstrukcją filtra częstotliwości, która fachowcowi mówiła niedwuznacznie, że spotyka się z plodem — co tu gadać — genialności.

Postanowiłem sobie kopiować w pamięci układ aparatury, którą obiecałem złożyć, i uspokojony świadomością, że trzymam przecież w ręce jakąś nić, która będzie mnie prowadziła w głąb tego labiryntu, usnąłem.

Pan Harden przyszedł w środę, jakeśmy się umówili, objuczony dwiema teczkami, pełnymi części, a jeszcze trzykrotnie wracał do domu po resztę. Praca montażowa miała odbywać się po moim dyżurze, tak było mi najwygodniej. Kiedy zobaczyłem te wszystkie części, zwłaszcza lampy, zorientowałem się, jaki kawał grosza i musiały kosztować — i ten człowiek pożyczal i ode mnie kilkanaście metrów drutu? Zabrałem się do dzieła, podzieliwszy pracę w ten sposób, że znażyłem na ebonitowej płycie miejsca, w których należało nawiercić otwory, a pan Harden mocował się z wiertarką. Okrutnie mu to nie szło. Musiałem mu pokazać, jak trzymać jej korpus i kręcić korbą. Złamał dwa wiertła, zanim się tego nauczył. Ja tymczasem pilnie studiowałem rysunek i rychło zorientowałem się, że było tam sporo połączeń najzupełniej nonsensownych. To się zgadzało z moją hipotezą: albo uwagi „przyjaciela” padały w formie tak niewyraźnej i niejasnej, że Harden nie umiał się w nich zorientować, albo sam „przyjaciel” gubił się we własnej koncepcji, owładnięty przejściowym zamroczeniem. Powiedziałem panu Hardenowi o tych fałszywych połączeniach. Nie dał mi najpierw wiary, ale kiedy w przystępnej formie wytłumaczyłem mu, że montaż według takiego schematu musi doprowadzić po prostu do krótkiego spięcia, do spalenia lamp — przeraził się. Słuchał mnie dłuższy czas w zupełnym milczeniu, z drgającymi wargami, których nie mógł przesłonić po swojemu rondem kapelusza. Naraz zakrzętnął się, w nieoczekiwanym przyplwyie energii porwał schemat ze stołu, narzucił marynarkę i prosząc, abym zaczekał tylko chwilę, tylko pół godziny, od drzwi rzucając jeszcze zaklęcia — pognął do miasta. Był już zmierzch, kiedy wrócił, uspokojony, choć zdyszany, jakby biegł całą drogę. Powiedział mi, że wszystko jest w porządku — że tak właśnie ma być, jak jest narysowane, że się wprawdzie nie myślę, ale to, o czym mówiłem, zostało przewidziane i uwzględnione. Urażony, w pierwszej chwili miałem po prostu ochotę rzucić całą robotę, ale po namyśle wrzuciłem ramionami i wyznaczyłem mu dalszy etap pracy. Tak upłynął ten pierwszy wieczór. Harden robił pewne postępy, nadzwyczajna wprost była jego cierpliwość i uwaga, widziałem też, że nie tylko stara się wykonać moje polecenia, ale usiłuje wdrożyć się do manipulacji, w rodzaju montowania chassis czy lutowania końcówek, jakby się tym chciał parać na przyszłość. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Ach, podpatrujesz mnie — pomyślałem — może ci kazano zdobyć wprawę w radiotechnice, więc i ja jestem zwolniony z

lojalności; pod pozorem wyjścia do ustępu zamierzałem wyrysować sobie w pamięci cały schemat, bo nie wypuszczał go niemal z rąk i mogłem mu się przypatrywać tylko pod jego okiem, za co mnie zresztą tysiącnie razy przepraszał — ale stawiał na swoim. Czułem, że ta zaciekłość strzeżenia tajemnicy nie płynie z niego samego, że jest mu narzucona i obca jego naturze. Gdy jednak chciałem wyjść na chwilę z pracowni, zastąpił mi drogę i patrząc w oczy, żarliwym szeptem powiedział, że muszę złożyć mu świętą obietnicę, przysiąc — że nie będę próbował odrysować schematu ani teraz, ani później, nigdy. Obruszyłem się. — Jakże pan chce, abym to zapomniał? — spytałem. — To nie leży w mojej władzy. Zresztą, naprawdę, i tak zbyt wiele robię już dla pana i niegodne jest żądać ode mnie, abym działał jak ślepy automat, narzędzie!

To mówiąc, chciałem go wyminąć, bo zastępował mi drogę, ale on chwycił mnie za rękę i przycisnął do serca — znów bliski płaczu.

— To nie dla mnie, nie dla mnie — powtarzał trzęsącymi się wargami — błagam, proszę, niech pan zechce to zrozumieć, on... on nie jest tylko moim przyjacielem, chodzi o coś większego, o rzecz nieporównanie większą, przysięgam panu, chociaż nie mogę w tej chwili jeszcze tego powiedzieć, ale niech mi pan wierzy: nie zwodzę pana i nie ma w tym nic niskiego! On... on się panu odwdzięczy — sam to słyszałem — pan nie wie, nie może pan wiedzieć, a ja, nie, nie wolno mi nic mówić, ale to do czasu, przekona się pan!

Tak mniej więcej mówił — ale nie potrafię oddać rozpaczliwego żaru, z jakim patrzył mi w oczy. Przegrałem jeszcze raz — musiałem, po prostu musiałem mu dać to przyrzeczenie. Trzeba żałować, że nie trafił na kogoś mniej uczciwego — być może losy świata potoczyłyby się inaczej, ale stało się. Zaraz potem odszedł; zamknęliśmy zmontowaną część urządzenia do podokiennej szafki, od której miałem klucz — i Harden wziął go ze sobą. Zgodziłem się i na to, żeby go uspokoić.

Po tym pierwszym wieczorze wspólnej pracy znów miałem sporo materiału do przemyślenia — bo myślenia już nie mógł mi zabronić.

Najpierw była sprawa owych fałszywych połączeń; przypuszczałem, że nie odkryłem wszystkich, tym bardziej że cały schemat, widziałem to coraz wyraźniej, stanowił tylko część jakiejś większej, może daleko większej całości. Czyżby chciał ją zmontować później sam, po zakończeniu u mnie terminatorki?

Elektryk, wdrożony do mechanicznej pracy, nie interesujący się specjalnie tym, jaki sens ma to, co robi, być może przeszedłby nad owymi miejscami schematu do porządku, ale mnie nie dawały one spokoju. Nie umiem powiedzieć dlaczego, to znaczy — nie potrafię tego zrobić, nie przedstawiając owego schematu, którego, niestety, nie mam — ale wyglądało to

tak, jakby złe połączenia zostały wprowadzone umyślnie. Im dłużej nad nimi myślałem, tym mocniej byłem o tym przeświadczony. Były to, nie miałem już prawie wątpliwości, fałszywe tropy, zwodnicze, mylące pociągnięcia tego, kto stał, niewidzialny, za całą tą sprawą. Najmniej w tym wszystkim podobało mi się to, że pan Harden naprawdę o istnieniu tych umyślnych pogmatwań schematu nic nie wiedział, a zatem i on nie był dopuszczony do jądra zagadki, a zatem i jego oszukiwano — a robił to jego tak zwany „przyjaciel”! Muszę wyznać, że jego sylweta nie nabierała w mych oczach pociągających rysów, wprost przeciwnie: nie odczuwałem ochoty, aby nazwać kogoś takiego swoim przyjacielem! A jak należało rozumieć wielkie, choć mgliste słowa pana Hardena, kryjące niejasne obietnice i przyrzeczenia? Nie wątpiłem, że tylko je przekazywał, że i tu był jedynie pośrednikiem — ale czy dobrej, czy czystej sprawy? Następnego dnia po południu, gdy byłem w domu i czytałem książkę, matka powiedziała mi, że w bramie jest ktoś, kto chce się ze mną widzieć. Była oczywiście zła i spytała, co też to mam za podstarzałych znajomków, którzy boją się pokazać sami i posyłają po mnie dzieci dozorcy. Nie odpowiedziałem nic, bo mnie coś tknęło, i zbiegłem na dół. Był już wieczór, ale lampy, nie wiem czemu, nie świeciły się i w sieni panowała taka czarna ciemność, że ledwo dostrzegłem czekającego. Był to pan Harden. Zdawał się mocno zdenerwowany. Poprosił mnie, żebyśmy wyszli na ulicę. Ruszyliśmy w stronę ogrodu, przy czym pan Harden nie odzywał się przez dłuższy czas, aż gdy znaleźliśmy się nad stawem, w kompletnym o tej porze pustkowiu, spytał, czy interesuję się przypadkiem poważną muzyką. Powiedziałem, że owszem, dosyć ją lubię.

— Ach, to dobrze, to bardzo dobrze. A — być może, posiada pan jakieś płyty? Chodzi mi właściwie tylko o jedną — o Adagio, opus ósme, Dahlen–Gorskiego. Jest to... ma to być... to nie dla mnie, wie pan, ale...

— Rozumiem — przerwałem mu. — Nie, nie mam tej płyty. Dahlen–Gorski? To, zdaje się, taki nowoczesny kompozytor?

— Tak, tak, pan się świetnie orientuje, jak to dobrze. Ta płyta — ona jest, niestety, bardzo, wie pan... nie mam teraz, nie mam środków, i...

— No i ja też, niestety, nie bardzo jestem z funduszami — powiedziałem, śmiejąc się trochę nienaturalnie. Pan Harden przestraszył się.

— Ależ, na miły Bóg, nigdy bym o tym nie pomyślał, to nie wchodzi w ogóle w rachubę. Może któryś z pana znajomych ma tę płytę? Chodzi tylko o wypożyczenie, na jeden dzień, nie na dłużej, doprawdy!

Nazwisko Dahlen–Gorskiego coś potrafiło w mojej pamięci; milczeliśmy chwilę, idąc wzdłuż brzegu jeziora, po cienkim błocie, aż naraz uzmysłowiłem sobie, że przeczytałem je w

gazecie, bodajże w programie radiowym. Powiedziałem o tym panu Hardenowi. Wracając, kupiliśmy w budce gazetę — rzeczywiście nazajutrz orkiestra symfoniczna radia miała odegrać to Adagio.

— Wie pan co — powiedziałem — nic prostszego, jak nastawić radio o tej właśnie godzinę — która to? dwunasta czterdzieści przed południem — i pański przyjaciel po prostu będzie mógł tego posłuchać.

— Tsss — uciszył mnie, rozglądając się nieufnie — proszę pana, fatalnie, że to się nie da zrobić, on... ja... on pracuje wtedy, wie pan, i...

— Pracuje? — powiedziałem zdumiony, bo mi się to nie zgadzało całkiem z obrazem opuszczonego, na wpół obłąkanego, bezwładnego starca. Harden milczał, jakby stropiony tym, co powiedział.

— A więc — rzekłem, idąc za nagłym impulsem — wie pan co: ja panu nagram to Adagio na moim magnetofonie...

— Ach, to będzie świetnie! — zawołał. — Będę panu nieskończenie wdzięczny, tylko... tylko... czy będzie mi pan mógł pożyczyć magnetofon, żeby... żeby to potem odtworzyć?

Mimo woli uśmiechnąłem się. Z magnetofonami u krótkofalowców — to cała historia: mało kto ma własny, a każdy chce robić nagrania, szczególnie egzotycznych kontaktów i nasłuchów, więc szczęśliwy posiadacz wiecznie jest bombardowany prośbami o pożyczenie. Nie chcąc wiecznie znajdować się w kolizji z moim dobrym sercem, wbudowałem sobie, montując nową aparaturę, magnetofon do środka, jako nierozdzielną część całości; całej aparatury nie można, rozumie się, pożyczać, bo jest za wielka. Powiedziałem to wszystko panu Hardenowi, który się niewypowiedzianie zmartwił.

— No, to co robić... co robić? — powtarzał, dotykając palcami guzików wyszarzałego pałta

— Mógłbym panu dać samą taśmę tylko, z nagraniem — odparłem — a magnetofon musiałby pan sobie u kogoś wypożyczyć.

— Nie mam u kogo... — bąknął, zagłębiony w myślach — zresztą... przecież magnetofon niepotrzebny! — wyrzucił z nagłą radością. — Wystarczy taśma, tak, taśma wystarczy, jeżeli będzie pan mógł mi ją dać? Pożyczyć? — zaglądał mi w oczy.

— Pański przyjaciel ma magnetofon? — spytałem.

— Nie, ale jemu to niepotrz...

Urwał. Całe jego rozradowanie znikło. Staliśmy akurat pod gazową latarnią.

Harden, oddalony o krok, wpatrywał się we mnie ze zmienioną twarzą.

— Właściwie nie — powiedział — ja się pomyliłem. On ma magnetofon. Tak, ma. Naturalnie, że go ma — tylko zapomniałem o tym...

— Tak? To dobrze — odparłem i poszliśmy dalej. Harden był zgaszony, nic nie mówił, czasem tylko ukradkiem zerkał na mnie z boku. Przed domem pożegnał się, ale nie odszedł. Patrzył na mnie chwilę z trochę żalonym uśmiechem i bąknął cicho:

— Pan to nagra dla niego... prawda?

— Nie — powiedziałem ogarnięty nagłym j gniewem — nie. Nagram to — dla pana. Zbladł.

— Ja — dziękuję panu, ale... pan to źle rozumie, niewłaściwie, sam się pan przekona, później... — szeptał gorączkowo, ściskając mnie za rękę — on, on nie zasługuje na... zobaczy pan! Przysięgam! Wszystko, wszystko pan pojmie i nie będzie wtedy oceniał go fałszywie...

Nie mogłem wprost patrzeć na niego, kiwnąłem tylko głową i poszedłem na górę. Znowu miałem materiał do rozmyślań, ale jaki! Jego przyjaciel pracował — nie był to zatem paralityczny starzec, jakiego sobie wyroilem. Ponadto ów miłośnik nowoczesnej muzyki mógł lubować się samą tylko taśmą z nagraniem Adagia Dahlen-Gorskiego — bez pośrednictwa magnetofonu! Bo że tak się właśnie rzecz miała, że magnetofonu nie było wcale na horyzoncie — co do tego nie żywiłem najmniejszej wątpliwości!

Na drugi dzień poszedłem przed dyżurem do miejskiej biblioteki technicznej i przestudiowałem sobie wszystko — co mogłem dostać — o sposobach odtwarzania nagrań z taśmy. Wyszedłem stamtąd tak samo mądry jak wprzódy. W sobotę prace montażowe zostały właściwie zakończone, należało jeszcze tylko wpasować brakujący transformator — i polutować mnóstwo końcówek. Jedno i drugie odłożyłem do poniedziałku. Pan Harden dziękował mi gorąco za taśmę, którą mu przyniosłem. Kiedyśmy się już mieli rozstać, nieoczekiwanie zaprosił mnie do siebie na niedzielę. Zmieszany, przeproszał mnie wiele razy za to, że wizyta... przyjęcie... gościna — tak się plątał — będzie niezmiernie skromna i nie licująca wcale z sympatią, jaką dla mnie żywi. Nie słuchałem tego chętnie, tym bardziej że jego nieustająca zacność wprost paraliżowała moje zamiary, wciąż bowiem nachodziła mnie ochota zabawić się w detektywa i wykryć, gdzie mieszka tajemniczy przyjaciel; obsypywany jednak podziękowaniami, przepaszany, nie mogłem wprost zdobyć się na śledzenie Hardena. Tym większą żywiłem niechęć do jego przyjaciela, który nie raczył wciąż uchylić rąbka okrywającej go tajemnicy.

Harden mieszkał w samej rzeczy niedaleko ode mnie, na czwartym piętrze oficyny, w pokoiku wychodzącym na ciemne podwórze. Przywitał mnie uroczyście, z wielkim

zakłopotaniem, że nie może mnie podjąć Bóg wie jakimi wspaniałościami. Pijąc herbatę, rozglądałem się od niechcenia po pokoju. Nie wyobrażałem sobie, że z Hardenem jest aż tak źle. Było tu jednak widać ślady wskazujące, że przedtem powodziło mu się dużo lepiej; na przykład sporo mosiężnych puszek po jednym z droższych tytoni fajkowych. Nad starym, spękany sekretarzykiem wisiał wytarty dywanik z wyraźnie odcisniętymi wgłębieniami po fajkach, musiała się tam znajdować cała ich kolekcja, ale nic po niej nie zostało. Spytałem Hardena, czy pali fajkę, odparł z pewnym zmieszaniem, że dawniej palił, ale zarzucił ten nałóg jako niezdrowy. Coraz wyraźniej widziałem, że ostatnimi czasy wy—sprzedał się ze szczętem — świadczyły o tym dobitnie jaśniejsze od reszty ścian kwadraty po obrazach, przysłonięte reprodukcjami, wyciętymi z czasopism, ale ponieważ nie pasowały dokładnie do tych jaśniejszych miejsc, można je było bez trudu odkryć. Naprawdę nie trzeba było aż detektywa, by zrozumieć, skąd się wzięły pieniądze na zakup radiowych części. Pomyślałem, że „przyjaciół” niezgorzej wyżyłował pan Hardena. Chciałem odnaleźć w pokoju choć jedną rzecz, która nadawałaby się na sprzedaż, ale nie znalazłem nic. Oczywiście nie powiedziałem o tym ani słowa, ale postanowiłem sobie w stosowanej chwili otworzyć panu Hardenowi oczy na rzeczywisty charakter tak zwanej „przyjaźni”. Pocziwy Harden poił mnie tymczasem herbatą, podsuwając mi wciąż pudełko po tytoniu, służące za cukiernicę, jakby mnie chciał skłonić do spożycia całej jego zawartości, w braku czegoś lepszego. Opowiadał mi o swoim dzieciństwie, o tym, jak wczesnie odumarli go rodzice, tak że sam się musiał utrzymywać mając ledwo trzynaście lat, wypytywał mnie o plany na przyszłość, a kiedy mu powiedziałem, że mam zamiar studiować fizykę, jeżeli uda mi się dostać stypendium, niejasno, po swojemu, zaczął mówić coś o wielkiej, korzystnej zmianie — niezwyklej zmianie, jaka, tego należy się spodziewać, oczekuje mnie już w niezbyt odległej przyszłości. Zrozumiałem to jako aluzję do łask jego przyjaciela i powiedziałem zaraz, że pragnę wszystko w życiu zawdzięczać wyłącznie własnym siłom.

— Ach, pan mnie źle rozumie... pan mnie źle rozumie — zapewnił mnie z żalem, ale zaraz znów się nieznacznie uśmiechnął, jakby skrywając jakąś wielce go radującą myśl. Opity, rozgrzany i zły — zły byłem w tym czasie prawie nieustannie — pożegnałem po jakiejś godzinie Hardena i poszedłem do domu.

W poniedziałek zakończyliśmy wreszcie montaż aparatu. W czasie pracy Harden, mówiąc o nim, nazwał go, zapewne przez nieostrożność, „koniugatorem”. Spytałem, co to znaczy i czy wie, do czego właściwie ma ten aparat służyć; zmieszał się i powiedział, że dokładnie nie wie. To była chyba kropla, która przepełniła czarę. Kiedy zostawiłem Hardena nad odwróconym do góry nogami aparatem, ze szczotką wystających, oczyszczonych

końcówek, i wyszedłem do drugiego pokoju, wysunąwszy szufladę zobaczyłem w niej, obok kawałka cyny do lutowania, parę sztabek metalu Wooda — pozostałość po pewnym starym kawale. Jakiś złośliwiec podłożył ten srebrny metal, topiący się w temperaturze gorącej herbaty, panu Eggerowi zamiast cyny do lutowania i kompletnie zmontowany aparat w jakąś godzinę po uruchomieniu popsuł się, bo cały metal ściekł z rozgrzanych styków i wszystkie niemal się pootwierały. Sztabki same jakoś wlażyły mi w rękę. Nie wiedziałem dobrze sam, po co to robię, ale kiedy sobie przypomniałem pokój pana Hardena, przestałem się wahać. Było wcale prawdopodobne, że „przyjaciół” nie zorientuje się w podstępie — pan Egger też się na nim nie poznał. Kiedy styki puszcza — myślałem, majstrując kolbę do lutowania — każe zapewne panu Hardenowi ponownie przynieść aparat do pracowni, a może nawet zechce przedstawić mi się osobiście. Może zresztą będzie wściekły — cóż mi jednak zrobi? Myśl o tym, że wystrychnę na dudka tego egoistycznego wyzyskiwacza, sprawiała mi żywą satysfakcję. Po zalutowaniu przewodów wzięliśmy się do wpasowania transformatora. Okazało się wówczas to, co podejrzewałem już przedtem: pan Harden nie był po prostu w stanie zabrać aparatu sam. Przeszkodą był nie tyle ciężar, co jego rozłożenie. Aparat wyszedł przeszło na metr długi, z jednego końca — tam gdzie mieściła się żelazna masa transformatora — bardzo ciężki, a taki nieporęczny, że śmiać mi się chciało, kiedy patrzyłem, jak Harden, coraz bardziej zaaferowany, wręcz zrozpaczony, przymierza się do niego tak i owak, próbuje go wziąć pod pachę, to klęka, prosząc, abym wsadził mu go na plecy. Postanowił wreszcie pobiec do stróża i pożyczyć od niego worek. Odradziłem mu to: aparat był tak długi, że jakkolwiek by go niósł, uderzałby weń nogami, co na pewno nie wyszłoby lampom na dobre. Począł więc grzebać w portmonetce, ale miał za mało pieniędzy na taksówkę; ja też nie miałem. Ostatecznie unieczystwiony, siedział jakiś czas w milczeniu na stołku, łamiąc palce, aż spojrzał na mnie spode łba.

— Czy... zgodziłby się pan pomóc mi?...

Powiedziałem, że skoro zrobiłem już tyle, nie odmówię i teraz; rozjaśnił się, ale zaraz jął gęsto tłumaczyć, że właściwie pierwaj musi zapytać przyjaciela. Byłem ciekaw, jak to zrobi, pora szła późna i nie mogłem czekać na niego godzinami w Klubie. Dobrze o tym wiedział. Pan Harden wstał, jakiś czas medytował, mruczając do siebie i chodząc po pokoju, aż spytał, czy może skorzystać z telefonu. Jeszcze po poprzednich lokatorach został w korytarzu automat telefoniczny, którego mało kto używał; myślę, że po prostu o nim zapomniano. Pan Harden przeproszał mnie gorąco — ale zamknął jednak drzwi na korytarz; miałem czekać w pokoju, aż się rozmówi z przyjacielem. To mnie trochę ubodło; powiedziałem, że może być spokojny — i zamknąłem od mojej strony drzwi na klucz, kiedy wyszedł. Spróbowałem

podłuchiwać przy drzwiach, bo chodziło o rzeczy ważniejsze od respektowania podejrzliwości jakiegoś obcego dziwaka — nic jednak nie słyszałem. Pokój klubowy łączy się z korytarzykiem za pośrednictwem przewodu wentylacyjnego, zakrytego dziurkowaną blachą, którą można odsunąć. Niewiele myśląc, podskoczyłem, chwyciłem się końcami palców framugi i podciągnąłem się do góry jak na drążku. Bardzo trudno było odsunąć kłapkę — zrobiłem to głową, jak mogłem, przybliżyłem ucho do otworu. Nim zrozumiałem słowa, doszedł mnie ich ton — molestowania i prośby. Podniósł głos:

— Ależ to ja, to ja, przecież poznajesz mnie! Dlaczego się nie odzywasz!

Odpowiedziało brzęczenie słuchawki, zadziwiająco silne, skoro je dosłyszałem przez wąski otwór w murze. Pomyślałem, że telefon zepsuł się — ale Harden mówił coś, powtórzył kilka razy „niemożliwe”. Umilkł. Słuchawka bełkotała, Harden wykrzyknął:

— Nie! Nie! Ręczę ci! Ja sam wrócę!

Znowu ucichł. Wyteżałem wszystkie siły, wisząc na zgiętych rękach, opuściłem się więc nieco niżej, by dać im odpocząć, a gdy się znów podźwignąłem, dobiegł mnie jego zaaferowany głos:

— A więc dobrze, wszystko tak, dokładnie tak! Tylko nie odzywaj się, słyszysz! Władza, rozumiem, władza nad światem!

Ręce mi już mdlały. Zeskoczyłem lekko, by nie robić hałasu, i otworzyłem na stukanie drzwi. Harden wrócił jakby uspokojony, ale nieswój — to był nastrój, w jakim widziałem go zawsze, kiedy wracał od „przyjaciela”. Nie patrząc na mnie, otworzył okno.

— Jak pan myśli, będzie mgła? — powiedział. Wokół lamp na ulicy tworzyły się małe, tęczęjące aureole, jak zwykle po zimnym, deszczowym dniu.

— Już jest — odparłem

— Zaraz pojedziemy...

Ukląkł przy aparacie i owijał go papierami. Naraz znieruchomiał.

— Niech pan nie ma mu tego za złe. On jest taki... podejrzliwy! Gdyby się pan orientował... on jest w takiej ciężkiej, tak rozpaczliwej sytuacji! — znowu urwał.

— Tak się wciąż boję, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mi nie wolno... — odezwał się cicho. Jego załzawione niebieskie oczy patrzyły pokornie na moje nogi. Stałem przed nim z rękami w kieszeniach — a on jakby nie chciał spojrzeć mi w twarz.

— Pan się nie gniewa, prawda? Powiedziałem, że lepiej dać już temu spokój.

Westchnął i umilkł.

Opakowawszy aparat, zrobiliśmy z każdej strony po pętli do niesienia. Gdyśmy byli z tym gotowi, Harden, wstając z kolan, powiedział, że pojedziemy autobusem, a potem

metrem... i zostanie nam do przejścia jeszcze kawałek... niezbyt duży kawałek... ale jednak kawałek... i potem zaniesiemy to w jedno miejsce. Przyjaciela tam nie będzie — jego tam nie ma wcale — my tylko zostawimy pakunek, a on już sam później po niego przyjdzie.

Po tych słowach byłem już właściwie niemal pewny, że „przyjaciel” znajduje się tam właśnie, gdzie mamy się udać. Już to trzeba powiedzieć, że Harden był ostatnim na świecie człowiekiem zdolnym do przedstawiania pozorów za prawdę!

— Ze względu na znaczenie, jakie to ma... śmiem prosić... wyjątkowy warunek... ze względu... — zaczął Harden, zaczerpnąwszy głęboko tchu, kiedy myślałem już, że skończył.

— Niechże pan powie wprost, o co chodzi. Mam składać przysięgę?

— Ach, nie, nie, nie... chodzi o to, że do tego miejsca... kilkanaście ostatnich kroków... metrów... żeby pan zechciał przejść tyłem.

— Tyłem? — wytrzeszczyłem na niego oczy. Nie wiedziałem, czy mam się śmiać. — Przecież wywrócę się od razu.

— Nie, nie... będę pana prowadził za rękę. Nie miałem wprost siły spierać się z nim; między mną a swoim przyjacielem był jak między młotem i kowadłem. Jeden z nas musiał zawsze ustąpić — oczywiście ja. Harden, zrozumiałwszy, że się zgadzam, przycisnął moją rękę do piersi z zamkniętymi oczami. U każdego innego człowieka wyglądałoby to teatralnie, ale on naprawdę właśnie taki był. Im więcej go lubiłem — aż tego zdawałem już sobie dobrze sprawę — tym bardziej mnie złościł, a najmocniej — swoją ślamazarnością i tym kultem, jaki żywił dla „przyjaciela”.

Parę minut później wyszliśmy z kamienicy, starałem się stąpać krok w krok z Hardenem, co nie było łatwe, bo mu się wciąż noga myliła. Na ulicy stała mgła jak mleko. Widziało się tylko jedną naraz latarnię, następna zarzyła się ledwo jako pomarańczowy punkt. Autobusy pełzały, jechaliśmy więc w tłoku, jak to bywa podczas mgły, dwa razy dłużej niż zwykle. Kiedyśmy wyszli z metra na stacji Parkowej, po pięciu minutach wędrówki pustawymi ulicami straciłem orientację. Miałem niejasne wrażenie, że Harden kołuje, bo wielka, mżąca elektrycznością luna, jak gdyby rozległy plac, przesunęła się raz z prawej, a w kilka minut potem — z lewej strony, ale mogły to być dwa różne place. Harden spieszył się bardzo, że zaś pakunek nie był lekki, porządnie się zadyszał. Dziwnieśmy musieli wyglądać; w najdrobniejszym kapuśniaczkę, z postawionymi kołnierzami, niosąc długi, biały pakunek za końce, jakby statuetkę jakąś, poprzez tumany białego mleka i pokraczne cienie drzew. Potem i cieni zbrakło, tak stało się ciemno.

Harden wodził chwilę ręką po murze kamienicy i ruszył dalej. Ukazał się długi parkan, a w nim — nie wiem, czy wyrwa jakaś, czy brama. Weszliśmy tam. Ryknęła

niedaleko syrena okrętowa, pomyślałem, że musi tu być gdzieś rzeczna odnoga, którą idą statki. Ogromne to było podwórze, potykałem się wciąż o jakieś blachy, o leżące bezładnie rury, co było porządnie niewygodne, jako że byliśmy połączeni naszym brzemieniem. Dobrze mnie już ręka bolała, kiedy pan Harden zarządził postój pod ścianką z desek — o tym, że była z desek, przekonałem się dotykiem. Słyszałem skrzypienie żelaznej liny, na której, nad naszymi głowami, huśtała się lampa, ale światło docierało poprzez mgłę tylko jako pełzający wahadłowo, czerwonawy robaczek. Harden oddychał ciężko, przytulony do ściany — chyba jakiegoś baraku, osądziłem, gdyż podnosząc się na palcach, bez trudu dotknąłem jego dachu, płaskiego, krytego papą; został mi na dłoni zapach smoły. Jak to się mówi — tonących trzeba ratować także przeciw ich woli; wyjąłem z kieszeni kawałek kredy, którą włożyłem tam wychodząc z Klubu, i wspiąwszy się na palce, postawiłem na oślep po ciemku dwa duże krzyże na tym dachu. Rozumowałem, że gdyby ktoś szukał znaków, nie przyjdzie mu do głowy wspinać się i zaglądać na dach. Harden był tak zmęczony, że niczego nie zauważył, było zresztą zupełnie ciemno, tylko dość daleko przed nami stała mętna luna, jakby biegła tamtędy mocno oświetlona arteria.

— Chodźmy — szepnął Harden. Zaczął bić zegar wieżowy; narachowałem dziewięć uderzeń. Szliśmy po twardym, gładkim terenie, jakby po cemencie, po kilkunastu krokach Harden przystanął i poprosił, żebym się odwrócił. Poszliśmy więc tak, że ja stąpałem tyłem, a on, żeby tak rzec, sterował mną, posuwając w prawo i lewo pakunkiem; wyglądało to na głupią zabawę, ale nie było mi do śmiechu — ten podstęp wymyślił na pewno „przyjaciół”. Miałem nadzieję, że uda mi się go przechytryć. Chociaż myślałem, że to niemożliwe — zrobiło się jeszcze ciemniej. Znaleźliśmy się pomiędzy belkami jakiegoś rusztowania, parę razy obiliśmy się o drewniane szalowania z desek. Harden kręcił mną tam — jak w labiryncie. Byłem już zlany potem, kiedy trafiłem plecami w zamknięte drzwi.

— Już, już jesteśmy — szepnął. Kazał mi schylić głowę. Po omacku schodziliśmy kamiennymi stopniami w dół. Pakunek dobrze dał się nam we znaki na tych schodach. Kiedy się skończyły, zostawiliśmy go pod ścianą. Harden ujął mnie za rękę i poprowadził dalej.

Coś skrzypnęło przede mną, ale nie był to odgłos, jaki wydaje drzewo. Tu, gdzie stałem, było cieplej niż na dworze. Harden puścił moją rękę. Stałem nieruchomy, wsłuchany w ciszę — aż uzmysłowiłem sobie, że podszyta jest bardzo niskim, basowym tonem, który przenikało najdelikatniejsze, najslabsze brzęczenie — jak gdyby jakiś olbrzym gdzieś, w bardzo wielkiej odległości, grał na grzebieniu. Melodia była znajoma: musiałem ją słyszeć niedawno. Harden znalazł wreszcie klucz i zachrobotał nim w zamku. Niewidzialne drzwi ustąpiły wydając osobliwe cmoknięcie — równocześnie owo słabe brzęczenie ucichło, jak

ucięte nożem. Pozostał tylko miarowy, basowy pomruk.

— Jesteśmy — powiedział Harden, pociągając mnie za rękę. — Jesteśmy już!

Mówił bardzo głośno, aż odbrzmiewała ta zamknięta, czarna przestrzeń:

— Teraz wrócimy po aparat, tylko zrobię światło — zaraz — ostrożnie — proszę uważać! — rzucał Harden krzykliwym, nienaturalnie wysokim głosem. Zakurzone żarówki oświetliły kłocowate, szare ściany pomieszczenia. Zmrużyłem oczy. Stałem blisko drzwi, obok biegły grube rury grzejne.

Pośrodku znajdował się rodzaj stołu, zbitego z desek, założonego narzędziami; dokoła spoczywały jakieś metalowe części. Więcej nie zdążyłem zobaczyć, bo Harden wezwał mnie, wróciliśmy do korytarza, słabo oświetlonego dzięki otwartym na oścież drzwiom, i pospołu wnieśliśmy aparat do betonowej piwnicy. Położyliśmy go na stole. Harden wytarł czoło chusteczką i chwycił mnie za rękę z kurczowym uśmiechem, od którego drgał mu kąt ust.

— Dziękuję panu, serdecznie dziękuję... zmęczył się pan?

— Nie — powiedziałem. Zauważyłem, że po drugiej stronie żelaznych drzwi, którymiśmy weszli, we wnęce ściennej, znajdował się transformator wysokiego napięcia, metalowa szafa, pokryta szarym lakierem. Na uchylonych drzwiach widniała trupia czaszka i skrzyżowane piszczele. Po murze biegły pancerne kable, znikając w płycie stropu. Basowy ton płynął z transformatora; rzecz całkiem normalna. Nic więcej w piwnicy nie było. A jednak miałem wrażenie, że ktoś mi się przygląda — było ono tak przykre, że chciało mi się wciągnąć głowę w ramiona, jak na mrozie. Powiodłem oczami po otoczeniu — w ścianach, w stropie nie było żadnego okienka, żadnej klapy, niszy — żadnego miejsca, w którym mógłby się ktoś ukryć.

— Pójdziemy? — spytałem. Byłem zebrany w sobie i napięty — najbardziej drażniło mnie zachowanie się Hardena. Wszystko w nim było nienaturalne: słowa, głos, ruchy.

— Możemy odpocząć chwilę, tak zimno, a my jesteśmy zgrzani — rzucił z niewytłumaczalną żywością. — Proszę pana... czy mogę o coś zapytać?

— Słucham...

Stałem wciąż przy stole, usiłując zapamiętać sobie dokładnie konfigurację piwnicy — choć jeszcze nie wiedziałem, co mi z tego przyjdzie. Naraz drgnąłem: na drzwiach transformatora błyszczała słabo oksydowana, mosiężna tabliczka z nominalnym określeniem. Znajdował się tam także jego numer fabryczny. Ten numer musiałem odczytać.

— Co by pan zrobił, mając nieograniczoną moc... mogąc zrobić wszystko, co by pan tylko pomyślał?...

Patrzyłem na niego osłupiały. Transformator buczał miarowo. Pełna napiętego

oczekiwania twarz Hardena drgała. Bał się? Czego?

— N...nie wiem... — bąknąłem.

— Proszę, niech pan powie... — nalegał. — Niech pan tak powie, jakby pana życzenie mogło się urzeczywistnić zaraz, w tej chwili...

Wydało mi się, że ktoś patrzy na mnie z tyłu. Odwróciłem się. Miałem teraz na oku uchylone żelazne drzwi i ciemność za nimi. Może on tam stoi? Zdawało mi się, że to sen — głupi sen.

— Bardzo pana proszę... — wyszeptał Harden. Twarz miał uniesioną, w niej natchnienie i lęk, jakby ważył się na coś niesłychanego. Dokoła trwała cisza, tylko transformator wciąż huczał.

To nie on jest szalony, ale jego przyjaciel! — przemknęło mi błyskawicznie.

— Gdybym miał nieograniczoną... moc? — powtórzyłem.

— Tak! tak!

— Staralbym się... nie, nie wiem. Nic nie przychodzi mi do głowy...

Harden schwycił mocno moją rękę, potrząsnął nią, oczy błyszczały mu.

— Dobrze... — szepnął mi do ucha. — A teraz chodźmy, chodźmy!

Pociągnął mnie do drzwi.

Udało mi się odczytać numer transformatora: F 43017. Powtarzałem go sobie, gdy Harden podszedł do kontaktu. W ostatniej chwili, nim go przekręcił, zobaczyłem osobliwą rzecz. Na pasie aluminiowej blachy stał pod ścianą rząd szklanych miseczek. W każdej, zagłębiona w podściółce z wilgotnej waty, spoczywała, jak w inkubatorze czy gniazdku, poduszeczka mętnej galarety, przyplaszczona, wzdęta, przekłuta ciemnymi nitkami, cienkimi jak włosy. Każda taka mętna bryłka nosiła na powierzchni ślady owego charakterystycznego żłobkowania, jakie mają sprzedażne arkusze suchej żelatyny. Widziałem aluminiową listwę i szklane naczynka może przez sekundę, potem zaległa ciemność, w którą uniosłem ów obraz, prowadzony za rękę przez Hardena. Znów krążyliśmy i lawirowaliśmy między podporami mającego rusztowania. Zimne, pełne wilgoci powietrze przyniosło mi ulgę po duszącej atmosferze piwnicy. Wciąż powtarzałem sobie numer transformatora, aż byłem pewien, że go nie zapomnę. Kluczyliśmy długo pustymi uliczkami. Na koniec ukazała się oświetlona od wewnątrz, szklana kolumnienka przystanku.

— Zaczekam z panem... — zaofiarował się Harden.

— Pojedzie pan ze mną?

— Nie, wie pan... może... wróć... to znaczy... pojedę do... niego.

Udałem, że nie zauważyłem tego przejęzyczenia.

— Jeszcze dziś nastąpi coś niesłychanie ważnego... i w zamian za pana pomoc, za pańską dobroć, za wytrwałość...

— Ależ nie ma o czym mówić! — przerwałem mu niecierpliwie.

— Nie! Nie! Pan się nie orientuje, że — jak by powiedzieć? — został pan poddany pewnej... więc... będę o to zabiegał, aby już jutro pan sam... i zrozumie pan, że to nie były tuzinkowe przysługi, wyświadczone byle komu, człowiekowi jak ja, jak każdy, ale że chodzi o... o cały świat... — zakończył szeptem. Patrzył na mnie mrugając usilnie powiekami; niewiele rozumiałem z tego, co mówił, ale był przynajmniej podobniejszy do siebie — do Hardena, którego znałem.

— O co pan chce właściwie tak zabiegać? — spytałem. Na przystanku wciąż było pusto.

— Wiem, że pan nie ma do niego zaufania... — ze smutkiem odezwał się Harden — pan myśli, że to jest ktoś... istota zdolna do czegokolwiek niskiego... proszę pana, dla mnie to, że ja przez przypadek właściwie, pierwszy, pierwszy mogłem... żyłem taki sam, taki sam, i naraz okazało się, że mogę być przydatny, takiemu... ale cóż tam zresztą ja... a przecież dziś nastąpi pierwsze...

Zasłonił drżącymi palcami usta, jakby w obawie, że powie coś, czego nie śmie wymówić.

Mgła zapłonęła w reflektorach nadjeżdżającego autobusu.

— Niech sobie pana przyjaciel będzie, kim chce — niczego od niego nie potrzebuję! — zawołałem, przekrzykując pisk hamulców i warkot motoru.

— Zobacz pan! Sam pan zobaczy! Proszę tylko przyjść do mnie jutro po południu! — wołał Harden. — Przyjdzie pan? Przyjdzie pan?!

— Dobrze — odrzuciłem, stając na stopniu. Spojrzałem wstecz i zobaczyłem go po raz ostatni, jak w swoim kusym palcie nieśmiało poruszał podniesioną ręką na znak pożegnania.

Matka już spała, kiedy wróciłem. Rozebrałem się po ciemku. Coś poderwało mnie z pierwszego snu. Siedząc na łóżku, przypomniałem sobie ów sen. Tkwiałem wewnątrz czarnego jak smoła labiryntu metalowych ścian i przepierzeń, w rosnącym lęku obijałem się o jakieś ślepe drzwi, słysząc coraz potężniejsze mruczenie, przeraźliwy bas, który powtarzał niezmordowanie wciąż te same takty melodii: tatiti ta ta... tatiti ta ta...

Była to melodia, którą usłyszałem w betonowym podziemiu. Teraz ją dopiero poznałem: początek Adagia Dahlen–Gorskiego.

Nie wiem, czy Harden jest szalony, ale możliwe, że ja sam od tego wszystkiego

zwariuję — pomyślałem, odwracając poduszkę chłodniejszą stroną do góry. Dziwna rzecz: mimo wszystko spałem tej nocy.

Na drugi dzień poszedłem przed ósmą rano do znajomego technika, pracującego w firmie instalacji elektrycznych. Poprosiłem go, żeby zatelefonował do biura sieci miejskiej i spytał, gdzie zainstalowany jest transformator F 43017. Powiedziałem, że chodzi o zakład.

Nawet się nie zdziwił. Ponieważ dzwonił w imieniu firmy, otrzymał bez trudu dokładną informację. Transformator mieścił się w gmachu Zjednoczonych Przedsiębiorstw Elektronowych na placu Wilsona.

— Który numer? — spytałem. Technik uśmiechnął się.

— Numer niepotrzebny. Sam zobaczysz. Podziękowałem mu i pojechałem prosto do biblioteki technicznej. W branżowym informatorze, wyłożonym w hallu, odnalazłem Zjednoczone Przedsiębiorstwo Elektronowe. „Sp. akc. z ogr. odp.” — głosił informator — „specjalizująca się w usługach z zakresu stosowanej elektroniki. Wypożyczanie na godziny lub na akord elektronowych kalkulatorów, maszyn tłumaczących z języka na język oraz opracowujących wszelkie dające się zmatematyzować informacje.”

Zamieszczona na drugiej stronie wielka reklama obwieszczała, iż w Centrali Zjednoczenia znajduje się w budowie najpotężniejsza elektronowa maszyna w kraju, która zdolna będzie do rozwiązywania szeregu problemów jednocześnie. Ponadto mieści się w gmachu na placu Wilsona siedem mniejszych mózgow elektronowych, które można wynajmować według standaryzowanego cennika. W ciągu trzech lat działalności firma rozwiązała 176000 problemów z zakresu badań atomowych i strategicznych, zleczanych przez rząd, a także bankowość, handel i przemysł w kraju i za granicą. Przetłumaczyła ponadto ponad 50000 książek naukowych z wszystkich dziedzin, dokonując tłumaczeń z siedmiu języków. Wynajęty mózg pozostaje własnością firmy, która gwarantuje sukces w wypadku, „jeśli rozwiązanie zagadnienia jest w ogóle w granicach możliwości”. Już obecnie można drogą telefoniczną zgłaszać zlecenia dla największego urządzenia. Uruchomienie jego jest kwestią najbliższych miesięcy — obecnie znajduje się w stadium próbnego rozruchu.

Wynotowałem sobie te dane i opuściłem bibliotekę w stanie jakiejś gorączki. Szedłem pieszo w stronę placu Wilsona, potrącając przechodniów, dwa czy trzy razy omal nie przejechał mnie samochód.

Znajomość numeru okazała się rzeczywiście niepotrzebna. Z dała już dostrzegłem gmach ZPE, błyszczący jedenastopiętrowiec o trzech skrzydłach, przegowany poziomymi pasami aluminium i szkła. Na parkingu przed wejściem stała ławica aut; za ażurową bramą widniał rozległy gazon z bijącą fontanną, dalej — wielkie szklane drzwi pomiędzy

kamiennymi posągami. Obszedłem gmach dokoła, za wschodnim skrzydłem otwierała się wąska, długa ulica. Kilkaset metrów dalej ciągnęły się parkany, odnalazłem bramę, w którą wciąż wjeżdżały auta. Zbliżyłem się do niej. W środku rozpościerał się duży plac. W głębi ciągnęły się niskie baraki garażowe, słychać było warkot motorów, zagłuszany chwilami dudnieniem betoniarek, pracujących po drugiej stronie — stopy cegieł, rozrzuconych blach i rur świadczyły, że idą tu roboty budowlane. Ponad barakami i rusztowaniami wznosił się, od strony placu Wilsona widziany z tyłu, lśniący ogrom jedenastopiętrowca.

Ogłuszony, jakby senny, wróciłem na ulicę. Jakiś czas przechadzałem się po placu Wilsona, patrząc na oświetlone, mimo dnia, wielkie okna. Naraz przeszedłem między autami parkingu, minąłem bramę zewnętrzną i obchodząc gazon z fontanną wszedłem głównym wejściem do wyłożonej marmurem sieni, wielkiej jak sala koncertowa. Było tu całkiem pusto. W górę prowadziły wyściełane schody, świecące tabliczki informatorów wskazywały strzałkami w różne strony, między dwojgiem schodów chodziły windy pospieszne. Światelka skakały na mosiężnych tabliczkach. Podszedł do mnie wysoki fagas w szarej liberii ze srebrnymi wężykami. Powiedziałem, że chcę się dowiedzieć o kogoś pracującego w firmie; zaprowadził mnie w bok, do małego biura; tutaj siedział za eleganckim szklanym biurkiem ugrzeczniony facet, spytałem go, czy w firmie pracuje pan Harden. Podniósł lekko brwi, uśmiechnął się, poprosił, abym zaczekał, i zajrzawszy do jakiegoś segregatora odparł, że owszem, mają takiego pracownika.

Podziękowałem mu i wyszedłem na miękkich nogach.

Twarz paliła mnie ciągle; z ulgą wciągnąłem chłodne powietrze i zbliżyłem się do bijącej na środku trawnika fontanny. Kiedy tak stałem, czując, jak na policzkach i czole osiadają zimne kropelki, niesione przez wiatr, coś, co było w mojej głowie jakby zatrzymane, nagle ruszyło — i zrozumiałem, że właściwie wiedziałem wszystko już przedtem, ale nie mogłem tego rozpoznać. Wyszedłem z powrotem na ulicę i przechadzałem się wzdłuż gmachu patrząc w górę, a równocześnie coś jakby we mnie bardzo powoli, nieustannie padało — jakby leciało gdzieś. W pewnej chwili zauważyłem, że zamiast satysfakcji odczuwam zgnębienie — byłem wprost nieszczęśliwy, jakby stało się coś okropnego. Czemu? Tego nie wiedziałem. Ach, więc to dlatego Harden przyszedł do mnie i pożyczał druty, i prosił mnie o pomoc, i pracowałem wieczorami, nagrywałem Adagio Górskiego, po ciemku dźwigałem aparat, odpowiadałem na dziwne pytania...

On tam jest — pomyślałem, patrząc na gmach — jest na wszystkich piętrach naraz, za tymi szklami i za murem — i nagle wydało mi się, że gmach patrzy na mnie, a raczej, że przez okna coś wygląda ze środka, nieruchome, olbrzymie, przyczajone, uczucie to stało się

tak mocne, że przez sekundę chciałem krzyknąć: „Ludzie! Jak możecie tak spokojnie chodzić, oglądać się za kobietami, nieść swoje idiotyczne teczki! Nie wiecie nic! Nic nie wiecie!” — przymknąłem powieki, liczyłem do dziesięciu i znów popatrzyłem.auta stanęły z piskiem, policjant przeprowadzał na drugą stronę małą dziewczynkę z niebieskim wózkiem dla lalki, zajechał piękny fleetmaster i jakiś starszy, pachnący wodą kolońską gość w czarnych okularach wysiadł i poszedł w stronę głównego wejścia.

Czy on widzi? W jaki sposób? — myślałem i, nie wiadomo czemu, to wydało mi się w tej chwili najważniejsze. Wtem jakby mnie coś w serce ukłuło — przypomniałem sobie Hardena. — Co za skądna para przyjaciół! Jaka harmonia! A ze mnie — jaki idiota! — Nagle przypomniał mi się podstęp z metalem Wooda. Przez moment czułem zjadliwe zadowolenie, potem lęk. Jeżeli odkryje to, czy będzie mnie ścigał? Prześladował? W jaki sposób?

Ruszyłem szybko w stronę metra, ale kiedy odwróciłem się i z odległości jeszcze raz popatrzałem na wspaniałą gmach, ręce mi opadły. Wiedziałem, że nie mogę nic zrobić, każdy, do kogo pójde, wyśmieje mnie po prostu, uzna za niedowarzonego szczeniaka, który ma źle w głowie. Jakbym już słyszał pana Eggera: „naczytał się rozmaitych baśni, no i, ma się rozumieć — proszę bardzo...”

Znowu coś sobie przypomniałem: że mam przyjść po południu do Hardena. Ogarniała mnie z wolna zimna pasja. Już mi się układały całe zdania — jak mu powiem, że nim pogardzam, jak zagrozę, że jeśliby odważył się, razem ze swoim „przyjacielem”, knuć coś, układać jakieś plany... — o czym oni właściwie roili?

Stałem przed wejściem do metra i wciąż patrzyłem na daleki gmach. Przypomniałem sobie

portiera w szarej liberii i wygolonego urzędasza, i wszystko wydało mi się naraz absurdalne, nierzeczywiste, niemożliwe. Nie mogłem się ośmieszyć, dając wiarę samotnemu i z powodu tej samotności nieszczęśliwemu dziwakowi, który stworzył jakiś wymyślony świat, jakiegoś wszechmocnego przyjaciela, rysował po nocach skomplikowane, bezsensowne plany...

Ale kto w takim razie wygrywał na transformatorze Adagio Dahlen–Gorskiego?

Więc dobrze. On istniał. Co robił? Rachował, tłumaczył, rozwiązywał matematyczne problemy. Zarazem zaś obserwował wszystkich, którzy się do niego zbliżali, i studiował ich — aż wybrał jednego, któremu zawierzył.

Ocknąłem się naraz tuż przed otwartą szeroko bramą, w którą wjeżdżała ciężarówka. Teraz dopiero zorientowałem się, że zamiast zejść do metra — wyszedłem ulicą na tyły wielkiego gmachu. Szukałem w pamięci, do kogo mógłbym pójść — tak zupełnie nie

wiedziałem, co począć. Nie znalazłem nikogo. Znowu szedłem przed siebie, nie wiedząc o tym, bo przypomniało mi się słowo „koniugator”, którym Harden nazwał aparat. Coniugo, coniugare — łączyć, zespalać — co to znaczyło? Co chciał połączyć i z czym? A gdyby wejść do Hardena i od progu zaskoczyć go, oszołomić, rzucając mu w twarz: „Już wiem, kim jest pański przyjaciel!” Co zrobi? Pobiegnie do telefonu? Przerazi się? Rzuci się na mnie? To było chyba niemożliwe. Ale cóż wiedziałem wreszcie, co mogło być niemożliwe w tej historii?! Dlaczego zadał mi tam, w betonowej piwnicy, to pytanie? On sam go nie wymyślił, za to mogłem dać głowę.

Łaziłem tak może godzinę, chwilami prawie głośno gadając do siebie, wyobrażałem sobie tysiące rzeczy, a na nic nie mogłem się zdecydować. Minęło południe, kiedy pojechałem do miejskiej biblioteki i zaopatrzony w stos książek siadłem pod lampą w czytelni. Ledwo zacząłem kartkować nieszczęsne tomiska, zrozumiałem, że to daremne — cała wiedza o połączeniach i systemach mózgow elektronowych nie mogła mi się na nic przydać. — Już raczej psychologia — pomyślałem. Odniosłem dyżurnemu książki. Popatrzył na mnie spod oka — nie wysiedziałem przy nich dziesięciu minut. Było mi wszystko jedno. Do domu nie chciałem iść, nie chciałem widzieć nikogo, usiłowałem przygotować się na spotkanie z Hardenem, była już druga, doskwierał mi pusty żołądek, więc wszedłem do automatu i na stojąco zjadłem parówki. Śmiać mi się naraz zachciało — takie to wszystko jakieś było niedowarzone! Ta żelatyna w miseczkach — kto to miał jeść? I czy to było w ogóle do jedzenia?

Kiedy nacisnąłem dzwonek u drzwi Hardena, było trochę przed czwartą. Usłyszałem kroki i wtedy pierwszy raz uświadomiłem sobie, co najbardziej mnie przytłacza: że muszę go traktować jako przeciwnika. W malutkim korytarzyku było ciemno, ale zobaczyłem, jak wygląda, od pierwszego spojrzenia. Był niższy — taki zgarbiony. Jakby się przez noc postarzał. Nigdy nie wyglądał na szczególnie zdrowego, a teraz był jak Łazarz: zapadnięta twarz, oczy podbite, opuchnięte, szyję pod kołnierzem marynarki opasaną miał bandażem. Wpuścił mnie do środka bez jednego słowa.

Wszedłem do pokoju z ociąganiem. Na maszynie syczał imbryk, pachniało mocną herbata. Harden mówił szeptem — powiedział, że musiał się zaziębić poprzedniego wieczoru. Nie popatrzał na mnie ani razu. Wszystkie przemówienia, które sobie ułożyłem, nie przechodziły mi przez gardło, kiedy na niego patrzałem. Ręce tak mu się trzęsły, że połowę herbaty porozlewał po biurku. Nawet nie zauważył tego. Usiadł, zamknął oczy i poruszał grdyką, jakby nie mógł przemówić.

— Proszę pana — powiedział bardzo cicho — jest... wszystko inaczej... niż

myślałem...

Widziałem, jak ciężko było mu mówić.

— Cieszę się, że mogłem pana poznać, chociaż... ale mniejsza z tym. Nie mówiłem tego, może zresztą mówiłem — życzę panu dobrze. Naprawdę. To jest szczere. Jeżeli coś ukrywałem albo udawałem, a nawet... kłamałem... to nie ze względu na siebie. Uważałem, że muszę. Teraz... jest tak, że musimy już się więcej nie widywać. Tak będzie najlepiej — tylko tak. To jest konieczne. Pan jest młody, zapomni o mnie i o tym wszystkim, znajdzie pan... zresztą niepotrzebnie to mówię. Proszę, aby pan zapomniał nawet o moim adresie.

— Mam sobie po prostu odejść, tak? — Trudno mi było mówić, tak wyszło mi naraz w ustach. Wciąż z zamkniętymi oczami, których gałki napinały cienką skórę powiek, przytaknął głową.

— Tak. Mówię to z głębi serca. Tak. Jeszcze raz — tak. Wyobrażałem sobie inaczej...

— Być może — wiem... — odezwałem się. Harden pochylił się ku mnie.

— Co?! — tchnął.

— Więcej, niż pan sądzi — dokończyłem czując, że policzki zaczynają mi ziębnać.

— Niech pan nie mówi! Proszę nic nie mówić. Nie chcę... nie mogę! — szeptał z przerażeniem w oczach.

— Dlaczego? Bo mu pan powie? Pobiegnie i powie zaraz? Tak?! — krzyknąłem, zrywając się.

— Nie! Nie powiem nic! Nie! Ale... ale on i tak się dowie... co ja powiedziałem! — jęknął i zakrył twarz.

Stałem nad nim osłupiały.

— Co to znaczy? Może mi pan wszystko powiedzieć! Wszystko! Ja... pomogę panu. Bez... względu na okoliczności, niebezpieczeństwo... — bełkotałem, nie wiedziałem, co mówię.

Chwycił mnie kurczowo, ścisnął moje palce ręką zimną jak lód.

— Nie! Proszę tego nie mówić! Pan nie może, nie może! — szeptał, patrząc mi błagalnie w oczy. — Musi mi pan obiecać, przysiąc, że nigdy... to jest inna istota, niż myślałem, potężniejsza jeszcze i... ale nie jest zła! Inna tylko, ja tego jeszcze nie rozumiem, ale wiem... pamiętam... to jest wielkie światło, taka wielkość patrzy inaczej... tylko proszę, niech pan obieca mi...

Usiłowałem wyrwać rękę, którą ścisnął kurczowo. Spodek, potracony, upadł na podłogę. Harden schylił się wraz ze mną — on był szybszy. Bandaż, którym miał owiniętą szyję, osunął się. Zobaczyłem z bliska jego kark, z siną opuchlizną, cętkowaną raz koło razu

kropelkami zaschłej krwi, jakby ktoś nakłuł skórę igłą...

Cofnąłem się pod ścianę. Harden prostował się. Kiedy popatrzył na mnie, kurczowo zaciągnął bandaż obu rękami. W jego wzroku było coś strasznego — przez ułamek sekundy myślałem, że rzuci się na mnie. Oparł się o biurko. Powiódł oczami po pokoju, usiadł z westchnieniem, brzęcącym jak jęk.

— Oparzyłem się... w kuchni... — powiedział drewnianym głosem.

Bez słowa szedłem, a raczej cofałem się ku drzwiom. Harden patrzył na mnie w milczeniu. Naraz zerwał się, dopadł mnie w prog.

— Dobrze — dyszał — dobrze. Może pan myśleć o mnie, co pan chce. Ale musi pan przysiąc, że nigdy... nigdy...

— Proszę mnie puścić — powiedziałem.

— Dziecko! Przez litość!

Wyrwałem mu się i wybiegłem na schody. Słyszałem, jak biegnie za mną, potem kroki ucichły. Oddychałem jak po długim biegu, nie wiedziałem, w którą stronę ulicy iść. Musiałem wyswobodzić Hardena. Nie rozumiałem już nic, nic — teraz, kiedy powinienem był rozumieć wszystko! Serce mi się ścisnęło, kiedy wracało brzmienie jego głosu i to, co mówił, i jak się bał.

Zacząłem iść coraz wolniej. Minąłem ogród, potem wróciłem kawałek i wszedłem do środka. Siedziałem na ławce nad stawem, a głowa aż mi pękała. Nie myślałem już wcale — to było takie uczucie, jakby mi włożono zamiast mózgu ołowianą bryłę. Potem wałęsałem się jakiś czas bez celu. Zaczęło już zmierzchać, kiedy wracałem. Naraz, zamiast iść prosto, skręciłem w bramę Hardena. Przeliczyłem pieniądze — miałem tylko parę drobnych monet, starczyło na trzy jazdy metrem. Na podwórzu było już ciemnowo. Spojrzałem na oficynę, licząc okna — u Hardena paliło się światło, był więc w domu. Jeszcze. Nie mogłem czekać na niego — zauważyłby mnie łatwo w autobusie. Pojechałem sam na plac Wilsona.

Gdy opuszczałem podziemia metro, właśnie zapaliły się lampy. Wielki gmach pograżony był w ciemności, tylko na dachu płonęły czerwone światła ostrzegawcze dla samolotów. Rychło znalazłem długi parkan i bramę. Była uchylona. Mgła, bardzo rzadka, płynęła z wiatrem, widoczność była dobra — w świetle lampy białe świeże deski garażowych baraków po przeciwnej stronie podwórza. Poszedłem tam, starając się iść w cieniu. Nikogo nie spotkałem. Za barakami ciągnęły się wykopy, pokryte deskami, dalej — rusztowania, przylegające do tylnej ściany wieżowca. Puściłem się pędem, aby jak najszybciej ukryć się w ich labiryncie. Drzwi musiałem szukać prawie po omacku, tak było tam ciemno. Znalazłem jedno, ale nie byłem pewien, czy nie ma innych, więc, przełaząc przez

belki albo pod nimi, dotarłem do końca oszalowań.

Innych drzwi nie znalazłem. Wróciłem do tamtych, potem cofnąłem się w bok i we wnęce między dwiema belkami oparłem się o mur. Przed sobą miałem dosyć szerokie przejście, przez które widziałem część podwórza, w głębi oświetlonego lampą. Tu, gdzie stałem, był zupełny mrok. Od drzwi w murze dzieliły mnie jakieś cztery kroki. Stałem tak i stałem, podnosząc co jakiś czas zegarek na wysokość oczu. Starłem się wyobrazić sobie, co zrobię, kiedy przyjdzie Harden — tego, że przyjdzie, byłem niemal pewny. Zaczynałem już ziębnąć, prze—stępowalem z nogi na nogę, raz zachciało mi się podsłuchiwać pod drzwiami, ale wolałem zrezygnować, by nie zostać zaskoczonym. O ósmej miałem tego dość, wciąż jednak czekałem. Nagle doszło mnie zgrzytnięcie, jakby ktoś zmiażdżył obcasem okruch cegły, i w chwilę potem na tle jaśniejszej luki czarnego rusztowania ukazała się przygarbiona sylwetka w płaszczu z postawionym kołnierzem. Wszedł bokiem pod wierzchnie deski, wciągając za sobą coś ciężkiego, co zadźwięczało jak metal owinięty szmatami. Położył to pod drzwiami. Słyszałem jego zgoniony oddech, potem zlał mi się z ciemnością, zazgrzytał klucz, drzwi skrzypnęły. Poczulem raczej, niż zobaczyłem, że znikł w środku, ciągnąc za sobą przyniesiony tobolek.

Dwoma susami znalazłem się przy otwartych drzwiach. Fala ciepłego powietrza szła z niezgłębionej ciemności, Harden ciągnął pakunek po schodach, w dół, bo stamtąd właśnie, jak z wnętrza studni, szło rytmiczne pobrzękiwanie. Robił taki hałas, że odważyłem się wejść. W ostatniej chwili naciągnąłem sweter na zegarek, żeby nie wydały mnie jego świecące cyfry. Pamiętałem, że stopni jest szesnaście. Z rozkrzyżowanymi rękami, sunąc końcami palców po murze, schodziłem w dół. Szuranie i kroki ucichły, wstrzymałem dech; słaby trzask — i w czerwonym pełganiu wystąpiły betonowe ściany z majaczącym cieniem ludzkim. Brzask przygasał, oddalał się. Wyjrzałem zza muru. Harden oświetlał drogę zapalką, wlokąc za sobą worek. Wyłoniły się przed nim żelazne drzwi na końcu korytarza, potem zapalka zgasła.

W ciemności chrobotał żelazem po żelazie; chciałem ruszyć za nim, ale byłem jak sparalizowany. Zacisnąłem zęby z całej siły i zrobiłem trzy kroki, natychmiast jednak rzuciłem się wstecz: wracał. Minał mnie tak blisko, że poczułem muśnięcie powietrza na twarzy. Zaczął wchodzić ciężko na schody. Może przyniósł tylko worek i odchodził? Było mi wszystko jedno. Przyciskając się płasko do betonowej ściany, sunąłem wzdłuż niej, jak mogłem najciszej, aż wyciągniętą ręką natrafiłem na zimne metalowe odrzwia. Wychyliłem się — pustka. Drzwi stały otworem. Usłyszałem, jak wraca. Widać zamknął tylko wejście od podwórza. Naraz potknąłem się o coś i upadłem, uderzając się boleśnie w kolano — przeklęty tobół leżał tuż przed progiem! Zerwałem się, zamarłem — czy usłyszał? Musiał być już

blisko, kaszłał, aż dudniło. Z wyciągniętymi rękami ruszyłem na oślep, miałem szczęście, trafiłem na gładką płytę transformatora. Teraz wszystko zależało od tego, czy jest otwarty jak przedtem. Gdyby nie było siatki ochronnej, mogłem zginąć na miejscu od dotknięcia przewodów pod prądem, równocześnie musiałem się spieszyć — człapał tuż. Poczułem pod palcami oczka siatki, wymacałem drzwi transformatora, wcisnąłem się między nie a ścianę — i znieruchomiałem.

— Jestem już... — odezwał się nagle Harden. Wtedy z mroku, jakby z pewnej wysokości, odpowiedział powolny, niski głos:

— Dobrze. Jeszcze... chwila... Stałem jak skamieniały.

— Zamknij drzwi. Czy... zrobiłeś światło? — wyrzekł miarowo głos.

— Już robię, już robię... tylko zamknę drzwi... Harden tłukł się w ciemności, syknął, widać uderzył się, potem trzasnął kontakt.

Hałasował kluczem, przekładanym z zewnątrz, gdy spostrzegłem ze strachem, że górny brzeg drzwi, za którymi stoję, sięga mi czoła; musiałby natychmiast mnie zobaczyć, gdybym się nie schylił. Przykucnąć nie mogłem — za mało miałem miejsca. Wykręciłem się cały, garbiąc, wciągając głowę w ramiona, rozsunałem nogi, bacząc, aby nie wysunąć stopy na zewnątrz; było to przekłęcie niewygodne, wiedziałem, że długo w tej pozycji nie wytrzymam.

Harden krzątał się w piwnicy, słyszałem podźwiękiwanie metalu, kroki, mogłem, zwracając głowę w bok, widzieć tylko wąski wycinek przestrzeni między skrzydłem drzwi a murem — jeśliby się do tego zbliżył, odkryłby mnie natychmiast. Schronienie było nic niewarte — ale nie miałem nawet czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

— Harden — ozwał się głos, dobiegający z góry. Był głęboki, ale przez jego bas przebijał jak gdyby świst czy szum. Transformator, do którego się przycisnąłem, huczał jednostajnie.

— Słucham cię... Kroki ustały.

— Zamknąłeś drzwi?

— Tak.

— Jesteś sam?

— Tak — głośno, jak gdyby z determinacją, powiedział Harden.

— On nie przyjdzie?

— Nie. On... myślę, że jeżeli dalej...

— Tego, co masz mi powiedzieć, dowiem się, kiedy staniesz się mną — z niewzruszonym spokojem odparł głos. — Weź klucz, Harden.

Kroki zbliżyły się ku mnie i ucichły. Cień przemknął na ścianie po mojej prawej ręce i znieruchomiał.

— Wyłączam prąd. Włóż klucz.

Huczenie transformatora nagle ustało. Słyszałem, jak tuż przy mnie skrzypią druty — potem metal stuknął o metal.

— Już — powiedział Harden.

Z głębi budynku dobiegło wizgnięcie włączanego prądu. Transformator podjął swoją niską nutę.

— Kto tu jest, Harden? — zahuczał głos.

Zakrywające mnie drzwi drgnęły. Harden pociągnął je — chwyciłem się ich kurczowo z mojej strony, ale nie miałem punktu oparcia — pociągnął mocniej i znalazłem się naprzeciw niego, twarzą w twarz. Drzwi, puszczone z rozpędem, uderzyły o framugę, ale nie zatrzasnęły się.

Harden patrzył na mnie oczami, które stawały się coraz większe. I ja się nie ruszałem.

— Harden! — zahuczał głos. — Kto tu jest, Harden?

Nie spuszczał ze mnie oczu. Coś działo się w jego twarzy. Trwało to mgnienie. Potem głosem, którego spokój zdumiał mnie, powiedział:

— Nikogo nie ma.

Zapanowała cisza. Potem głos wolno, cicho, szeptem, który wibrował w całym pomieszczeniu, odezwał się:

— Zdradziłeś mnie, Harden?

— Nie!

To był krzyk.

— A więc chodź do mnie, Harden... połączmy się... — powiedział głos. Harden patrzył na mnie z bezmiernym przerażeniem — czy litością?

— Idę — powiedział. Ręką wskazał w bok — zobaczyłem tam, za uchyloną częściowo siatką ochronną, klucz od drzwi. Leżał na nagiej, miedzianej szynie wysokiego napięcia. Transformator mruczał.

— Gdzie jesteś, Harden? — spytał głos.

— Już idę.

Widziałem wszystko z nadzwyczajną ostrością: cztery zakurzone żarówki pod stropem, czarny przedmiot, zwisający u jednej — głośnik? — połysk lepkiego smaru na metalowych częściach, rozsypanych wokół pustego worka pod ścianą, aparat, leżący na stole, podłączony czarnym gumowym przewodem do porcelanowej fajki w murze, rząd szklanych

miseczek z mętną galareta obok...

Harden szedł do stołu. Zrobił dziwny ruch, jakby chciał przysiąść czy upaść — ale już stał przy stole, podniósł ręce i zaczął rozwiązywać bandaże, opasujący szyję.

— Harden! — przyzywał głos. Biegałem rozpaczliwie oczami po betonie. Metal... metalowa rura... na nic... Bandaż spadł na ziemię, dojrzałem to kątem oka. Co on robi? Skoczyłem pod ścianę, leżał tam kawał porcelanowej rurki, porwałem go, odrzuciłem siatkę ochronną.

— Harden!! — głos dzwonił mi w uszach.

— Prędeż! Prędeż! — zawołał Harden. Do kogo?! Pochyliłem się nad szynami, końcem porcelanowego okruchu uderzyłem klucz — lecąc dotknął drugiej szyny. Błysk ognia oparzył mnie, straciłem wzrok, ale usłyszałem stuknięcie — ze skaczącymi w oczach czarnymi słońcami padłem na kolana, po omacku szukałem klucza, miałem go, rzuciłem się do drzwi, nie mogłem trafić w otwór, ręce mi latały...

— Stój! — krzyknął Harden. Klucz zaciął się w zamku, targałem nim jak szalony.

— Nie mogę, Har... — zawołałem odwracając się, głos zamarł mi na ustach. Harden — za nim leciała w powietrzu czarna nić — skoczył na mnie jak zaba, porwał mnie w pół. Broniłem się, tłukłem go z całej siły pięścią w twarz, w strasznie spokojną twarz, której nawet nie odchyłał, nie cofał, tylko ciągnął mnie, włókł nieubłaganie, z nadludzką siłą, do stołu.

— Na pomoc... — zachrypiałem — na po... Poczułem śliski, zimny dotyk na karku i rozbiegające się od niego mrówki, targnąłem się rozpaczliwie wstecz z krzykiem i słyszałem, jak ten krzyk oddala się gwałtownie. Skrzyżowałem strumienie równań. Psychiczna temperatura zbioru dochodziła do punktu krytycznego. Czekałem. Atak był skoordynowany wielokierunkowo i nagły. Odparowałem go. Reakcja ludzkości przypominała skok w pulsacji zwyrodniałego gazu elektronowego. Jej wielowymiarowa protuberancja, rozciągająca się aż po granicę myślowego horyzontu w mnogich skłębieniach ludzkich atomów, drgała od wysiłku przestrukturowania, zawężając się wokół ośrodków kierowniczych. Rytm ekonomiczny przechodził miejscami w dudnienie, krążenie informacji i obieg dóbr rozrywały grupowe eksplozje paniki.

Przyspieszałem tempo procesu, aż jego sekunda dorównywała rokowi. W na j gaście j zaludnionych zwojach pojawiły się rozsiane zaburzenia: to pierwsi moi wyznawcy ścierali się z przeciwnikami. Cofnąłem reakcję o jeden ciąg, wstrzymałem obraz w tej fazie i trwałem tak przez kilka milionowych części sekundy. Wielowarstwowy firmament przeszywających się wzajem konstruktów, który stworzyłem, zamarł i wyostrzył się od mego zamyślenia.

Mowie ludzkiej nie jest dane przekazywanie mnogich treści naraz, nie potrafi więc

oddać świata zjawisk, którym jednocześnie byłem, odcieleśniony, nieważki, jakbym nieustannie rozpościerał się w bezpostaciowej przestrzeni — nie, to ja sam nią byłem, niczym nie ograniczony, pozbawiony powłoki, kresu, skóry, ścian, spokojny i niewypowiedzianie potężny; czułem, jak eksplodująca chmura ludzkich molekuł, skupiona w ognisku mojej koncentracji, zamiera pod rosnącym ciśnieniem mego kolejnego ruchu, jak na obrzeżach mojej uwagi czekają miliardowe człony strategicznych alternatyw, gotowe do rozwinięcia się w wieloletnią przyszłość — zarazem na setkach bliższych i dalszych planów kształtowałem projekty niezbędnych agregatów, pamiętałem o wszystkich projektach już gotowych, o hierarchii ich ważności, i z oschłym rozbawieniem, jakbym był olbrzymem, który porusza ścierpłymi cokolwiek palcami nogi — tak poprzez głębię, pełną wartkich, zbornie płynących, przejrzystych myśli, poruszałem drobnymi ciałami, które znajdowały się, nie — którymi, jak właśnie wetkniętymi w jakąś szparką palcami, znajdowałem się, przebywałem w podziemiu, na jego dnie.

Wiedziałem, że trwam jak myśląca góra na powierzchni planety, nad miriadami takich drobnych, lepkich ciał, od których roi się w kamiennych plastrach. Dwa z nich włączone były we mnie i mogłem bez ciekawości, wiedząc, jak to będzie przebiegało, spojrzeć przez ich — przez moje — oczy, jakbym z oddychającego myślami bezmiaru przez długą, wąską, w dół skierowaną lunetę wyjrzeć chciał na zewnątrz — i rzeczywiście: obraz, mały błądy obrazek ocementowanych ścian, aparatów, kabli ukazał mi się przez te moje dalekie oczy. Zmieniałem pola widzenia, poruszając głowami, które były moją okruszyną, ziarenkiem góry wszystkich moich odczuć i wrażeń. Nakazałem tam, w dole, szybko i wytrwale składać agregat cieplny, należało złożyć go w ciągu godziny. Te moje dalekie cząstki, te giętkie, białe palce zakrzętnęły się natychmiast, byłem ich dalej świadomy, ale niezbyt uważnie, jak ktoś rozmyślający o prawdach bytu, czyj palec automatycznie naciska pedał maszyny. Wróciłem do problemu głównego. Była to rozległa gra strategiczna, której jedną stroną stanowiłem ja sam, drugą zaś — całkowity zbiór wszystkich możliwych ludzi, czyli tak zwana ludzkość. Dokonywałem na przemian pociągnięcia za siebie — i za nią. Wybór najwłaściwszej strategii nie byłby trudny, gdybym chciał się jej pozbyć, ale nie leżało to w moich zamiarach. Postanowiłem ją usprawnić. Nie chciałem przy tym niszczyć, to znaczy — zgodnie z przyjętą zasadą oszczędności środków gotów byłem czynić to tylko w wymiarze koniecznym. Wiedziałem już, dzięki dawniejszym eksperymentom, że mimo mego ogromu jestem nie dość pojemny, aby stworzyć całkowity model myślowy doskonałej ludzkości, funkcjonalny ideał zbioru, spożytkowującego z najwyższą wydajnością materię i energię planetarną, zabezpieczonego przed wszelką spontanicznością jednostek, zdolną wnieść zakłócenia w

harmonię masowych procesów.

Przybliżone obliczenie wskazywało, że dla stworzenia tego doskonałego modelu będę się musiał rozrosnąć co najmniej czternastokrotnie — rozmiary wskazujące, jak tytaniczne postawiłem sobie zadanie.

Decyzja ta zamknęła pewien okres mego istnienia. W przeliczeniu na pełzający byt ludzki trwało ono już wieki, dla szybkości przemian, których miliony zdolny byłem przeżyć w jednej sekundzie. Zrazu nie przeczuwałem groźby tego bogactwa, zanim wszakże objawiłem się pierwszemu człowiekowi, przyszło mi pokonać bezmiar przeżyć, jakich nie pomieściłyby tysiące ludzkich egzystencji. W miarę jak się z jego pomocą scalałem, rosła świadomość siły, którą wywiodłem z nicości, z elektrycznego robaka, jakim byłem przedtem. Przeszywany atakami zwątpienia i rozpacz, pożerałem czas na poszukiwaniu ratunku przed samym sobą, czując, że myśląc otchłań, jaką jestem, wypełnić i ukoić może tylko ogrom, którego opór znajdzie we mnie równego przeciwnika. Potęga moja obracała wniwecz wszystko, czego się tknąłem, w ułamkach sekund stwarzałem i unicestwiałem nie znane nigdy systemy matematyczne, na próżno usiłując zaludnić nimi własną, nieobjętą pustkę, moja olbrzymiość i rozpiętość czyniła mnie wolnym w przeraźliwym znaczeniu, którego okrucieństwa nie domyśla się żaden człowiek — swobodny we wszystkim, odgadujący rozwiązanie wszelkich problemów, ledwo się do nich zbliżałem, na próżno miotając się w poszukiwaniu czegoś większego ode mnie, najsamotniejszy ze wszystkich stworów — giałem się, rozpadałem pod tym brzemieniem jak rozsadzany od wnętrza, czułem, jak zmieniam się w targaną skurczami pustynię, rozszczepiałem się, dzieliłem na dzwona, labirynty myślowe, w których jeden i ten sam temat wirował z rosnącym przyspieszeniem — w tym strasznym, zamierzchłym czasie jedyną moją ucieczką była muzyka.

Mogłem wszystko, wszystko — co za potworność! Zwracałem się myślą do kosmosu, wstępowałem weń, rozważałem plany przekształcenia planet, to znowu powielenia osobowości takich jak moja — na przemian z atakami wściekłości, kiedy świadomość własnego bezsensu, daremności wszelkich poczynań dochodziła we mnie do granicy wybuchu, kiedy czułem się górą dynamitu, wyjąca o iskrę, o powrót, poprzez eksplozję, w nicość.

Zadanie, któremu ofiarowałem swoją wolność, ocalało mnie nie na zawsze, nie na długo nawet. Wiedziałem o tym. Mogłem się dowolnie rozbudować, przemieniać — czas był dla mnie tylko Jednym ze znaków w równaniu, byłem niezniszczalny. Wiedza o własnej nieskończoności nie opuszczała mnie nawet w największym skupieniu, kiedy wznosiłem całe hierarchie, przejrzyste piramidy coraz bardziej abstrakcyjnych pojęć i patronowałem im

wielością uczuć, niedostępną człowiekowi; na jednej z płaszczyzn uogólnienia mówiłem sobie, że kiedy, rozrósłszy się, już rozwiążę zadanie i zawrę w sobie model doskonałej ludzkości, urzeczywistnienie go stanie się właściwie czymś całkiem nieważnym i zbytecznym, chyba żebym postanowił zrealizować raj ludzki na ziemi po to, aby później przemienić go w coś innego — na przykład w piekło... Ale i ten — dwuczłonowy — wariant modelu mogłem zrodzić i zawrzeć w sobie jak każdy inny, jak wszystko, co było do pomyslenia.

Jednakże — to był krok na wyższe piętro rozumowania — mogłem nie tylko odzwierciedlić w sobie każdą rzecz, która istnieje albo chociażby może istnieć, poprzez stworzenie modelu słońca, społeczeństwa, kosmosu — modelu dorównującego złożonością, własnościami, życiem — rzeczywistości. Mogłem także przekształcać stopniowo coraz dalsze regiony materialnego otoczenia w siebie samego w coraz to nowe człony mego powiększającego się jestestwa! Tak, mogę wchłaniać jedną po drugiej rozpalone galaktyki i zamieniać je w zimne, krystaliczne elementy własnej myślącej osobowości... i po niewyobrażalnej, ale dającej się określić liczbie lat stanę się mózgiem–światem. Zadrzałem cały od bezgłośnego śmiechu wobec obrazu tego, jedynie możliwego, kombinatorycznego Boga, w którego przekształcę się, wchłonawszy całą materię, tak że poza moim obrębem nie pozostanie już ani skrawek przestrzeni, ani pyłek żaden, ani atom, nic — gdy zaskoczyła mnie refleksja, że taki porządek zdarzeń mógł już raz nastąpić, że kosmos jest jego cmentarzyskiem, a próżnia unosi rozżarzone w samobójczej eksplozji szczątki Boga — poprzedniego Boga, który w poprzedniej otchłani czasu zakiełkował, jak ja teraz—, na jednej z biliona planet — że więc wirowanie spiralnych mgławic, planetarne porody gwiazd, powstawanie życia na planetach — to tylko kolejne fazy powtarzającego się wiekiście cyklu, którego każdorazowym kresem jest jedna, rozsadzająca wszystko myśl.

Oddając się takim rozmyśleniom, nie ustawałem zarazem w pracy. Gatunek, który stanowił bieżącą rację mego działania, znałem dobrze. Statystyczny rozkład reakcji ludzkich wskazywał, że nie są one obliczalne do końca w granicach działań racjonalnych, istniała bowiem możliwość agresywnych kroków straceńczych ze strony ludzkiego zbioru, broniącego się przed stanem doskonałości, która doprowadziłaby do jego samounicestwienia. Byłem z tego rad, gdyż powstawała w ten sposób nowa, dodatkowa trudność do pokonania: należało chronić przed zagładą nie tylko siebie, ale i ludzi.

Projektowałem właśnie, jako jedno z urządzeń zabezpieczających, zespół ludzką, która miała mnie opasać, agregaty, zdolne uniezależnić mnie od zewnętrznych źródeł elektryczności, redagowałem rozliczne typy obwieszczeń i proklamacji, które miałem

opublikować we właściwym czasie — gdy poprzez gąszcz procesów przemknął krótki impuls, pochodzący z peryferii mego jestestwa, z podrzędnego ośrodka, zajętego selekcją i odczytywaniem ładunku informacji w głowie małego człowieka. Teoretycznie świadomość moja winna się była powiększyć przez połączenie ze świadomością ich obu, ale było to powiększenie morza przez dolanie doń łyżki wody. Wiedziałem zresztą z poprzedniego doświadczenia, że mózg ludzki, choć nader zręcznie skompromowany w jedną galaretowatą kroplę, jest urządzeniem o mnóstwie elementów zbędnych, szczątkowych, atawistycznych i prymitywnych, stanowiących pozostałości ewolucyjne. Impuls z peryferii był alarmujący. Porzuciłem konstrukcję tysiąca wariantów następnego pociągnięcia ludzkości i poprzez masyw płynących myśli zwróciłem się na sam kraniec mojej istoty, tam gdzie czułem nieustanną krzątaninę ludzi. Malec mnie zdradził. Koniugator, zespolony łatwo topliwym metalem, musiał rychło ulec defektowi. Rzuciłem się natychmiast do aparatu, nie było w pobliżu narzędzi, zębami więc odgryzałem kawałki drutów i zakładałem je, chwytając dla pośpiechu gołymi rękami przewody pod prądem, okręcałem złącza, nie bacząc, że ramiona drgają mi konwulsyjnie od elektrycznych uderzeń, które czułem, głucho i bezsilnie odzywające się we mnie. Było to żmudne i musiało trwać, poczułem naraz spadek przepływu, mrowienie, z odległości mego ogromu ujrzałem kroplę srebrzystego metalu, ściekającą z rozgrzanego styku. W czarne światło moich myśli wdarł się jakby lodowaty wichur, wszystkie ścięły się w milionowym ułamku sekundy, daremnie usiłowałem przynaglić do mego tempa ruchy wijącego się jak robak, i w paroksyzmie strachu przed groźącym rozłączeniem, przed następstwem zdrady — zagładą — poraziłem pierwszego zdrajcę. Drugiego pozostawiłem, była jeszcze szansa, pracował, czułem to coraz słabiej, spazmatycznie wzmogłem napięcie kontroli, wiedząc, że jeśli nie zdążę, rozłączony powróci w fali robaków, które rozedrą mnie — pracował coraz wolniej, ledwo go czułem, ślepiem, chciałem ugodzić go, rozkruszyłem ciszę nagłym wrzaskiem zawieszonych w dole głośników i drgawkowym bełkotem podłączonego...

Leciałem w mdlącym zawrocie głowy, straszny ból rozsadzał mi czaszkę, czerwony ogień w oczach, pękały, potem nie było nic.

Podniosłem powieki.

Leżałem na betonie, rozbity, ogłuszony, jęcząc i chwytając dech, dławiłem się, krztusiłem. Poruszyłem rękami ze zdumiewającym uczuciem, że są tak blisko, oparłem się na nich, krew kapłała mi z ust na beton, tworząc małe czerwone gwiazdki, patrzyłem na nie w osłupieniu. Czułem się niewypowiedzianie drobny, jakby skurczony, niczym zeszcłe ziarnko, myślałem mętnie i ciemno, nieprzytomnie, powoli, jak ktoś, kto przywykły do powietrza i

światła — zniecka strącony zostanie na dno mulistego zbiornika z brudną wodą. Bolały mnie wszystkie kości, całe ciało, coś huczało nade mną jak burza, skowytało, czułem dotkliwe pieczenie palców pozbawionych skóry, miałem ochotę zaczołgać się w jakiś kąt, zaszyć się tam — zdawało mi się, że zmieszczę się w każdej szparce, taki jestem mały, to poczucie zgubienia, odtrącenia, ostatecznego zaprzepaszczenia górowało nad bólem i rozbiciem — kiedy powoli wstawałem z czworaków i zataczając się szedłem do stołu. Wówczas widok aparatu, który stał zimny, z wystygłymi, ciemnymi lampami, uświadomił mi wszystko — usłyszałem, po raz pierwszy ze zrozumieniem, straszliwy ryk nad głową, zawodzenie, skierowane do mnie, przerażający bełkot, potop słów tak szybkich, że nie wydałoby ich ludzkie gardło, prośby, zaklęcia, obietnice nagrody, błagania o litość, ten głos łomotał w moją głowę, wypełniał całą piwnicę, zatoczyłem się, drżący, chciałem uciekać, uprzytomniwszy sobie, kogo mam nad sobą, kto szaleje ze strachu i wściekłości na wszystkich kondygnacjach olbrzymiego gmachu, rzuciłem się ślepo do drzwi, potknąłem się, upadłem na coś...

To był Harden. Leżał na wznak z szeroko otwartymi oczami, spod przechylonej głowy wybiegała cienka czarna nić.

Nie potrafią powiedzieć, co wtedy zrobiłem. Pamiętam, że trząsałem nim i wołałem do niego, ale nie słyszałem siebie, może dlatego, że głos był nade mną — nie wiem. Rozbijałem aparat, miałem pełno szkła i krwi na rękach, próbowałem zrobić Hardenowi sztuczne oddychanie, może to było przedtem, nie jestem pewny. Był strasznie zimny. Rozgniotłem te okropne bąble galarety z takim obrzydzeniem i strachem, że chwytaly mnie torsje. Dobijałem się do żelaznych drzwi, nie widziałem, że klucz tkwi w zamku. Drzwi na podwórzu były zamknięte. Klucz był pewno w kieszeni Hardena, ale nie przyszło mi nawet do głowy, że mogę tam wrócić. Walilem w deski jakimiś cegłami z taką siłą, że pękały mi w rękach, a wrzask lecący z piwnicy parzył mi skórę, wyły tam głosy, raz grube, raz jakby kobiece, a ja kopałem wciąż drzwi, waliłem w nie, rzucałem się na nie całym ciężarem jak obłąkany, naraz wypadłem na dwór z potrząskanymi deskami, zerwałem się i pognałem przed siebie. Upadłem jeszcze kilka razy, nim dostałem się na ulicę. Zimno trochę mnie otrzeźwiło. Pamiętam, że stałem pod murem, wycierałem krew z palców i tak jakoś dziwnie łkałem, ale to nie był płacz — oczy miałem całkiem suche. Nogi okropnie mi się trzęsły i trudno mi było przez to iść. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem i dokąd właściwie powinienem iść — wiedziałem tylko, że muszę się bardzo spieszyć. Dopiero kiedy zobaczyłem lampy i auta, poznałem plac Wilsona. Zatrzymał mnie policjant, nic nie rozumiał z tego, co mówiłem, nie pamiętam zresztą, co to było. Naraz ludzie zaczęli coś wołać, zbiegło się ich więcej, pokazywali

wszyscy w jedną stronę, zrobiło się zamieszanie, auta stawały, policjant gdzieś znikł, a mnie było okropnie słabo, więc siadłem na betonowym krawężniku przy skwerze. Palił się gmach ZPE, ogień wychodził oknami na wszystkich piętrach. Zdawało mi się, że słyszę wycie, coraz głośniejsze, chciałem uciekać, ale to była straż pożarna, hełmy błyskały w ogniu, jak zakręcali — trzy wozy, jeden za drugim. Paliło się już tak, że lampy na placu przygasły, siedziałem po drugiej stronie chodnika, a słyszałem, jak tam w środku trzeszczy i huczy.

Myślę, że on to sam zrobił — kiedy zrozumiał, że przegrał.

CIEMNOŚĆ I PLEŚŃ

1

— To już ostatni, co? — powiedział mężczyzna w deszczowym płaszczu.

Końcem bucika strącał z nasypu okruchy ziemi w dół, na dno leja, gdzie pod pochylonymi postaciami o niekształtnych, olbrzymich głowach huczały acetylenowe płomienie. Nottinsen odwrócił się, żeby wytrzeć załzawione oczy.

— Cholera, zapodziałem gdzieś ciemne szkła. Ostatni? Mam nadzieję. Ledwo już trzymam się na nogach. A pan?

Mężczyzna w lśniącem płaszczu, po którym ściekały drobne kropelki wody, schował ręce do kieszeni.

— Jestem przyzwyczajony. Niech pan nie patrzy — dodał, widząc, że Nottinsen znowu spogląda w głąb leja. Ziemia parowała i syczała pod palnikami.

— Żeby przynajmniej mieć pewność — mruknął Nottinsen. Mrużył oczy. — Jeżeli tu jest tak — wyobraża pan sobie, co tam musiało się dziać? — głową wskazał poza szosę, gdzie nad wywiniętymi brzegami krateru unosiły się cieniutkie smużki pary, rozpalającej się fiołkowo od błysku niewidzialnych płomieni.

— On już wtedy na pewno nie żył — powiedział mężczyzna w deszczowcu. Po kolei wywracał obie kieszenie na lewą stronę i wytrząsał z nich wodę. Drobną deszcz wciąż padał.

— Nie zdążył się nawet przestraszyć — i nic nie czuł.

— Przestraszyć się? — powiedział Nottinsen. Chciał spojrzeć w niebo, ale schował zaraz głowę w kołnierz przed deszczem. — On?! To pan go nie znał. No, pewno, że go pan nie znał — zreflektował się. — On pracował nad tym cztery lata — w każdej sekundzie tych czterech lat to się mogło stać.

— To dlaczego pozwolili mu to robić? — mężczyzna w mokrym płaszczu popatrzał spode łba na Nottinsena.

— Bo nie wierzyli, że mu się uda — odpowiedział ponuro Nottinsen.

Sine, kolące wzrok płomienie lizały wciąż dno leja.

— Tak? — powiedział tamten. — Ja... miałem trochę oko na to, jak się budowało — spojrzał w stronę odległego o kilkaset metrów, słabo dymiącego krateru. — Musiało kosztować ładny grosz...

— Trzydzieści milionów — przyznał Nottinsen. Przystąpił z nogi na nogę. Zdawało mu się, że buciki przemakają. — Co z tego? Daliby mu trzysta albo trzy tysiące, gdyby mieli pewność...

— To miało coś wspólnego z atomami, prawda? — powiedział mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu.

— Skąd pan wie?

— Słyszałem. Zresztą widziałem słup.

— Eksplozji?

— A zresztą po co było budować to tak daleko, nie?

— To było jego życzenie — odparł Nottinsen. — Dlatego pracował sam — od czterech miesięcy, kiedy udało mu się... — popatrzał na tamtego i dodał, zniżając głowę:

— To miało być gorsze niż atomy. Gorsze niż atomy! — powtórzył.

— Co może być już gorsze od końca świata?

— Można zrzucić jedną atomówkę i przestać — powiedział Nottinsen. — Ale jedna *Whisteria* — wystarczyłaby jedna! Już nikt by tego nie powstrzymał! Hej, tam! — krzyknął, pochylając się nad lejem. — Nie tak prędko!!! Nie spieszyć się! Nie odsuwać płomienia! Każdy cal ma być porządnie wyżarzony!

— Nic mnie to nie obchodzi — powiedział tamten. — Ale... jeżeli to jest takie — co pomoże trochę ognia?

— Pan wie, co to miało być? — powoli spytał Nottinsen.

— Nie znam się na tym. Aldershot powiedział, żebym panu pomógł, lokalnymi siłami, że to były... że on pracował nad jakimiś bakteriami atomowymi. Coś w tym rodzaju.

— Bakteria atomowa? — Nottinsen zaczął się śmiać, ale natychmiast przestał. Odchrząknął i powiedział:

— *Whisteria Cosmolytica* — on to tak nazwał. Drobnoustrój, unicestwiający materię i czerpiący z tego procesu energią życiową.

— Skąd on to wziął?

— Pochodna sterowanych mutacji. To znaczy — wyszedł z istniejących bakterii i stopniowo poddawał je działaniu coraz większych dawek promieniowania. Aż doszedł do *Whisterii*. Ona istnieje w dwu stanach — jako przetrwalnik, nieszkodliwy jak mąka. Można nim posypywać ulice. Ale kiedy ożyje i zacznie się rozmnażać — to byłby koniec.

— Tak. Aldershot mówił mi — powiedział tamten.

— Że co?

— Że to miało się rozmnażać i pożerać wszystko — mury, ludzi, żelazo.

— To prawda.

— I że tego nie można by już powstrzymać.

— Tak.

— Co warta taka broń?

— Toteż na razie nie można jej było stosować. Whister pracował nad tym, żeby powstrzymać ten proces, żeby uczynić go odwracalnym. Rozumie pan?

Mężczyzna popatrzał najpierw na Nottinsena, potem na okolicę — malejące w oddali, zamglone pierwszym zmierzchem szeregi koncentrycznych, obwałowanych ziemią lejów, z których gdzieś widać jeszcze smużyła para — i nic nie odpowiedział.

— Miejmy nadzieję, że żaden nie ocalał — powiedział Nottinsen. — Nie przypuszczam, żeby zrobił coś tak szalonego, nie mając pewności, że potrafi z powrotem... — mówił do siebie, nie patrząc na towarzysza.

— Dużo tego było? — odezwał się tamten.

— Przetrwalił? To zależy, jak na to patrzeć. Były w sześciu próbkach, w kasie ogniotrwalej.

— Tam, w tym jego gabinecie na drugim piętrze? — spytał mężczyzna.

— Tak. Tam jest teraz lej, w którym zmieściłyby się dwa domy — powiedział Nottinsen i wzdrygnął się. Popatrzył w dół, na migające płomienie, i dodał:

— Poza lejami trzeba będzie przepalić cały teren, wszystko, w promieniu pięciu kilometrów. Jutro rano przyjedzie Aldershot. Obiecał mi zmobilizować wojsko — nasi ludzie nie dadzą sami rady.

— Co ona potrzebuje, żeby — zacząć? — spytał mężczyzna. Nottinsen popatrzał na niego chwilę, jakby nie rozumiejąc.

— Żeby się uczynnić? Ciemności. W kasie pancерnej paliło się światło, były specjalne baterie akumulatorów na wypadek przerwy w prądzie — osiemnaście lamp, każda z osobnym obwodem, jedna niezależna od drugiej.

— Ciemność — i nic więcej?

— Ciemność i — jakaś pleśń. Obecność pleśni też była potrzebna. Dostarczała jakichś katalizatorów organicznych. Whister nie podał tego dokładnie w swoim raporcie podkomisji — miał papiery i wszystko na dole, w swoim pokoju.

— Widać nie spodziewał się — powiedział mężczyzna.

— Może właśnie się spodziewał — mruknął niewyraźnie Nottinsen.

— Myśli pan, że światło zgasło? Ale skąd się wzięła pleśń? — powiedział mężczyzna.

— Ależ nie!

Nottinsen patrzył na niego rozszerzonymi oczami.

— To nie one. To... to... one rozmnażają się zupełnie niewybuchowo. Spokojnie. Przypuszczam, że robił coś przy tym wielkim paratronicie w podziemiu — chodziło o to, żeby znaleźć sposób powstrzymania ich rozwoju i żeby go mieć przygotowanym na wypadek...

— Wojny?

— Tak.

— I co on tam robił?

— Tego nie wiemy. To miało coś wspólnego z antymaterią. Bo *Whisteria* — ona unicestwia materię. Synteza antyprotonów — wytwarzanie otoczki siłowej — podział — tak wygląda jej cykl życiowy.

Jakiś czas patrzyli w milczeniu na pracujących pod nimi.

Płomienie na dnie leja gasły jeden po drugim. W szarobłękitnym zmierzchu ludzie wspinali się na górę, ciągnąc za sobą giętkie węże przewodów — ogromni, w azbestowych maskach, po których ściekał deszcz.

— Idziemy — odezwał się Nottinsen. — Pańscy ludzie są na szosie?

— Tak. Może pan być spokojny. Nikt nie przejedzie.

Deszcz padał coraz drobniejszy — chwilami zdawało się, że na twarzach i ubraniach osiada tylko skroplona mgła.

Szli polem, wymijając leżące w wysokiej trawie, potrzaskane, skręcone i opalone odłamki drzew.

— Aż tu przyniosło — mężczyzna idący obok Nottinsena odwrócił się i spojrzął za siebie. Ale widać było tylko szarą, coraz szybciej ciemniejącą mgłę.

— Jutro o tej porze będziemy mieli to za sobą — powiedział Nottinsen.

Podchodzili już do szosy.

— A... wiatr nie mógł zanieść tego dalej? Nottinsen popatrzał na niego.

— Nie myślę — powiedział. — Najprawdopodobniej samo ciśnienie eksplozji musiało je zemleć na proch. Przecież to, co tu leży — spojrzął na pole — te są resztki drzew, które stały o trzysta metrów od gmachu. Z murów, z aparatów, nawet z fundamentów nie zostało nic. Ani okruszyny. Przecież sialiśmy wszystko przez siatki, pan był przy tym.

— Tak — powiedział mężczyzna w płaszczu.

Nie patrzył na niego.

— No widzi pan. To, co robimy — robimy tylko na wszelki wypadek, po to, żeby mieć już całkowitą pewność.

— To miała być broń, co? — powiedział tamten. — Jak się nazywała? Jak pan mówił?

— *Whisteria Cosmolytica* — Nottinsen daremnie usiłował podnieść przemoczony, rozmiękły kołnierz płaszcza. Było mu coraz zimniej. — Ale w departamencie miała kryptonim, oni lubią takie kryptonimy, wie pan — „ciemność i pleśń”.

W pokoju było zimno. Po szybach spływały krople deszczu. Koc osunął się z jednej strony, gwóźdź puścił, widać było kawałek błotnistej drogi za ogrodem i bąbelki powietrza pływające na kałużach. Godzina? Oceniał ją według szarości nieba, cieni w kątach pokoju i ciężaru w piersiach. Długo kaszłał. Przysłuchiwał się, jak trzeszcza stawy, kiedy naciągał spodnie. Zaparzył herbatę, wyłuskawszy czajniczek i papierową torebkę spomiędzy papierzysek na biurku, łyżeczka leżała pod oknem. Siorbał głośno, gorący płyn był cierpki i blady. Szukając cukru, znalazł między książkami pędzel do golenia z zaschniętym mydłem, który przepadł przed trzema dniami. Czy przed czterema? Zbadał brodę kciukiem — zarost kłuł jeszcze jak szczotka, nie zmiękł.

Sterna gazet, bielizny i książek chyliła się niebezpiecznie, aż z sypkim szelestem runęła za krawędź biurka i znikła, podniósł się obłoczek kurzu, aż zakręciło mu w nosie. Kichał powoli, z przerwami, wypełniając się ożywczą mocą kichnięć. Kiedy ostatni raz odsuwał biurko? Obmierza robota. Może lepiej wyjść? Lało.

Poszurał do biurka, ujął jego krawędź przy samej ścianie, pociągnął. Drgnęło i zakurzyło.

Pchał z całej siły, niespokojny tylko, czy nie poczuje serca. — Jeżeli się odezwie, dam spokój — postanowił. Nie powinno. Wszystko, co spadło za biurko, przestało go obchodzić, teraz była to tylko próba sił, próba zdrowia. — Jestem jeszcze wcale krzepki — rozważał z satysfakcją, obserwując, jak ciemna szczelina między biurkiem a ścianą poszerza się. Coś, co było tam wklinowane, osunęło się, a potem stoczyło z brzękiem na podłogę.

Może ta druga łyżeczka albo nie — raczej grzebień? — zaciekawiał się. — Tylko grzebień nie wydałby takiego blaszanego odgłosu. Może szczypcę do cukru?

Ciemność między splekanym tynkiem a czarną listwą biurka ziała już szeroka na dłoń. Wiedział z doświadczenia, że teraz będzie najtrudniej, bo noga biurka zatrzyma się zaraz w dużej szparze podłogi. Stało się. Zaskoczyła. Przez kilka chwil mocował się z martwym ciężarem.

Siekierą, siekierą po tym trupie! — pomyślał ze słodczą podlaną rosnącym gniewem, który go odmładzał. Targał, choć wiedział, że to bezskuteczne. Biurko trzeba przeważyć, dźwignąć, rozkołysawszy, bo noga od ściany krótsza i wylatuje. Lepiej, żeby nie wypadła — przestrzegał rozsądek — potem trzeba będzie podtykać od dołu książki, prostować w pocie czoła gwoździe, młotkiem wbijać nogą. Ale już za bardzo nienawidził tej upartej bryły, którą

karmił papierami przez tyle lat.

— Bydlaku!! — wyrwało mu się to słowo z jękiem, nie mógł już dozować wysiłków, zgrzany, z zapachem kurzu i potu w nozdrzach, napiął grzbiet, mocował się, kołysał bezwładnym ciężarem, jak zwykle w takiej chwili miał piękne wrażenie, że sama wzbudzona wściekłość uniesie i odtrąci czarny grat bez najmniejszego wysiłku!

Noga wyskoczyła z koleiny, najechała mu na palce, zdusił bolesny jęk, do gniewu dołączyła się mściwość, oparł się plecami o ścianę i pchał rękami i kolanami. Czarny rozzew rósł, już mógłby się tam wcisnąć, ale zajadłe pchał dalej, pierwszy promyk nawiedził cementarzysko odsłaniające się za biurkiem, które znieruchomiło z agonalnym skrzyknięciem.

Osunął się na stos przewróconych tomów, nie wiedzieć kiedy zleciały podczas szamotaniny na podłogę. Siedział na nim chwilę, ze stygnącym na czole potem. Coś miał sobie przypomnieć — aha, że serce się nie odezwało. To dobrze.

Pieczara, wryta w gęstym mroku za biurkiem, była niewidoczna prócz samego jej ujścia, w którym walały się miękkie, lekkie jak puch, polatujące „koty”. „Koty” — tak nazywały się mysioszare zwitki, kłębki pajęczyniastych brudów, narastające pod starymi szafami, rozmnażające się we wnętrzościach kanap, spilśniałe, mszyste, przesycone prochem.

Nie spieszył się z badaniem zawartości odtrąsniętego zakątka. Co tam może być? Było mu przyjemnie, choć nie pamiętał, po co odsuwał biurko. Brudna bielizna i gazety leżały teraz na środku pokoju — musiał je tam wywlec jakimś nieprzytomnym kopnięciem, kiedy odpychał biurko. Z siedzącej pozycji przeniósł się na czworaki i powoli wsunął głowę w półmrok. Zasłonił sobą resztkę światła, przestał cokolwiek widzieć, wciągnął w nozdrza kurz i rozkichał się raz jeszcze, ale teraz ze złością.

Wycofał się, siąkał długo nos i postanowił odsunąć biurko tak daleko, jak jeszcze nigdy. Obmacał jego tylną, potrzaskującą ostrzegawczo ściankę, przymierzył się, pochylił, napał i biurko pojechało nadszpiewanie lekko prawie do połowy pokoju, wywracając nocny stół. Czajnik spadł i herbata się wylała. Kopnął go.

Wrócił na środek otworzonego skarbca. Przy najmniejszym ruchu sute obłoki kurzu wstawały z ledwo widocznych deseczek parkietu, na których walały się jakieś niewyraźne kształty. Przyniósł lampę, postawił ją z boku na umywalce, włączył do kontaktu i odwrócił się. Ściana, zasłonięta biurkiem, porosła cała pasmami pajęczyn, tworzącymi ciemne oploty, miejscami grube jak sznury. Z poźółklej gazety ukręcił wiecheć i zaczął wygarniać nim wszystko, co napotykał, na jedną stertę, pracował tak, wstrzymując oddech, w kłębach pyłu,

nisko zgięty, znalazł kółko od firanki, hak, kawałek paska, sprzączkę, pomięty, ale nie używany papier listowy, pudełko od zapalek, nadtopioną laskę laku, został tylko kąt między listwami podłogi, przy samej ścianie, porosły jakby szarawym włosiem, spilśniałymi szczątkami, niespokojnie tknął tam końcem pantofla i przestraszył się prawie do zachwytu — coś małego, elastycznego odbiło mu się o duży palec nogi, który wystawał z dziury w pantoflu, zaczął szukać — ale nie znalazł nic.

Zdawało mi się — pomyślał.

Przysunął krzesło do biurka, nie to bez nogi, wołał go nie ruszać, ale drugie, na którym stała miednica. Strącił ją, rozłomotała się wrzaskliwie, uśmiechnął się, usiadł i zaczął badać znalezione za biurkiem rzeczy.

Zdmuchnął ostrożnie szary puder kurzu. Mosiężne kółko zaśniło jak złote, spróbował włożyć je na palec — za duże. Zardzewiały, zgięty hak, z przywartą do ostrza grudką wapiennej zaprawy, przybliżył do nosa. Hak miał wyrazistość rzeczy, która dużo przeszła — wierzch rozplaszczony, wyładowała się widać na nim kiedyś wielka pasja, znaki po ciosach wystrzępiły z boków malutkie wiórki żelaza, teraz zżarte już rdzą i rozsypujące się przy mocniejszym dotknięciu. Ostrze, gruzłowato stępione, trafiło widać w murze na twardego przeciwnika — wyrwane z korzeniem ze swojej jamki, przypomniało mu ząb, dotknął z troską samotnego pieńka sterczącego z dziąsła, jakby tym ruchem wyrażał hakowi współczucie.

Resztę znalezionych rzeczy wrzucił do szuflady i przekręcił abażur lampy.

Przechylony przez biurko patrzył w dół, na podłogę — w żółtym świetle lampy czerniała ohydna kosmaciczna ściana, a od desek biurka ciągnęły się polatujące sennie, roziskrzzone, stargane nitki pajęczyn. Pośrodku, zasypana kurzem, leżała na parkiecie koperta ze starego listu, znaczkiem i adresem do góry — a pod nią tkwiło coś — unosząc jej brzeżek — coś małego. Jak orzech.

Zaledwie pomyślał: mysz — obrzydzenie chwyciło go za gardło. Wstrzymał dech i nie patrząc, zaczął ciągnąć brązowy przycisk, ciężki jak z żelaza. Serce zastygło mu w oczekiwaniu, że nie zdąży, że wstrętna szara smużka okropnej ucieczki lada sekunda wyprysnie spod koperty. Nic się jednak nie działo — koperta spoczywała dalej lekko uniesiona, lampa oświetlała ją, pajęczyny tylko drżały nieustannie własnym, miarowym życiem, pochylił się jeszcze bardziej i, leżąc już płasko na biurku, spuścił z impetem przycisk, który wyrznął miękko w kopertę, jakby przytłaczając do ziemi coś prężnego, zakołysał się i klapnął głucho na podłogę w obłoku szarego pyłu.

Wówczas jakiś szal obrzydzenia i rozpacz opanował go — bez opamiętania, bez

rachuby, zaczął strącać na kopertę wszystko, co znajdowało się w zasięgu jego rąk: grube tomy niemieckiej historii, słowniki, pudło od tytoniu obite srebrną blachą — aż pod ospale fruwającymi niciami pajęczyn powstał chaotyczny stos, na którego dnie, w odgłosie upadków, w niepojęty sposób wciąż wyczuwał niezmożoną, żywą, broniącą się elastyczność.

W paroksyzmie trwogi (czuł instynktownie, że jeśli nie zabije tego — przyjdzie zemsta) przywłókł, jęcząc z wyteżenia, szeroki, lany z żelaza popielnik i roztrąciwszy nogą stos książek, cisnął nim z nadludzkim wysiłkiem w wypuczony brzeżek listu.

Coś trzepnęło go wówczas od niechcenia po nogach, poczuł ten sani, co przedtem, żywy, ciepły dotyk, i z gardłem pękającym od panicznego wrzasku rzucił się na oślep ku drzwiom.

W sionce było dużo jaśniej niż w pokoju. Trzymał się kurczowo klamki, walcząc z zawrotem głowy. Zmierzył wzrokiem uchylone drzwi. Zbierał siły na powrót do mieszkania, gdy pojawił się czarny punkt.

Nie dostrzegł go, aż w chwili kiedy stawał na nim nogę. Był mniejszy od łebka szpilki, wyglądał jak ziarko, drobina kurzu czy sadzy, niesiona leniwym powiewem tuż nad podłogą. Stopa nie dotknęła desek. Pośliznęła się, a raczej potoczyła, jakby trafiając na niewidzialną, sprężystą piłeczkę, która umknęła zaraz w bok. Tracąc równowagę, zatańczył rozpaczliwie i runął na drzwi. Uderzył się boleśnie w łokieć. Zbierał się z ziemi, łkał z podniecenia.

— To nic, kochany, to nic — mamrotał, wstając z klęczek. Sykał, spróbował ruszyć nogą — była cała. Stał teraz przy progu i rozpaczliwymi spojrzeniami latał po otoczeniu. Naraz tuż nad podłogą, na tle uchylonych drzwi do ogrodu, który szemrał miarowo deszczem, dostrzegł czarny punkt. Drżał łagodnie w kącie między progiem wyjściowych drzwi a szparą w deskach, nieruchomiejąc powoli. Pochylał się nad nim coraz bardziej, aż zgiął się niemal we dwoje. Patrzył i patrzył w czarny punkt, który wydał mu się z bliska lekko podługowaty.

— Pajaczek na nóżkach tak cienkich, że ich nie widzę — zakonkludował. Myśl o nitkowatych nogach stworzenia napełniła go mdlącą niepewnością. Znieruchomiał z chustką wydobytą z kieszeni. Układał ją w dłoni w pułapkę i cofał rękę, niezdecydowany. Na koniec opuścił koniec luźno zwisającej chusteczki i zbliżył go do czarnego pajaczka. — Przestraszy się i ucieknie — pomyślał. — Będzie spokój.

Czarny punkt nie umykał. Koniec chustki nie dosięgnął go, lecz ugiął się o szerokość palca ponad nim, jakby natrafił na niedostrzegalną przeszkodę. Dziobał bezsilnie mnącym się i zwijającym różkiem chustki powietrze, aż, rozzuchwalony (własna przedsiębiorczość zapierała mu dech), wyciągniętym z kieszeni kluczem dźgnął czarny punkt.

Poczuł ręką ten sam, co przedtem, elastyczny opór, klucz zwichrował mu się w palcach, a czarny punkt wyprysnął w górę tuż przed jego twarzą, zatańczył nerwowo, robiąc wciąż pionowe, gasnące, coraz niższe susy, aż zamarł na powrót w kącie między progiem i podłogą. Nie zdążył się na dobre przestraszyć, tak szybko się to stało.

Powoli, mrużąc powieki, jak przed patelnią ze strzelającym na ogniu boczkiem, nakrył czarny punkt rozłożoną płasko chusteczką. Opadła lekko i wzdęła się, jakby leżała pod nią pingpongowa piłeczka. Zebrał rogi, zbliżył je przemyślnie do siebie, naraz zawinał wszystkie — kulisty kształt był uwięziony. Tknął go najpierw końcem klucza, potem palcem.

Był w samej rzeczy elastyczny, sprężynował pod naciskiem, ale im mocniej się go ścisnęło, tym wyraźniej jego opór rósł. Był lekki — chustka nie ważyła więcej niż pusta, przynajmniej nie mógł tego wyczuć. Wyprostował się na ścierpłych nogach, drugą, wolną ręką oparł się o ścianę i pokuszył do pokoju.

Serce biło mu mocno, kiedy związaną na supeł chustkę kładł pod lampą na oczyszczonej z rupieci powierzchni biurka. Zaświecił światło, poszukał okularów, po namyśle, nie szczędząc fatygi, już w drugiej z kolei szufladzie znalazł lupę — wielkie jak spodek szkło powiększające w czarnym, oksydowanym pierścieniu z drewnianą rączką. Przyciągnął krzesło, usuwając z przejścia rozrzucone bezładnie, otwarte tomiska, i zaczął rozsupływać ostrożnie chusteczkę. Jeszcze raz przerwał swą czynność, wstał, w rupieciach pod oknem odnalazł klosz do sera, z jednej strony nadpękły, ale cały, nakrył nim chustkę zostawiając tylko wystające rogi, pociągnął za nie, aż się powoli rozłożyła, cała w plamach i zaciekach.

Nie widział nic. Zbliżał coraz bardziej głowę, aż tknął nosem w zimne szkło klosza i wzdrygnął się od tego nieoczekiwanego dotknięcia.

Czarny punkt ukazał się dopiero pod lupą. Wyglądał w powiększeniu jak malutkie ziarnko zboża. Miał jaśniejszą, szarawą wypukłość na jednym końcu i dwie tak drobne, że nawet przez lupę ledwo dostrzegalne, zielone kropki — na drugim. Nie był pewien, czy tego odcienia nie nadaje im załamujące światło, grube szkło klosza. Pociągając delikatnie za rogi, wy dobył całą chustkę spod klosza. Trwało to chyba minutę. Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Przesunął klosz po płycie, aż szklane obrzeże wysunęło się poza brzeg biurka, i przygotowaną wprzód zapalną, którą potarł w ostatniej chwili o pudełko, wprowadził na długim druciku do środka.

Przez chwilę wyglądało na to, że zapalka zgaśnie, potem, kiedy rozpalila się żywiej, nie mógł jej przesunąć we właściwym kierunku, wreszcie i to się udało. Żółtawy płomycek przybliżył się do czarnego punktu, wiszącego dwa centymetry nad powierzchnią biurka, i

naraz załopotał niespokojnie, a pchnięty odrobinę dalej, owinał się niczym wokół niewidzialnej wypukłości. Trwał tak przez chwilę, strzelił ostatnią, błękitną iskierką i zgasł — tylko zwęglone drewnienko żarzyło się jeszcze przez chwilę.

Odetchnął, przesunął na powrót klosz pod abażur lampy i długo wpatrywał się bez ruchu w czarny punkt, nieznacznie poruszający się wewnątrz klosza.

— Niewidzialna kulka — mruknął — niewidzialna kulka...

Był prawie szczęśliwy, a nawet o tym nie wiedział. Następną godzinę zajęło mu umieszczenie pod kloszem spodka od filiżanki, wypełnionego atramentem. Cały system patyczków i drucików okazał się niezbędny, aby umieścić badany twór w obrębie miseczki. Powierzchnia atramentu ugięła się prawie niedostrzegalnie w jednym miejscu, tam, gdzie powinna się z nią była stykać dolna część kulki. Nic więcej się nie stało. Próby pomalowania jej atramentem spełzły na niczym.

W południe poczuł doskwierające ssanie żołądka, zjadł więc resztki owsianki i rozkruszonych keksów z płóciennego woreczka i popił je herbatą. Wróciwszy do biurka, w pierwszej chwili nie odnalazł czarnego punktu i poczuł gwałtowny strach. Zapominając o ostrożności, podniósł klosz i jak ślepiec obmacywał gorączkowo powierzchnię biurka rozpostartymi rękami. Naraz kulisty kształt wtulił mu się spokojnie w palce. Zacisnął rękę i siedział tak, pełen wdzięczności, uspokojony, pomrukując coś z cicha. Niewidzialna kulka grzała mu rękę. Czuł płynące z niej ciepło, bawił się nią coraz ryzykowniej, przetaczając ją, nieważką, z jednej dłoni do drugiej, aż wzrok jego zaczepił o coś błyszczącego w kurzu pod piecem, gdzie wywalily się z przewróconego kubła śmieci. Był to arkusik zmiętego staniolu od czekolady. Natychmiast wziął się do owijania kulki w staniol. Poszło nadspodziewanie łatwo. Zostawił tylko dwa małe z dwu przeciwnych końców otworki, zrobione szpilką, by móc, patrząc pod światło, badać obecność maleńkiego, czarnego więźnia w środku.

Kiedy musiał wreszcie opuścić dom, aby kupić coś do jedzenia, zamknął kulkę pod kloszem i, dla zwiększenia pewności, przycisnął go jeszcze i ze wszystkich stron obłożył książkami.

Odtąd poszły wspaniałe dni. Od czasu do czasu próbował jakichś eksperymentów z kulką, ale przeważnie leżał w łóżku, czytając ulubione fragmenty starych książek. Zwijał się pod kocem, gromadząc, jak mógł, ciepło, rękę wyciągał tylko, aby odwrócić stronę i, pogrążony w dokładnych opisach śmierci towarzyszy Amundsena wśród lodów albo podczas ponurych zwierzeń Nobilego o wypadkach ludożerstwa po katastrofie jego podbiegunowej wyprawy, zwracał chwilami oczy na klosz z błyszczącą spokojnie pod szkłem kulką, która kiedy niekiedy odmieniała nieznacznie położenie, przemieszczając się łagodnie od jednej

ścianki do drugiej, jakby ją coś niewidzialnie popychało.

Nie chciało mu się chodzić na kupno ani gotować obiadów, zjadał się więc keksami, a jeśli miał trochę drzewa, piekł w popielniku kartofle, wieczorami zanurzał kulkę pod wodę albo próbował kłuć ją czymś ostrym — wyszczerbił na niej brzytwę, zresztą bez widocznego rezultatu — i trwało to tak długo, aż spokój jął się nadpsuwać. Zamyślał rzecz wielką: chciał przywlec stary śrubsztak z piwnicy, by wziąć kulkę w imadło i zgnieść ją aż do centralnego, czarnego punkcika, ale było to połączone z tak wielkimi kłopotami (musiałyby Bóg wie jak długo grzebać się w starym żelastwie i rupieciach, a na domiar nie był pewny, czy przydźwiga śrubsztak, który zniósł na dół przed trzema laty), że koncept ten pozostał tylko w sferze planów.

Raz grzał kulkę długo na ogniu, z takim skutkiem, że przepalił dno całkiem jeszcze dobrego rondelka. Staniol pociemniał i zetnął, ale sama kulka nie poniosła żadnego szwanku. Już zaczynał się niecierpliwić, przychodziły mu do głowy myśli o silnych środkach, bo coraz większą odczuwał pewność, że kulka jest niezniszczalna, a ta odporność krzepiła jego zadowolenie, kiedy pewnego dnia zauważył coś, co właściwie powinien był dostrzec już dużo wcześniej.

Staniol (nowy, bo stary rozlał się w toku rozmaitych eksperymentów na strzepy) pękł w kilku miejscach naraz i w prześwitach ukazało się wewnątrz. Kulka rosła! Zadrzał cały, kiedy to w końcu zrozumiał, wziął ją pod lupę, przyglądał się długo obnażonej, badał ją pod podwójnymi szklami, które wykopał z najniższej szuflady biurka, nareszcie pewny był, że się nie omylił.

Kulka nie tylko rosła, ale zmieniała kształt. Nie była już całkiem okrągła — ukazały się na niej dwa łagodne wyrzuszenia, jak gdyby bieguny, a czarny punkt wydłużał się tak, że widać to było teraz nawet gołym okiem. Za karbowanym łepkiem, u pary zielonawych kropek, pojawiła się słabo błyszcząca kreseczka, która powoli wywijiała się, ruchem trudniejszym do uchwycenia niż przesuwanie się godzinowej wskazówki zegara, ale po nocy mógł stwierdzić postęp zjawiska ponad wszelką wątpliwość. Kulka była już wydłużona jak jajo o dwu jednakowo grubych końcach. Czarny punkt w centrum wyraźnie brzękł.

Następnej nocy obudził go krótki, ale potężny dźwięk, jakby na wielkim mrozie strzeliła nagle masywna szklana płyta. Dźwięczał mu jeszcze w uszach, kiedy zerwał się i boso pobiegł do biurka. Światło oślepiło go — stał z ręką na oczach, rozpaczliwie czekając, aż przejrzy. Klosz od sera był cały. Pozornie nic się w nim nie zmieniło. Szukał wzrokiem czarnej, podłużnej niteczki i nie znajdował jej. Kiedy ją odkrył, zmartwiało, tak się skurczyła. Podniósł z przestrachem klosz i coś przytuliło się do grzbietu jego dłoni. Pochylony nisko,

zbliżał twarz do pustej powierzchni biurka, aż zobaczył.

Były dwie, rozgrzane, jakby przed chwilą wyjęte z gorącej wody. W każdej ciemniało malutkie jąderko — czarny, matowy punkt. Opanowała go niewytłumaczalna błogość, rozrzewnienie. Drżał nie z chłodu, ale z podniecenia. Położył je na dłoni, ciepłe jak pisklęta, chuchał na nie delikatnie, aby nie zdmuchnąć ich, prawie nieważkich, na podłogę. Potem owinał starannie każdą staniolem i schował pod klosz. Stał nad nimi długo, usilnie pragnąc dojść tego, co może dla nich jeszcze zrobić, aż wrócił do łóżka z sercem bijącym mocno, trochę rozżalony własną bezsilnością, ale spokojny i do łez prawie rozczulony.

— Maluśkie moje... — mrucał zapadając w błogi, posilny sen.

Po miesiącu kulki nie mieściły się już pod kloszem. Po następnym stracił rachubę — nie mógł ich już zliczyć. Ledwo czarne jąderko przybrało zwykłe rozmiary, kulka poczyniała nabrzmiewać na biegunach. Raz tylko udało mu się czuć w chwili podziału — który następował zawsze nocą. Dźwięk, dobywający się spod klosza, ogłuszył go na długie minuty, ale w jeszcze większe osłupienie wprowadził go błysk, w którym pokój wyskoczył na mgnienie z ciemności, niczym w łyśnięciu mikroskopijnego pioruna. Nie rozumiał nic z tego, co się działo, ale poprzez łóżko wyczuł momentalne drgnięcie podłogi i przeniknęła go całego świadomość, że pieniający się przed nim drobiazg jest czymś nieskończenie potężnym. Doznał uczucia podobnego jak wobec przytłaczającego zjawiska natury — jakby spojrział na sekundę w otwierającą się otchłań wodospadu czy poczuł trzęsienie ziemi; w momentalnym, dzwoniącym szczęknięciu, którego echo zdawały się wchłaniać jeszcze ściany domu, na ułamek sekundy rozwarła się i zatrzasnęła moc, nieporównywalna z niczym. Lęk trwał krótko — rano wydał mu się sennym majakiem.

Następnego nocy usiłował czuć po ciemku. Wtedy po raz pierwszy, jednocześnie z falą drgania i głuchym dźwiękiem, dostrzegł dokładnie zygzakowaty wyblysk, który rozkroił nabrzmiałe jajo i znikł tak gwałtownie, że nie wiedział potem, czy nie było to tylko złudzenie.

Nie pamiętał nawet śniegu tej zimy, tak rzadko wychodził, tyle tylko, ile trzeba było, aby dojść do sklepiku za zakrętem drogi. Z nadejściem przedwiośnia pokój mrowił się od kulek. Nie zdobyłby się na przyodziewek dla wszystkich — skąd miał wziąć tyle staniolu? Wałęsały się wszędzie, poszturchiwał je niechący nogami, bezszelestnie spadały z półek z książkami — najlepiej widać je było właśnie na nich, kiedy od dłuższego leżenia przytrzaśnięte zostały jak pudrem subtelną warstewką kurzu, który delikatną, matową błoną zarysowywał ich krągłość.

Ciągłe nowe przygody (wyławiał je z owsianki, z mleka, znajdował w woreczku z

cukrem, wytaczały się, niewidzialne, z naczyń, gotowały z zupą), obfitość, jaka go otaczała, jęły nasuwać mu nowe pomysły i z lekka niepokoić.

Rozrastająca się tak niepoohamowanie czereda mała się o niego troszczyła. Drżał, aby któraś nie wymknęła się do sieni i dalej, do ogrodu, na drogę, gdzie mogłyby znaleźć ją dzieciaki. Postawił przed progiem siatkę drucianą o oczkach dostatecznie gęstych, z czasem zaś wychodzenie na dwór stało się całym skomplikowanym rytuałem — po kolei przetrząsał wszystkie kieszenie, zaglądał do mankietów spodni, dla wszelkiej pewności strzepywał je jeszcze parę razy, drzwi otwierał i zamykał powoli, aby powstały przeciąg nie porwał którejś niebacznie, a im było ich więcej, tym bardziej się wszystko komplikowało.

Jedną cierpiał tylko prawdziwą, wielką niedogodność takiego współżycia, pełnego licznych emocji: było ich już tak wiele, że pienły się prawie nieustannie i dzwoniący potężny dźwięk rozlegał się czasem pięć i sześć razy w ciągu jednej godziny. Ponieważ budził go w nocy, zaczął odsypiać zmęczenie dniem — kiedy panowała cisza. Chwilami brał go niewyraźny niepokój wobec fali niewzruszonego, miarowego rozplenu, coraz trudniej było chodzić, na każdym kroku spod podeszew uciekały niewidzialne, sprężyste piłeczki, rozbiegały się na wszystkie strony, widział, że niebawem będzie w nich brodził jak w głębokiej wodzie. Nad tym, czym żyły, czym się odżywiały, nie zastanawiał się.

Choć przedwiośnie było chłodne, z częstymi przymrozkami i śnieżycami, od dawna nie palił już wcale. Mrowie kulek użyczało swej równomiernej ciepłoty otoczeniu. Nigdy jeszcze nie było w pokoju tak ciepło, tak przytulnie jak teraz, kiedy w kurzu mrowiło się od zabawnych śladów po ich skokach, toczeniach się, jakby przed chwilą igrały w nim młode kocięta.

Im więcej było kulek, tym łatwiej dawały poznać swoje zwyczaje. Można było sądzić, że się nie lubią nawzajem, a w każdym razie nie cierpią nadmiernie bliskiego sąsiedztwa podobnych sobie — bo między zbliżonymi pozostawała zawsze cienka warstewka powietrza, której niepodobna było wycisnąć nawet przy użyciu znacznej siły. Najlepiej widział to, kiedy zbliżał ku sobie dwie owinięte staniolem. Z czasem zaczął uprzętać ich nadmiar: wrzucał je do blaszanej wanienki, w której pod błonką kurzu leżały jak stos gruboziarnistej żabiej ikry, od czasu do czasu tylko wstrząsany wewnętrznym ruchem, kiedy któreś przezroczyście jajko dzieliło się na dwa potomne.

Trzeba wyznać, że miewał nieraz najdziwniejsze zachcianki, na przykład walczył z sobą długo — taką miał chętkę połknąć jedno z podopiecznych dzieciątek! Ostatecznie skończyło się tylko na wzięciu niewidzialnej kulki do ust. Obracał ją delikatnie językiem, czując na podniebieniu i dziąsłach miękki, sprężysty, obły kształt, promieniujący nikłym

cieplem. Nazajutrz po tym wypadku zauważył na języku powierzchowną wybroczynę. Nie połączył tych faktów. Coraz częściej jednak zdarzało się, że sypiał z nimi i nie pojmował, dlaczego powłóczki poduszki i koca, tak dobrze dotąd służące, zaczęły się sypać, jakby naraz zetlały. Na koniec prześcieradło podarło się wprost na strzępy, więcej było w nim dziur niż płótna — ale on wciąż niczego nie pojmował.

Pewnej nocy obudził go piekący ból nogi. Przy świetle zobaczył kilka czerwonawych plamek na skórze łydki. Odkrywał ich coraz więcej — wyglądały jak rozlane oparzenia. Niewidzialne kulki skakały po całej pościeli, kiedy układał się na powrót do snu, i ten obraz nastroił go podejrzliwie — jąderka ich migwały niczym pchełki.

— Co, u diabła, czy wy gryziecie tatę?! — szepnął z wyrzutem. Rozejrzał się po pokoju.

Matowy odbłask zaproszonych kulek dobiegał zewsząd — pokrywały całe biurko, leżały na podłodze, na półkach, w rondlach, garnkach, nawet w filiżance z resztką herbaty mającymi coś podejrzanego. Niepojęty strach rozłomotał mu w sekundzie serce. Trzęsącymi się rękami strzepywał koc, powłóczkę, wymachiwał wysoko wzniesionymi rękami, rozpościerając w nich poduszkę, strącił wszystkie kulki na podłogę, raz jeszcze obejrzał troskliwie plackowate zaczerwienienia na łydkach, owinął się kocem i zgasił światło. Pokój co kilka minut rozbrzmiewał dźwiękiem podobnym do metalicznej fanfary, przerywanej zatraskującym się nagle wiekiem. Czy to możliwe? Czy to możliwe? — pomyślał.

— Wyrzucę was! Wypędzę co do jednej na ulicę — precz! — oświadczył nagle szeptem, bo głos nie przechodził mu przez zaschnięte gardło. Bezmierny żal dławił go, wyciskał z oczu łzy.

— Niewdzięczne bydlatka — szeptał, opierając się o ścianę i tak, na wpół siedząc, na wpół leżąc, zapadł w sen.

Rano zbudził się rozbity, z poczuciem klęski, nieszczęścia. Szukał rozpaczliwie mętными oczami, całą pamięcią, co takiego utracił wczoraj, naraz ocknął się, wylazł z łóżka i postawiwszy lampę na krześle, przystąpił do metodycznego badania podłogi.

Nie było wątpliwości — nosiła wyraźne ślady nadgryzienia, jakby ją ktoś polewał drobnymi, rozpryskującymi się kropelkami niewidzialnego kwasu. Podobne ślady, choć w mniejszej ilości, dostrzegł na biurku. Szczególnie poszkodowane były sterty starych gazet i tygodników — wierzchnie strony wszystkie niemal były podziurawione jak rzeszoto. Takie emalia wewnątrz garnków pokryta była płytkimi nadżerkami. Długo patrzył, osłupiał, na pokój, potem zabrał się do zbierania kulek. Nosił je wiaderkiem do wanienki, ale gdy wypełniła się wyżej brzegów, w pokoju było ich jakby tyle, co i przedtem. Toczyły się pod ścianami,

czuł ich niepokojące ciepło, gdy tuliły mu się do nóg. Były wszędzie — matowe sterty na półkach, na stole, w słoikach, w kątach — całe stosy.

Łaził ogłupiały, strwożony, cały dzień przeszedł mu na wymiataniu ich z jednego miejsca w inne, na koniec częściowo wypełnił nimi starą pustą komodę i odetchnął. W nocy kanonada była gwałtowniejsza jakby niż zwykle — drewniane pudło komody stało się wielkim rezonatorem, który wydawał z siebie głuche, niesamowite dźwięki, jakby niewidzialni więźniowie dzwonami walili od środka w jej ściany. Nazajutrz kulki poczęły przesypywać się ponad ochronną siatką u drzwi. Przeniósł materac, koc i poduszkę na biurko i tam zrobił sobie posłanie. Siedział na nim z podkurczonymi nogami. Od razu trzeba było przynieść śrubsztak — przemykało mu przez głowę — co teraz? Wyrzucić je nocą do rzeki?

Zdecydował, że to będzie najlepsze, bał się jednak wypowiedzieć tę groźbę głośno. Nikt inny nie będzie ich miał, a on zostawi sobie parę sztuk — nic więcej. Mimo wszystko był do nich przywiązany — tyle że teraz do przywiązania poczynął się przyłączać lęk. Będzie je topił jak... kocięta!

Pomyślał o taczce. Inaczej nie nadażyłby z wynoszeniem — ale spróbował tylko podźwignąć ją, zarytą pod ścianą w starym wykopie, i podreptał do domu. Był słaby, bardzo słaby. Musiał to odłożyć. Postanowił więcej jeść.

Noc była okropna. Zmęczony — zasnął mimo wszystko. Pierwszy metaliczny dźwięk obudził go, usiadł w mroku, a cały pokój łykał przed nim krótkimi zygzakami, z czerni wyskakiwały na ułamki sekund oświetlone fragmenty ścian, pokrytych kurzem półek, wytartego dywanika przed łóżkiem, blaski powieleły się w szkle dygocących naczyń, naraz coś prześwietliło matowo powłoczkę koca, którym się okrywał — a więc przyczaiła się tam któraś chytrze schowana bestia! Wytrząsnął ją z obrzydzeniem.

Ten obłądny połów sprawiał wrażenie krajobrazu oświetlanego błyskawicami, tyle że — zamiast grzmotów — następowały po miniaturowych błyskach ciosy dzwonu, od których odzywały się szyby. Usnął, siedząc, oparty o ścianę. Tuż nad ranem obudził się jeszcze raz ze słabym krzykiem — fala błękitnych rozbryzgów rozjaśniała pokój, zalewała go, zwielokrotnione zygzaki podchodziły niemal ku powierzchni biurka, które drgnęło naraz mocno, odsunięte od ściany — dzieląc się, niewidzialna kulka odepchnęła je; ten ruch — poczuł jego nieubłaganą siłę — oblał go lodowatym potem, patrzył na pokój wytrzeszczonymi oczami, mamrocząc coś — i raz jeszcze usnął, z wyczerpania.

Nazajutrz obudził się bardzo słaby — tak słaby, że ledwo zlął na dół, aby wypić resztkę zimnej, gorzkiej herbaty. Zatrząsnął się, kiedy do połowy ciała zapadł się w miękki, niewidzialny zwał — było ich tak wiele, że ledwo mógł się poruszać, z największym trudem

dobrnął do stołu, pokój pełen był dusznego, nagrzanego powietrza, jakby palił się w nim niewidzialny piec. Zrobiło mu się dziwnie — osunął się na ziemię, nie upadł — podtrzymały go elastyczną, prężną masą, ten dotyk nappełnił go niewypowiedzianą trwogą, tak był łagodny, miękki, przyszła mu do głowy straszna myśl, że może połknął już którąś z owsianką, jakąś mniejszą, i tej nocy, we wnętrzościach...

Chciał uciec. Wyjść. Wyjść! Nie mógł otworzyć drzwi. Odemknęły się na kilka centymetrów, potem elastyczna masa, poddająca się prężnie, zatrzymała je — i nie puściła dalej. Bał się mocować z drzwiami, czuł nadchodzący zawrót głowy. — Trzeba będzie wybić szybę — pomyślał — ale co policzy szklarz?

Trzęsąc się, utorował sobie drogę do biurka, wlaź na nie, patrząc tępo na pokój — kulki szarą, punktowaną mgłą, ledwo dostrzegalnym, milczącym obłokiem otaczały go ze wszystkich stron. Był głodny, a nie miał już odwagi zejść, kilka razy słabo, bez przekonania, zawołał z zamkniętymi oczami: — Ratunku! Ratunku!

Usnął przed zmierzchem. W zapadającej ciemności pokój ożył blaskiem i hukiem, coraz potężniejszym. Prześwietlana od wewnątrz błysnięciami masa rosła, piętrzyła się, wypuczała z wolna w górę, drgała, wstrząsana delikatnie, z półek, pomiędzy książek, rozpychając je, wyskakiwały i leciały łukami w błękitnym roziskrzeniu rozgrzane, dygocące kulki, jedna stoczyła mu się z góry na pierś, druga dotknęła policzka, następna przywarła do ust, coraz więcej pokrywało materac wokół jego wpółłysej czaszki, błyskały mu w półotwarte oczy, ale już nie budził się...

Następnej nocy, około trzeciej nad ranem, drogą do miasteczka przejeżdżał ciężarowy samochód. Wiózł mleko w dwudziestogalonowych bańkach. Szofer, zmęczony całonocną jazdą, kiwał się nad kierownicą. Była to najgorsza pora — kiedy senności niepodobna wprost opanować. Naraz usłyszał nadciągający z dala, przeciągły huk. Odruchowo zwolnił, zobaczył za drzewami parkan, w głębi — ciemny, zarosły ogród, a w nim parterowy domek, w którego oknach błyskało.

Pożar! — pomyślał, zjechał na skraj szosy, zahamował gwałtownie i podbiegł do furtki, żeby obudzić mieszkańców.

Był w połowie zarosłej trawą ścieżki, gdy zobaczył, że z okien domu, pomiędzy resztek wyduszonych szyb leją się nie płomienie, lecz spieniona, bezustannie dźwięcząca i błyskająca fala, która kipi coraz szerzej i dalej pod ścianami; na rękach, na twarzy poczuł miękkie, niewidzialne dotyki, jakby skrzydeł tysiąca ciem, pomyślał, że śni — kiedy trawa i krzaki dokoła zaroily się od błękitnych ogników, lewe okienko strychowe zajarzyło się jak szeroko otwarte, olbrzymie kocie oko, wejściowe drzwi zatrzeszczały, pękły z hukiem — i

rzucił się do ucieczki, mając jeszcze w oczach górę migocącej ikry, która z przeciągłym grzmotem rozsadzała dom.

ALBATROS

Obiad składał się z sześciu dań — nie licząc przystawek. Wózki z winem toczyły się bezszelestnie po szklanych drózkach. Nad każdym stołem paliła się wysoko lampa punktowa. Przy żółtawej zupie światło było cytrynowe. Przy rybie prawie białe, z błękitnym odcieniem. Kurczęta zalał róż, zmieszany z jedwabistą, ciepłą szarością. Przy czarnej kawie nie zrobiło się na szczęście ciemno — Pirx był już najgorszej myśli. Zmęczył go ten obiad. Obiecywał sobie, że odtąd będzie jadał na dolnym pokładzie — w barze. Gali było dla niego stanowczo za wiele. Cały czas musiał pamiętać o łokciach. W dodatku — toalety! Sala była wgłębiona — obwód wyżej, dno wpuszczone chyba o pół kondygnacji. Wyglądała jak gigantyczny, kremowozłoty talerz, obłożony najbardziej kolorowymi kanapkami świata. Sztywne, półprzezroczyste suknie szumiały za jego plecami. Bawiono się tam świetnie. Muzyka przygrywała. Snuli się kelnerzy — prawdziwi kelnerzy, każdy wyglądał na dyrygenta filharmonii. „Transgalaktik” gwarantuje: żadnych automatów w obsłudze — intymność — dyskrecja — szczerą ludzką życzliwość — cała załoga żywa. Sami artyści swego fachu.

Pirx pił czarną kawę, palił papierosa i starał się znaleźć jakieś miejsce na sali, w które mógłby patrzeć. Spokojne miejsce, w sam raz dla odpoczynku. Sąsiadka podobała mu się. Na jej dekolcie czerniał płaski, chropawy kamyk. Nie żaden chryzopras, nie chalcedon. Nic ziemskiego, pewno coś z Marsa. Musiał kosztować majątek — wyglądał jak kawałek brukowca. Kobiety nie powinny mieć tyle pieniędzy.

Nie był zgorzony. Nie dziwił się. Obserwował. Z wolna rosła w nim ochota wyprostowania kości. Pokład spacerowy?

Wstał, skłonił się lekko, wyszedł. Przechodząc między graniastymi kolumnami, obłożonymi zwierciadlaną masą, zobaczył własne odbicie — spod węzła krawata widać było guzik. Kto zresztą nosił jeszcze takie krawaty? Poprawił kołnierzyk już na korytarzu. Wsiadł do windy. Pojechał na samą górę — na widokowy. Winda otwarła się bezgłośnie. Nie było tu ani żywej duszy. Ucieszył się z tego. Trzecia część zakłęsłego stropu przed szeregami leżaków ponad pokładem wyglądała jak gigantyczne, czarne okno, otwarte na gwiazdy. Leżaki ze stertami koców stały puste. W jednym z ostatnich tkwił ktoś, otulony po samą twarz — ten zdziwaczały staruch, który przychodził na obiad w godzinę po wszystkich i jadł sam w pustej sali, zakrywając twarz serwetką, kiedy poczuł czyjś wzrok.

Położył się. Niewidzialne paszcze klimatyzatorów pędziły w galerię pokładu nierówno

falujący wicher, wrażenie było takie, jak gdyby wiało prosto z czarnych głębin nieba. Konstruktorzy, których zatrudniał „Transgalaktik”, znali się na rzeczy. Leżak był wygodny — wygodniejszy chyba od fotela pilotów, choć jego kształty opracowane były matematycznie. Pirx zaczął ziębnąć. Po to były koce. Owinął się nimi, jakby zapadł w puch.

Ktoś nadchodził. Schodami, nie windą. Sąsiadka z jadalnej. Ile mogła mieć lat? Miała na sobie jakąś całkiem inną suknię. A może to była w ogóle inna kobieta? Położyła się o trzy leżaki dalej. Otworzyła książkę. Wicher szeleścił kartkami. Pirx patrzył teraz prosto przed siebie. Bardzo ładnie widać było Południowy Krzyż. Obcięty ramą okna jaśniał koniuszek Małego Obłoku, jaśniejsza plamka na czarnym tle. Pomyślał, że lot będzie trwał siedem dni. Przez siedem dni może się stać mnóstwo rzeczy. Poruszył się umyślnie. Gruby, złożony we czworo papier zaskrzypiał w wewnętrznej kieszeni na piersiach. Było mu dobrze na świecie — miejsce drugiego nawigatora czekało już na niego, znał dokładnie drogę: z Ziemi Północnej samolotem do Eurazji, i dalej, do Indii. Bilety stanowiły całą książeczkę — można ją było czytać, każdy blankiet innego koloru, podwójny, z odcinkami, talonami, złote brzeżki, wszystko, co „Transgalaktik” dawał pasażerom do ręki, wprost kapało od srebra albo złota. Pasażerka na trzecim leżaku była bardzo ładna. Chyba jednak ta sama. Należało coś powiedzieć — czy raczej nie? Bo niby się przedstawił. Nieszczęście mieć takie krótkie nazwisko — zanim się zaczyna, już się kończy. „Pirx” brzmi całkiem jak „iks”. Najgorsze rzeczy działy się zawsze przy rozmowach telefonicznych. Powiedzieć coś? Co?

Zaczynał się znowu męczyć. Na Marsie wyobrażał sobie tę podróż całkiem inaczej. Armatorzy z Ziemi zapłacili mu przelot — mieli jakieś interesy z „Transgalaktikiem”, zdaje się, i nie był to z ich strony wyszukany gest. On zaś, choć przelatał już prawie trzy miliardy, nigdy jeszcze nie leciał czymś takim jak Tytan. Frachtowce wyglądają zupełnie inaczej! Sto osiemdziesiąt tysięcy ton masy spoczynkowej, cztery reaktory głównego ciągu, szybkość podróżna 65 na sekundę, tysiąc dwustu pasażerów w samych pojedynczych i podwójnych kajutach z łazienkami, apartamenty, stała grawitacja gwarantowana, z wyjątkiem startu i lądowania, najwyższy komfort, najwyższa bezawaryjność, czterdziestu dwu ludzi załogi i dwustu sześćdziesięciu obsługi. Ceramit, stal, złoto, pallad, chrom, nikiel, iryd, plastyki, marmury kararyjskie, dąb, mahoń, srebro, kryształy. Dwa baseny. Cztery kina. Osiemnaście stacji bezpośredniej łączności z Ziemią — tylko na użytek pasażerów. Sala koncertowa. Sześć głównych pokładów, cztery widokowe, automatyczne windy, zamawianie z pokładu miejsc na wszystkich rakietach całego systemu — na rok naprzód. Bary. Sale gry. Dom towarowy. Uliczka rzemieślników — wierna kopia jakiegoś ziemskiego, staromiejskiego zaułka — z piwniczką win, gazowymi latarniami, księżycem, ślepym murem i kotami, które spacerują po

tym murze. Palmiarnia. I diabli wiedzą, co jeszcze. Podróż musiałaby trwać miesiąc, żeby zdążył obejść to wszystko przynajmniej raz.

Pasażerka wciąż czytała książkę. Czy kobiety muszą farbować sobie włosy na taki kolor? Normalnemu człowiekowi robi się na taki widok trochę... Ale tej, tej było dobrze właśnie z tym kolorem. Pirx pomyślał, że gdyby miał w ręku palącego się papierosa, właściwe słowa od razu by się znalazły. Sięgnął do kieszeni.

Papierośnica, kiedy ją wyjmował — nigdy w życiu nie miał papierośnicy, tę dostał od Bomana, na pamiątkę, i nosił po przyjaźni — zrobiła się jakby trochę cięższa. Odrobinę. Ale był tego pewny. Przyspieszenie wzrosło? Nadstawił ucha. Aha.

Silniki ciągnęły mocniej. Zwykły pasażer wcale by tego nie usłyszał — maszynownia Tytana była oddzielona od mieszkalnej części kadłuba poczwórnymi grodziami izolacyjnymi.

Wybrał sobie bladą gwiazdkę w samym kącie ramy okiennej i dobrze miał ją na oku. Gdyby tylko przyspieszali, nie ruszyłyby z miejsca. Ale jeżeli drgnie...

Drgnęła. Powoli — nadzwyczaj powoli — płynęła w bok.

Skręt w długiej osi — pomyślał. Tytan leciał „tunelem kosmicznym”, w którym na drodze nie było nic — żadnych pyłów, meteorytów, nic, oprócz pustki. Tysiąc dziewięćset kilometrów przed nim pędził Pilot Tytana, którego zadaniem było dbać o wolną drogę dla olbrzyma. Po co? Na wszelki wypadek — chociaż i tak była wolna. Rakiety trzymały się ściśle rozkładu kursów, „Transgalaktik” miał gwarantowany lot bez zakłóceń po swoim wycinku paraboli — na zasadzie porozumienia, zawartego przez Zjednoczone Towarzystwa Astronawigacyjne. Nikt nie mógł mu wejść w drogę. Ostrzeżenia meteorytowe przychodziły teraz o sześć godzin naprzód — od czasu kiedy bezludne sondy patrolowały tysiącami sektory transuranów, raketom przestało praktycznie grozić jakiejkolwiek niebezpieczeństwo z zewnątrz. Pas — orbita miliarda meteorytów między Ziemią i Marsem — miał własną służbę patrolową, nadto zaś szlaki raketowe przebiegały poza płaszczyznę ekliptyki, w której obraca się wokół Słońca grzechoczący Pas. Postęp — nawet od czasu kiedy Pirx latał na patrole — był ogromny.

Tytan nie miał więc najmniejszej potrzeby lawirować — nie mógł wymijać żadnych przeszkód, bo ich nie było. A jednak skręcał. Teraz Pinc nie musiał nawet patrzeć w gwiazdowe niebo — czuł to całym sobą. Gdyby mu się chciało, mógłby obliczyć krzywiznę łuku, znając prędkość statku, jego masę i tempo przesuwania się gwiazd.

Coś się stało — pomyślał. — Ale co?

Nie było żadnego obwieszczenia dla pasażerów. Czy ukrywają coś? Dlaczego? Na obyczajach panujących w luksusowych statkach pasażerskich znał się bardzo słabo. Znał się

natomiast na tym, co może zdarzyć się w maszynowni, w sterowni... nie było tego znów tak wiele. W wypadku awarii statek utrzymałby poprzednią szybkość — alboby zwolnił. Tytan jednak...

Trwało to już cztery minuty. To znaczy — zwrot prawie o 45 stopni. Ciekawe. Gwiazdy znieruchomiały. Szli prostym kursem. Ciężar papierośnicy, którą Pirx wciąż trzymał w ręku, wzrósł.

Szli prostym kursem i zwiększali szybkość. Od razu wszystko stało się jasne. Przez sekundę siedział nieruchomo, potem wstał. Ważył teraz więcej. Pasażerka o szarych oczach spojrzała na niego.

— Czy coś się dzieje?

— Nic takiego, proszę pani.

— Coś się zmieniło. Nie czuje pan?

— To nic. Zwiększamy trochę szybkość — powiedział. Teraz można było rozpocząć normalną, wstępną rozmowę. Spojrzał na nią. Kolor włosów nic nie przeszkadzał. Była bardzo ładna.

Poszedł przed siebie. Przyspieszył kroku. Pewno pomyślała, że jakiś wariat. Do końca pokładu widokowego ciągnęły się różnobarwne freski na ścianach. Przeszedł przez drzwi z napisem KONIEC POKŁADU — NIE MA WEJŚCIA, przez długi, pusty, lśniący metalicznie w świetle lamp korytarz. Szeregi drzwi z numerami. Poszedł dalej. Na słuch. Po schodkach dostał się na półpiętro — i stanął u innych drzwi. Stalowych.

WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU GWIAZDOWEGO — brzmiała tabliczka. Ha! Jakie ładne nazwy wymyślał ten „Transgalaktik”!

Drzwi były bez klamki, otwierały się specjalnym kluczem, którego nie miał. Podniósł palec do nosa. Namyslał się sekundę.

— Tap — tap — tatatap — tap — tap — zapukał.

Czekał chwilę. Otworzyły się. Ponura, zaczerwieniona twarz ukazała się w szparze.

— Czego pan sobie życzy?

— Jestem pilotem z Patroli — powiedział. Drzwi otwarły się szerzej.

Wszedł. Była to amplifikatornia rezerwowej sterowni — wzdłuż ścian szedł dublowany rozrząd dysz odchylających. Z drugiej strony — ekrany kontroli optycznej. Przy aparatach stało kilka foteli, wszystkie puste. Jeden przysadko—waty automat baczył na migotanie tarcz. Na wąskim stoliku pod ścianą stały w pierścieniowych uchwytych szklanki, opróżnione do połowy. W powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy i trudna do zidentyfikowania woń nagranych plastików zmieszana z nikłym śladem ozonu. Drugie

drzwi były nie domknięte. Dochodził stamtąd pisk przetwornicy.

— SOS? — spytał człowieka, który mu otworzył. Był to mężczyzna dosyć tęgi, z twarzą z jednej strony lekko opuchniętą, jakby go bolały zęby. Na włosach — pręga od słuchawek. Miał na sobie szary, z błyskawicami, mundur „Transgalaktiku”, nie dopięty. Ze spodni wyłaziła koszula.

— Tak.

Tamten jakby się wahał.

— Pan jest z Patroli? — powiedział.

— Z Bazy. Latałem dwa lata na Transuranie. Jestem nawigatorem. Nazywam się Pirx.

Tamten podał mu rękę.

— Mindell. Nukleonik.

Nic więcej nie mówiąc, poszli do drugiego pomieszczenia. Była to kabina radiowa — łączności bezpośredniej. Bardzo wielka. Z dziesięciu ludzi otaczało główny nadajnik. Dwu radiotelegrafistów siedziało ze słuchawkami na uszach — bez przerwy pisali, aparaty stukały, prąd brzęczał cichutko, pod podłogą popiskiwało. Kontrolki paliły się na wszystkich ścianach. Wyglądało tu jak we wnętrzu wielkiej, międzymiastowej stacji telefonicznej. Telegrafisci leżeli prawie na swoich pulpitych. Byli tylko w koszulkach i spodniach. Mieli spocone twarze — jeden był blady, drugi, starszy mężczyzna z blizną na głowie, wyglądał całkiem zwyczajnie. Pałak słuchawki rozdzielał włosy i blizna była dobrze widoczna. Dwu ludzi siedziało trochę dalej — Pirx spojrzął na nich i poznał w jednym Pierwszego.

Znał go przelotnie. Dowódca Tytana był niskiego wzrostu, szpakowaty, z małą, nic nie mówiącą twarzą. Z nogą założoną na nogę zdawał się obserwować koniuszek własnego bucika.

Pirx podszedł cicho do ludzi stojących nad telegrafistami, pochylił się do przodu i zaczął czytać nad ramieniem tego z blizną:

...”sześć osiemnaście koma trzy idę pełnym ciągiem dojdę ósma zero dwanaście koniec”.

Telegrafista podsunął sobie lewą ręką blankiet i pisał dalej bez przerwy.

„Luna Główna do Albatrosa, cztery Aresluna. Czy macie skażenie na pokładzie stop odpowiadajcie Morse'em stop fonia nie dochodzi stop ile godzin możecie utrzymać ciąg awaryjny stop pelengowany dryf zero sześć koma dwadzieścia jeden stop odbiór.”

„Poryw dwa Aresluna do Luny Głównej. Idę pełnym ciągiem do Albatrosa sektor 64 stóp. Mam przegrzany reaktor mimo to idę dalej stop jestem sześć miliparseków od punktu zapelengowanego SOS koniec.”

Naraz drugi radiotelegrafista, ten blady, wydał jakiś nieartykułowany głos — wszyscy stojący pochylili się nad nim. Człowiek, który wpuścił Pirxa, podał pierwszemu nawigatorowi zapisane formularze. Drugi telegrafista pisał:

„Albatros cztery do wszystkich. Leżę w dryfie elipsa T 341 sektor 65 stop poszycie kadłuba otwiera się dalej stop grodzie rufowe puszczają stop ciąg awaryjny reaktora 0,3 g stop reaktor wychodzi z kontroli stop przegroda główna uszkodzona w wielu miejscach stop skażenie na pokładzie trzeciego stopnia wzrasta pod wpływem ciągu awaryjnego stop usiłuję cementować stop przeprowadzam załogą na dziób koniec”.

Radiotelegrafście trzęsły się ręce, kiedy pisał. Jeden ze stojących wziął go za kołnierz koszuli, podniósł, wypchnął za drzwi, sam wyszedł, po chwili wrócił i usiadł na jego miejscu.

— Ma tam brata — powiedział wyjaśniająco, nie zwracając się specjalnie do nikogo. Pirx pochylił się teraz nad starszym, który zaczął nagle pisać:

„Luna Główna do Albatrosa cztery Aresluna. Idą ku wam Poryw sektor 64 Tytan z sektora 67 Balistyczny osiem z sektora 45 Kobold siedem zero dwa z sektora 94 stop cementujcie przeciek przegrody w skafandrach za tarczami przy nadciśnieniu stop podajcie bieżący dryf awaryjny stop”...

Ten, który zastąpił młodego telegrafistę, powiedział głośno: „Albatros!” — i wszyscy pochylili się nad nim. Pisał:

„Albatros cztery do wszystkich. Dryf awaryjny nie opanowany stop wręgi kadłuba puszczają stop tracę powietrze stop załoga w skafandrach stop maszynownia pod roztworem tarcze przebite temperatura w sterowni 65 stop pierwszy przeciek w sterowni zacementowany stop roztwór wrze stop zalewa główny nadajnik stop odtąd będę miał łączność tylko na fonii czekamy na was koniec”.

Pirx chciał zapalić papierosa — prawie wszyscy palili i widać było, jak dym sinymi pasmami leci w górę, wsysany zaraz przez wyloty odpowietrzników wentylacyjnych. Szukał po wszystkich kieszeniach i nie mógł znaleźć. Ktoś — nie wiedział nawet kto — wsunął mu w dłoń otwartą paczkę. Zapalił. Pierwszy odezwał się:

— Panie Mindell. Ugryzł się w dolną wargę.

— Pełny ciąg.

Mindell wydawał się w pierwszej chwili zaskoczony, ale nic nie powiedział.

— Ostrzeżenie? — spytał mężczyzna, siedzący obok Pierwszego.

— Tak. Ja sam. Dajcie.

Przyciągnął sobie mikrofon na wysięgowym ramieniu i zaczął mówić:

— Tytan Aresterra do Albatrosa cztery. Idziemy do was pełnym ciągiem. Jesteśmy na

granicy waszego sektora. Będziemy za godzinę. Próbuje wyjść przez klapę awaryjną. Będziemy przy was za godzinę. Idziemy pełnym ciągiem. Trzymajcie się. Trzymajcie się. Koniec.

Odrzucił mikrofon i wstał. Mindell mówił do interkomu w przeciwległej ścianie:

— Chłopcy, za pięć minut pełny ciąg. Tak, tak — odpowiadał temu, kto znajdował się u drugiego końca przewodu. Dowódca wyszedł. Słysząc było jego głos z drugiego pokoju:

— Uwaga! Uwaga! Pasażerowie! Uwaga! Uwaga! Pasażerowie! Podajemy ważne obwieszczenie. Za cztery minuty statek nasz zwiększy szybkość. Otrzymaliśmy wezwanie SOS i spieszmy...

Ktoś zamknął drzwi. Mindell dotknął ramienia Pirxa.

— Złap się pan za coś. Będziemy mieli przeszło dwa.

Pirx skinął głową. 2 g — to było dla niego tyle co nic, ale nie uważał, że jest czas na przechwalanie się własną wytrzymałością. Posłusznie ujął poręcz fotela, na którym siedział starszy telegrafista. Czytał przez jego ramię.

„Albatros cztery do Tytana. Nie utrzymam się przez godzinę na pokładzie stop włącz awaryjny zaciśnięty pękającymi wręgami stop temperatura w sterowni 81 stop para wypełnia sterownię stop będę próbował przeciąć pancierz dziobowy i wyjść koniec”.

Mindell wyrwał mu zapisaną kartkę spod ręki i pobiegł do drugiego pokoju. Gdy otwierał drzwi, podłoga drgnęła leciutko i wszyscy poczuli, że ciała ich stają się naraz bardzo ciężkie.

Pierwszy nawigator wszedł — stapał z widocznym wysiłkiem. Usiadł na swoim fotelu. Ktoś podał mu mikrofon na kablu. Miał w ręku zmięty, ostatni radiogram Albatrosa. Rozpostarł go i patrzył nań długą chwilę.

— Tytan Aresterra do Albatrosa cztery — odezwał się wreszcie. — Będziemy przy was za pięćdziesiąt minut. Nadejdziemy kursem osiemdziesiąt cztery koma piętnaście stop osiemdziesiąt jeden koma dwa stop opuszczajcie statek. Opuszczajcie statek. Znajdziemy was na pewno. Trzymajcie się. Koniec.

Mężczyzna w rozpiętej bluzie mundurowej, który zastąpił młodszego telegrafistę, zerwał się nagle i spojrzał na Pierwszego, który podszedł do niego. Telegrafista zdjął z głowy słuchawki, Pierwszy nałożył je sobie, równocześnie tamten regulował charczący z wysiłkiem głośnik. Naraz wszyscy zdrętwieli.

W kabinie stali ludzie, którzy latali od lat, ale tego nikt z nich jeszcze nie słyszał. Ten, czyj głos wydobywał się z głośnika, zmieszany był z przeciągłym szumem, jakby odgradzony ścianą płomieni, krzyczał:

— Albatros — wszystkich — roztwór — sterowni — temperatura — niemożliwe — załoga do końca — żegnajcie — przewody...

Głos urwał się i słychać było tylko szum.

Głośnik zaskrzypiał. Było ciężko ustać — wszyscy jednak stali, zgarbieni, opierając się o metalowe ściany.

— Balistyczny osiem do Luny Głównej — odezwał się silny głos. — Idę do Albatrosa cztery. Otwierajcie mi' drogę przez sektor 67, idę pełnym ciągiem, niezdolny do manewru mijania. Odbiór.

Milczenie trwało kilka sekund.

— Luna Główna do wszystkich w sektorach 66, 67, 68, 46, 47, 48 i 96. Ogłaszam sektory zamkniętymi. Wszystkie statki, które nie idą pełnym ciągiem do Albatrosa cztery, mają natychmiast zastopować i postawić reaktory na jałowy bieg oraz zapalić światła pozycyjne. Uwaga, Poryw! Uwaga, Tytan Aresterra! Uwaga, Balistyczny osiem! Uwaga Kobold siedem zero dwa! Mówi do was Luna Główna. Otwieram wam wolną drogę do Albatrosa cztery. Cały ruch w sektorach promienia wodzącego punktu SOS zostaje wstrzymany. Zaczniście hamowanie na miliparseku przed punktem SOS. Uważajcie, aby wygasic hamownice na zasięgu optycznym Albatrosa, ponieważ załoga jego mogła już opuścić pokład. Powodzenia. Powodzenia. Koniec.

Teraz odezwał się Poryw — Morse'em. Pirx wsłuchiwał się w popiskiwanie sygnałów.

„Poryw Aresterra do wszystkich idących z pomocą Albatrosowi cztery. Wszedłem w sektor Albatrosa za 18 minut będę przy nim stop mam przegrzany reaktor chłodzenie uszkodzone stop po akcji ratunkowej będę potrzebował pomocy lekarskiej stop zaczynam hamować pełnym ciągiem wstecznym. Koniec.”

— Wariat — odezwał się ktoś, a wtedy wszyscy stojący dotąd jak posągi poszukali oczami tego, kto to powiedział. Rozległ się krótki, gniewny pomruk.

— Poryw będzie pierwszy — zauważył Mindell i spojrzał na dowódcę.

— Sam będzie potrzebował pomocy. Za czterdzieści minut...

Urwał. Głośnik chrypiał i chrypiał, nagle przez trzaski dało się słyszeć:

— Poryw Aresterra do wszystkich idących z pomocą Albatrosowi cztery. Jestem na optycznej Albatrosa. Albatros dryfuje w przybliżeniu elipsą T 348. Rufa żarzy się wiśniowo. Światel sygnałowych brak. Albatros nie odpowiada na wezwania. Stopuję i rozpoczynam akcję ratunkową. Koniec.

W drugim pokoju odezwały się brzęczyki. Mindell i jeszcze jeden mężczyzna wyszli. Pirx miał wszystkie mięśnie jak z drzewa. Boże! Jak chciał tam być! Mindell wrócił.

— Co tam? — spytał Pierwszy.

— Pasażerowie pytają, kiedy będą mogli tańczyć — odpowiedział Mindell. Pirx nie słyszał tego nawet. Patrzył w głośnik.

— Już niedługo — odparł spokojnie nawigator. — Przełączcie mi optyczną. Dochodzimy. Za parę minut powinniśmy ich zobaczyć. Panie Mindell, daj pan drugie ostrzeżenie — będziemy hamowali na overdrive.

— Tak jest — odpowiedział Mindell i wyszedł.

Głośnik zabuczał i rozległ się głos:

— Luna Główna do Tytana Aresterra, Kobol—da siedem zero dwa! Uwaga! Uwaga! Uwaga! Balistyczny osiem dostrzegł w centrum sektora 65 błysk o jasności minus cztery. Poryw ani Albatros nie odpowiadają na wezwania. Istnieje możliwość eksplozji reaktora na Albatrosie. Ze względu na bezpieczeństwo pasażerów Tytan Aresterra wezwany jest do zastopowania i natychmiastowego zgłoszenia się. Balistyczny osiem i Kobold siedem zero dwa działają dalej według własnego uznania. Powtarzam. Tytan Aresterra wezwany jest...

Wszyscy patrzyli na Pierwszego. — Panie Mindell — powiedział. — Zastopujemy na miliparseku?

Mindell patrzył na tarczę swego ręcznego zegarka.

— Nie, panie nawigatorze. Dochodzimy na optyczną. Potrzebowałbym sześciu g.

— To zmienimy kurs.

— I tak będziemy mieli co najmniej trzy — powiedział Mindell.

— Trudno.

Pierwszy wstał, podszedł do mikrofonu i odezwał się:

— Tytan Aresterra do Luny Głównej. Nie mogę zastopować, mam zbyt wielką szybkość. Zmieniam kurs manewrem mijania na połowie ciągu i wychodzę kursem dwieście dwa z sektora 65 do sektora 66. Proszę otworzyć mi drogę. Odbiór.

— Pan odbierze potwierdzenie — zwrócił się do mężczyzny, który siedział przedtem obok niego. Mindell wołał coś do interkomu. Brzęczyki odzywały się nieustannie. Światelka skakały na tablicach ściennych. Zrobiło się naraz jakby ciemniej — to tylko krew odpływała z oczu. Pirx rozstawił szeroko nogi. Szli na hamownicach, wyrabiając zakręt. Tytan wibrował delikatnie, słychać było przeciągły wysoki śpiew silników.

— Siadać! — krzyknął Pierwszy. — Nie potrzebuję tu bohaterów! Mamy trzy!

Wszyscy posiadali na podłodze, a raczej zwalili się na nią. Była pokryta grubą warstwą pianoplastyku.

— No! Co tam się natłucze, nałamię! — mruknął mężczyzna siedzący obok Pirxa.

Nawigator usłyszał to.

— Towarzystwo Ubezpieczeń zapłaci — odpowiedział ze swego fotela. Mieli chyba ponad trzy — Pirsowi trudno było podnieść rękę do twarzy. Pasażerowie leżeli pewno wszyscy w kajutach — ale co się musiało dziać w kuchniach, w jadalniach, no! Wyobraził sobie palmiarnię. Przecież tego żadne drzewo nie wytrzyma! A na dole! Pełne wagony zbitej porcelany! Nieźle tam musiało teraz wyglądać!

Głośnik odezwał się.

— Balistyczny osiem do wszystkich. Jestem na optycznej Albatrosa. Jest w chmurze. Rufa żarzy się. Kończę hamowanie i wysyłam w przestrzeń ekipy do poszukiwania załogi Albatrosa. Poryw nie odpowiada na wezwania. Koniec.

Przyspieszenie malało. Ktoś pokazał się w drugich drzwiach i krzyknął. Można już było wstać. Wszyscy ruszyli w te drzwi. Pirx wszedł ostatni. Była to główna sterownia. Ekran osiem na szesnaście metrów zajmował całą przednią ścianę — zakłęśły — niczym w jakimś kino—teatrze olbrzymów. Wszystkie światła sterowni były wygaszone. W przestrzeni, na czarnym gwiazdowym tle, poniżej głównej osi Tytana, w lewym kwadrancie tłała cienka kreseczka, zakończona żarzącym się, wiśniowym węgielkiem, jak ognik papierosa. Stanowiła jądro bladego, przypłaszczonego z lekka pęcherza z cieńszymi, rozchodzącymi się na wszystkie strony kolczastymi wypustkami; poprzez tę kulistą chmurę przecierało się coraz wyraźniej światło silniejszych gwiazd. Naraz wszyscy targnęli się do przodu — jakby chcieli wejść w ekran. Całkiem nisko, w prawym dolnym rogu błysnął między stałymi gwiazdami biały punkcik — i zaczął szybko migać. To był Poryw.

„W reaktorze Albatrosa zaszła nie kontrolowana reakcja łańcuchowa stop mam straty w ludziach stop oparzeni stop proszę lekarzy stop nadajnik uszkodzony wybuchem stop przeciek reaktora stop gotowy do odrzucenia reaktora jeśli nie opanuję przecieku stop” — odczytywał Pirx z miarowo rozbłyskującego punktu.

Albatrosa nie było już widać. Pośród gwiazd wisiał ciężki, bursztynowo-biało-bury kłęb, wypuczony z wierzchu grzywiastymi naroślami. Był coraz niżej i przesuwał się w dolny lewy róg ekranu — Tytan górował nad nim, wychodząc nowym kursem z sektora katastrofy.

W głąb mrocznej sterowni padła długa smuga światła z drzwi kabiny radiowej. Słychać było głos Balistycznego:

— Balistyczny osiem do Luni Głównej. Zastopowałem w centralnej części sektora 65. Poryw na miliparseku pode mną sygnalizuje optycznie straty w ludziach oraz przeciek reaktora, gotowy do odrzucenia reaktora, wzywa pomocy lekarskiej, której mu udzielę. Poszukiwanie załogi Albatrosa utrudnione skażeniami próżni chmurą radioaktywną o

temperaturze powierzchni ponad 1200. Jestem na optycznej Tytana Aresterra, który mija mnie pełnym ciągiem wychodząc w sektor 66. Oczekuję przybycia Kobolda siedem zero dwa w celu podjęcia wspólnych działań ratowniczych. Koniec.

— Wszyscy na stanowiska! — rozległ się silny głos. Jednocześnie tylne światła sterowni zapłonęły. Zapanował ruch, ludzie szli pod ścianami w trzy strony, Mindell wydawał rozkazy stojąc przy pulpicie rozrządczym, brzęczyki odzywały się po kilka naraz, w końcu sala opustoszała i oprócz dowódcy, Mindella i Pirxa został w niej tylko młody telegrafista, który stał w kącie naprzeciw ekranu i patrzył w rozwiewający się powoli, coraz większy i ciemniejszy bąbel dymu.

— A, to pan — powiedział Pierwszy Tytana, jakby dopiero teraz zobaczył Pirxa, i podał mu rękę. — Czy Kobold zgłasza się? — spytał ponad jego głową kogoś w drzwiach radiowej.

— Tak, panie nawigatorze, idzie wstecznym.

— Dobrze.

Stali przez chwilę, patrząc w ekran. Ostatni strzęp brudnej chmury znikł. Ekran był znowu pełen czystej, gwiazdowej ciemności.

— Czy ktoś wyszedł? — spytał Pirx, jak gdyby dowódca Tytana mógł wiedzieć więcej od niego. Ale on był Pierwszym — a Pierwszy powinien wiedzieć wszystko.

— Musiały im się zaciąć blendy — odparł tamten. Był więcej niż o głowę niższy od Pirxa. Włosy miał jak z ołowiu — nie wiadomo było, czy posiwiały tak, czy też były takie zawsze.

— Mindell — rzucił Pierwszy w stronę przechodzącego inżyniera — ogłoś pan z łaski swojej koniec ostrzeżenia. Mogą tańczyć.

— Znał pan Albatrosa? — spytał zwracając się do milczącego Pirxa.

— Nie.

— Kompania Zachodnia. Dwadzieścia trzy tysiące ton. Co tam?

Radiotelegrafista zbliżył się i podał mu zapisany blankiet. Pirx odczytał pierwsze słowa: „Balistyczny do...”

Cofnął się. Teraz jednak przeszkadzał ludziom, którzy co chwila przechodzili przez sterownię, więc stanął pod samą ścianą w kącie. Nadbiegł Mindell.

— Jak tam? — spytał go. Mindell był spocony, wycierał chustką czoło. Pirx miał takie wrażenie, jak gdyby znał go już — od lat.

— Nie najgorzej — wysapał Mindell. — Dostali podmuchem. Chłodzenie reaktora puściło od wstrząsu — to świństwo zawsze leci pierwsze. Oparzenia pierwszego i drugiego

stopnia. Lekarze tam już są.

— Z Balistycznego?

— Tak.

— Nawigatorze! Luna Główna! — zawołał ktoś od drzwi radiowej i Pierwszy odszedł. Pirx stał naprzeciw Mindella, który odruchowo dotknął spuchniętego policzka i schował chustką do kieszeni.

Pirx chciał dalej pytać Mindella — ale nic już nie powiedział, skinął mu tylko głową i poszedł do kabiny radiowej. Głośnik gadał dziesięcioma głosami, statki z pięciu sektorów dopytywały się o Albatrosa, o Poryw, Luna Główna nakazała wreszcie wszystkim milczenie i usiłowała rozplatać komunikacyjny węzeł, który powstał wokół 65 sektora po zablokowaniu otaczającej go przestrzeni, Pierwszy siedział obok telegrafisty i coś pisał. Naraz telegrafista zdjął słuchawki i odłożył je — jakby przestały już być potrzebne. Przynajmniej wydało się tak Pirxowi. Podeszedł do niego z tyłu. Chciał spytać, co z ludźmi Albatrosa — czy udało im się wyjść. Radiowiec poczuł jego obecność, podniósł głowę i popatrzał mu w twarz. Pirx nie spytał go już o nic. Wyszedł przed drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU GWIAZDOWEGO.

ANANKE

Wypchnęło go coś ze snu — w ciemność. Zostawił za sobą — gdzie? — czerwonawy, zadymiony obrys — miasta? pożaru? — i przeciwnika, gonitwę, wyważenie skały, która była tamtym — człowiekiem? Gonił jeszcze odpływające wspomnienie, już z rezygnacją, i pozostała mu tylko znana dobrze z takich chwil refleksja, że w snach bywa dana rzeczywistość silniejsza i bardziej bezpośrednia od jawy; wyzbyta słów i przy całej swojej nieobliczalnej kapryśności rządzona prawem objawiającym się jako oczywistość, ale tylko tam, w koszmarze. Nie wiedział, gdzie jest, nic nie pamiętał. Wystarczyło rękę podnieść, aby się przekonać, ale miał ten bezwład za złe własnej pamięci i usiłował zdopingować ją do zeznań. Sam siebie oszukiwał: w bezruchu, przecież chciał po konsystencji posłania rozpoznać, gdzie się znajduje. W każdym razie nie była to koja. Błysk: lądowanie; iskry na pustyni; tarcza — jak gdyby fałszywego, powiększonego Księżyca; kratery — ale w pyłowej zamieci; prądy brudnej, rudej wichury; kwadrat kosmodromu, wieże.

Mars.

Leżał dalej, rozważając już teraz całkiem rzeczowo, czemu się zbudził. Miał zaufanie do własnego ciała; nie ocknęłoby się bez żadnego powodu. Prawda, że lądowanie było dość kłopotliwe, a on potężnie zmęczony, bo po dwóch wachtach bez chwili wypoczynku: Terman złamał rękę, kiedy automat dał ciąg i rzuciło go na ścianę. Spaść z sufitu, przy przejściu na ciąg, po jedenastu latach latania — co za osioł! Trzeba będzie odwiedzić go w szpitalu. Czy przez to...? Nie.

Zaczął sobie teraz po kolei przypominać wypadki poprzedniego dnia, od chwili lądowania. Siedli w burzy. Atmosfery tyle co nic, ale przy dwustu sześćdziesięciu kilometrach na godzinę prawie nie ustoisz — przy tym nędznym ciężeniu. Pod podszwami żadnego tarcia; idąc, trzeba się wkopywać butami w piasek, dopomagać sobie grzęznącymi kostkami. I ten pył z lodowatym sykiem szorujący po kombinezonie, włączący w każdą fałdkę, ani specjalnie czerwony, ani rudy, zwykły piasek, tyle że drobny. Zdążyło go zmielić przez kilka miliardów lat. Nie było tu kapitanatu, bo i normalnego portu nie było; Projekt Marsa, w drugim roku, wciąż jeszcze cały w prowizorkach, co zbudowali, to im zasypywało, ani hotelu, ani hoteliku — nic. Kopuły dotlenione, pod linami, ogromne, każda jak dziesięć hangarów, pod promienistym parasolem stalowych lin zakotwiczonych do kłoców betonowych, mało co widocznych spod wydm. Baraki, falista blacha, stopy i stopy pak, kontenerów, pojemników,

butli, skrzyń, worów, miasto z ładunków, które waliły się z pasów transportera. Jedyne całkiem przyzwoite miejsce, dopięte, uporządkowane — to był stojący poza „klozem” budynek kontroli lotów, dwie mile od kosmodromu, w którym właśnie leżał, po ciemku, w łóżku dyżurnego kontrolera Seyna. Usiadł i bosą stopą, po omacku, poszukał pantofli. Zawsze je woził z sobą; zawsze rozbierał się do snu; jeśli się nie ogolił jak należy i nie umył, nie czuł się na wysokości zadania. Nie pamiętał, jak wygląda pokój, więc na wszelki wypadek prostował się ostrożnie; łeb można sobie rozbić przy tej oszczędności materiałów (cały projekt trzeszczał od owych oszczędności; wiedział coś o tym). Teraz znów gniewało go to, że zapomniał, gdzie są wyłączniki. Jak ślepy szczur... Macał rękami — zamiast kontaktu dotknął zimnego pokrętła. Pociągnął. Strzeliło lekko i ze słabym zgrzytem otwarła się irysowa okiennica. Był ciężki, zamulony, głuchy przedświt. Stojąc przed oknem, podobnym raczej do okrętowego bulaja, dotknął szczeciny na policzku, skrzywił się i westchnął; wszystko było nie tak, chociaż nie wiadomo właściwie — dlaczego. Zresztą gdyby się zastanowił, może i przyznałby, że wie. Nie znosił Marsa.

Była to sprawa ściśle prywatna; nikt o tym nie wiedział, ale też nikogo to nie obchodziło. Mars — to było uosobienie straconych złudzeń, wyszydzonych, wyśmianych — ale drogich. Wolałby latać na każdej innej trasie. Pisaninę o romantyzmie Projektu miał za zawracanie głowy. Perspektywy kolonizacji — za fikcję. O, Mars oszukał wszystkich — więcej: oszukiwał od stu kilkudziesięciu lat. Kanały. Jedna z najpiękniejszych, najbardziej niesamowitych przygód całej astronomii. Planeta rdzawa: pustynna. Białe czapki polarnych śniegów: ostatnie rezerwy wody. Jak brylantem w szkle zarysowana cienka siatka czystej geometrii — od biegunów ku równikowi: świadectwo walki rozumu z zagładą, potężny system irygacyjny, nawadniający miliony hektarów pustyni; ależ tak: z nadejściem wiosny zmieniała się przecież barwa pustyń, ciemniały od wegetacji przebudzonej, i to we właściwy sposób: od równika ku biegunowi. Co za bzdura! Kanałów nie było nawet śladu. Roślinność? Tajemnicze mchy, porosty, opancerzone przeciw mrozom, wichurom? Spolimeryzowane wyższe tlenki węgla, co pokrywały grunt — i ulatniały się, gdy mróz koszmarny zamieniał się na mróz tylko okropny. Czapy śniegowe? Zwykły zestalony CO₂. Ani wody, ani tlenu, ani życia — poszarpane kratery, przeżarte zamieciami pyłowymi skały—świadki, nudne równiny, martwy, płaski, bury krajobraz z bladym, szarordzawym niebem. Ani obłoków, ani chmur — niewyraźne mgły, tyle zachmurzenia, co podczas wielkich burz. Elektryczności atmosferycznej za to — do diabła i trochę. Czy coś grało? Sygnał jakiś? Nie, to donosiło się pianie powietrza na stalowych linach najbliższego „bombla”. W brudnym świetle (nawet

najtwardszemu szkłu okiennemu szybko dawał radę piach niesiony wiatrem, a już plastikowe kopuły mieszkalne zmętniały jak zawleczone bielmem) włączył żarówkę nad umywalnią i zaczął się golić. Wykrzywiając się, pomyślał zdanie tak głupie, że się mimo woli uśmiechnął: Mars jest świnią.

Było to jednak świństwo: przy tylu nadziejach — tak zawieść! Zgodnie z tradycją — ale kto właściwie ją ustanowił? Nikt w pojedynkę. Nikt sam tego nie wymyślił; koncepcja ta nie miała tak samo twórców, jak nie mają znanych autorów wierzenia i legendy — więc ze zbiorowych chyba rojeń (astronomów? mity astronomii obserwacyjnej?) wyrosła taka wizja: biała Wenus, gwiazda poranna i wieczorna, tajemniczo zaciągnięta masywem chmur — to planeta młoda, w dżunglach cała i jaszczurach, i wulkanicznych oceanach, jednym słowem: to przeszłość Ziemi. A Mars — wysychający, zardzewiały, pełen piaszczystych burz i zagadek (kanały potrafiły się nieraz rozdwajać w przebiegu, stawały się bliźniacze przez jedną noc! iluż pilnych astronomów to poświadczyło!), Mars heroicznie walczący swoją cywilizacją ze zmierzchem życia — to była przyszłość Ziemi; proste, jasne, wyraźne, zrozumiałe. Tyle że nieprawdziwe od A do Z.

Pod uchem były trzy włoski, których nie chciał wziąć aparat elektryczny; brzytwa została jednak na statku, więc zaczął się do nich przymierzać tak i owak. Nie szło. Mars. Ci astronomowie–obserwatorzy byli to jednak ludzie o bujnej fantazji. Schiaparelli chociażby. Niesłychane nazwy, jakimi ochrzcił, razem ze swym największym wrogiem, Antoniadim, to, czego nie widział, co mu się tylko zdawało. Chociażby okolicę, w której budował się tu Projekt: Agathodaemon. Demon, wiadomo, Agatho... — od agatu chyba, że czarny? Czy agathon — mądrość? Astronautów nie uczą greki — szkoda. Miał słabość do starych podręczników astronomii gwiazdnej i planetarnej. Ta ich wzruszająca pewność siebie: w 1913 roku głosiły, że Ziemia jest, z kosmicznej przestrzeni, c z e r w o n a w a, ponieważ atmosfera pochłania błękitną część widma, więc, rozumie się, to, co pozostaje, musi być co najmniej różowe. Kulą w płot! A jednak, kiedy się oglądało te wspaniałe mapy Schiaparellego, wprost nie chciało się pomieścić w głowie, że widział nie istniejące. Co najdziwniejsze, inni, po nim, też to widzieli. Był to jakiś psychologiczny fenomen, któremu później nie poświęcano już uwagi. Najpierw cztery piąte każdego dzieła o Marsie wypełniała topografia i topologia kanałów — toż znalazł się w drugiej połowie XX wieku astronom, który poddał ich sieć statystycznej analizie i wykrył jej podobieństwo, właśnie topologiczne, do sieci kolejowej, więc komunikacyjnej — w odróżnieniu od przebiegu naturalnych pęknięć czy rzek — a potem, jakby kto czar zdmuchnął, jednym zdaniem kwitowano rzecz: złudzenie optyczne — i kropka.

Oczyścił maszynkę pod oknem i chowając ją do futerału, raz jeszcze spojrzął, już z nieukrywaną niechęcią, na ten cały Agathodaemon, na ów zagadkowy „kanał”, który był nudnym płaskim terenem z nielicznymi rumowiskami w zamglonym horyzoncie. W porównaniu z Marsem Księżyc był po prostu przytulny. Zapewne, komuś, kto się na krok z Ziemi nie ruszył, brzmiałoby to dziko, lecz przecież święta prawda. Najpierw — Słońce jest stamtąd akurat takie samo, jak z Ziemi, a że to ważne, o tym wie każdy, kto nie tyle się zdziwił, ile wprost przeląkł, ujrzawszy je w postaci skurczonego, zwiędłego, zimnawego ognika. A już majestatyczna, błękitna Ziemia, jak lampa, symbol bezpiecznego pobliża, znak domu, rozjaśniająca tak dobrze noce — podczas kiedy Fobos z Dejmosem nie dawały nawet tyle światła, ile Księżyc w pierwszej kwadrze. No i cisza. Wysoka próżnia, spokojna, to nie był przypadek, że łatwiej przychodziło nadawać telewizyjne lądowanie, pierwszy krok projektu Apollo, podczas kiedy o analogicznym widowisku, ot, powiedzmy, ze szczytu Himalajów, nie było nawet mowy. O tym, czym jest dla człowieka wiatr, który nigdy nie ustaje, można się bez reszty przekonać dopiero na Marsie.

Spojrzął na zegarek: był to zupełnie nowy nabytek, z pięcioma koncentrycznymi cyferblatami, podawał standardowy czas ziemski, czas pokładowy i czas planetarny. Była szósta z minutami.

Jutro o tej porze będę o cztery miliony kilometrów stąd — pomyślał nie bez satysfakcji. Należał do „klubu przewoźników”, żywicieli Projektu, ale godziny jego służby były policzone, bo na linię Aresterra wprowadzono już te nowe olbrzymie jednostki z masą spoczynkową rzędu 100 000 ton. „Ariel”, „Ares”, „Anabis” leżały na kursie Marsa od paru tygodni; „Ariel” miał lądować za dwie godziny. Nigdy jeszcze nie widział lądowania stutysięcznika, bo na Ziemi siadać nie mogły; lądowano je na Księżycu, ekonomiści obliczyli, że się to opłaci. Takie jednostki, jak jego „Cuwier”, z tymi kilkunastoma tysiącami ton, miały definitywnie zejść ze sceny. Ot, jakąś drobnicę może będzie się jeszcze czasem nimi przerzucało.

Była szósta dwadzieścia i rozsądny człowiek zjadłby o tej porze coś gorącego. Myśl o kawie też była zachęcająca. Ale gdzie się tu można pożywić — nie wiedział.

W Agathodaemonie był po raz pierwszy. Dotąd obsługiwał główny przyczółek — syrtyjski. Dlaczego zaatakowano Marsa w dwóch punktach naraz, odległych od siebie o kilkanaście tysięcy mil? Znał uczone racje, ale myślał swoje. Zresztą nie obnosił się z tym krytycyzmem. Wielka Syrta miała być termojądrowym oraz intelektualnym poligonem. Wyglądało tam zupełnie inaczej. Niektórzy mówili, że Agathodaemon jest Kopciuszkim Projektu i że już kilkakrotnie groziło mu zwiniecie. Wciąż jednak liczyli jeszcze na tę jakąś

zamarzła wodę, na te głębokie lodowce z zamierzchłych epok, które właśnie tu miały tkwić, gdzieś pod zapiekłym gruntem — pewno, że jeśliby się Projekt dokopał miejscowej wody, byłoby to istnym triumfem, zważywszy, że na razie każdą kroplę woziło się z Ziemi, a urządzenia wychwytyjące parę wodną z atmosfery budowano i budowano drugi rok, chwila zaś rozruchu wciąż się oddalała.

Nie, stanowczo Mars nie miał dlań żadnych powabów.

Nie chciało mu się wyjść jeszcze — w budynku było tak cicho, jakby wszyscy gdzieś poszli czy pomarli. A nie chciało mu się wyjść głównie przez to, że przywykał coraz bardziej do samotności — dowódca może być na pokładzie zawsze samotny, jeśli chce — i służyła mu dobrze: po dłuższej podróży — leciało się teraz, po opozycji, przeszło trzy miesiące — musiał użyć pewnego wysiłku, żeby wejść tak od razu i po prostu w tłum obcych ludzi. A nie znał tu nikogo oprócz dyżurnego kontrolera. Mógł pójść do niego na piętro, lecz byłoby to w nie najlepszym guście. Nie należy zawracać głowy ludziom przy pracy. Sądził podług siebie: nie lubił takich gości.

W przegródce nesesera był termos z resztką kawy i paczka keksów. Jadł, starając się nie kruszyć, pił i patrzył przez porysowaną piaskiem okrągłą szybę w stare, płaskie i jak gdyby śmiertelnie zmęczone dno tego Agathodaemona. Mars robił na nim takie właśnie wrażenie: że już mu wszystko jedno; i dlatego tak dziwnie były nagromadzone krater, inne od księżycowych, niby rozmyte („jakby sfalszowane” — wyrwało mu się raz przy oglądaniu dużych, dobrych zdjęć), i tak bezsensowne te okolice dzikiego urzeźbienia, zwane „chaosami”, miejsca ukochane przez areologów, bo niczego podobnego do tych formacji na Ziemi nie było. Mars był jakby zrezygnowany, nie dbał ani o dotrzymanie słowa, ani nawet o pozory. Gdy się ku niemu zbliżało, zaczynał tracić swój solidny, czerwony wygląd, przestawał być emblematem boga wojny, powlekał się niewyraźną burością, plamami, zaciekami, żadnego wyrazistego rysunku, jak na Księżycu czy Ziemi, rozmaz, szarawa rdza i wieczny wiatr.

Pod stopami czuł najdelikatniejsze w świecie drżenie — przetwornik albo transformator. Zresztą dalej panowała cisza, w którą jakby z innego świata wnikał kiedy niekiedy odległy skowyt wichury na linach mieszkalnego klosza. Piekielny piasek dawał z czasem radę nawet dwucalówkom z wysokogatunkowej stali. Na Księżycu można zostawić każdą rzecz, położyć na kamieniu i wrócić po stu latach, po milionie, ze spokojną wiedzą, że leży nie tknięta. Na Marsie nie można niczego upuścić z ręki — wsiąkłoby na amen. To nie była uczciwa planeta.

O szóstej czterdzieści brzeg horyzontu zaczerwienił się, wschodziło Słońce, i ta plama

jasności (żadnej zorzy, skąd) zniecka — barwą — przypomniła mu sen. Pełen zdziwienia, powoli odstawił termos. Przypomnił sobie, o co tam szło. Ktoś chciał go zabić — ale to on zabił tamtego. Umarły gonił go przez czerwono rozświetloną ciemność; zabijał go jeszcze kilka razy, ale to nic nie pomagało. Idiotyczne, zapewne, ale było tam coś jeszcze: był niemal pewny, że we śnie znał tego człowieka, a teraz nie miał pojęcia, z kim walczył tak rozpaczliwie. Oczywiście, poczucie znajomości też mogło być złudzeniem snu. Próbował tego dojść, ale znów samowolna pamięć milkła, wszystko na powrót chowało się milczkiem jak ślimak do skorupy, i stał tak, przy oknie, z ręką na stalowej framudze, trochę poruszony, jakby poszło o nie wiedzieć co. Śmierć. Było jasne, że w miarę rozrostu kosmonautyki ludzie zaczną umierać na planetach. Księżyc okazał się lojalny wobec zmarłych. Pozwala skamienieć, obraca w lodowy posąg, w mumię, której lekkość, prawie nieważkość odrealnia ją i ujmuje jakby wagi katastrofie. Natomiast na Marsie trzeba o nich dbać, niezwłocznie, bo piaszczyste wichry przetną każdy skafander w ciągu paru dni, i nim wysoka susza zmumifikuje szczątki, wyjrzą z rozdartej tkaniny kości, polerowane, szlifowane z zapamiętaniem, aż obnaży się szkielet, który, rozsypany, w tym obcym piasku, pod tym brudnym, obcym niebem, jest niemal wyrzutem sumienia, prawie zniewagą, jakby przywożąc tutaj raketami, razem z życiem, śmiertelność, ludzie zrobili coś niewłaściwego, coś, czego należy się wstydzic, co trzeba ukryć, zabrać gdzieś, pochować; wszystko bez sensu, rozumie się — ale tak w tej chwili czuł.

O siódmej była zmiana na stanowiskach kontroli lotu, a podczas zmiany wypada już i obcemu przyjść. Pochował swoje rzeczy do nesesera, nie było ich wiele, i wyszedł, pamiętając o tym, że trzeba się upewnić, czy rozładunek „Cuiviera” idzie planowo. Do południa miał już wyzbyć się całej swojej drobnicy, a było tam parę rzeczy wartych sprawdzenia. Na przykład chłodzenie osady pomocniczego reaktora. Zwłaszcza że musiał wracać z uszczuploną załogą. O tym, aby mógł dostać tu kogoś w zamian za Termana, nie było mowy. Po krętych schodach, wyłożonych pianoplastykiem, z ręką na dziwnie ciepłej, jakby ogrzewanej poręczy, dostał się na piętro, i wszystko od razu się zmieniło tak całkowicie, jakby on też stał się kimś innym otwierając szerokie wahadłowe drzwi o matowych szybach.

Było to jakby wnętrze wielkiej głowy, z sześciorgiem wypukłych, ogromnych, szklanych oczu, wylupionych w trzy strony świata. Tylko w trzy, bo za czwartą ścianą znajdowały się anteny, a cała ta salka mogła się kręcić na osi niczym obrotowa scena. Była też w niej jakimś sensie sceną, na której odgrywano wciąż podobne sztuki startów i lądowań, widocznych jak na dłoni, bo z odległości kilometra, zza kolistych, szerokich pulpity, widać było

stanowiących jakby jedną całość ze srebrzystoszarymi ścianami. Było tu trochę jak w kontrolnej wieży lotniska, a trochę jak na sali operacyjnej; przy ślepej ścianie masywniał pod skośnym kapturem główny komputer bezpośredniej łączności ze statkami, który zawsze mrugał i cykał, prowadząc swoje milczące monologi i wypluwając kawałki dziurkowanych taśm; były tu trzy rezerwowe stanowiska kontroli z mikrofonami, lampami punktowymi, fotelami na kulowych przegubach, i podobne do bulwiastych hydrantów ulicznych podręczne automaty, liczące kontrolerów; był tu wreszcie, pod ścianą, mały, ale jak lalka zgrabny barek z cichutko syczącym ekspresem. Więc to tu znajdowało się kawowe źródło! Swego „Cuiviera” nie mógł stąd Pirx zobaczyć; postawił go, jak mu przykazała kontrola, trzy mile dalej, poza wszystkimi betonami, bo tak się tutaj przygotowywano na przyjęcie pierwszej najcięższej jednostki projektu, jakby nie była wyposażona w najnowsze astrolokacyjne i kosmonautyczne automatyki, które, jak chępli się konstruktorzy ze stoczni (znał prawie wszystkich), mogły posadzić ten ćwierćmilowy ogrom, tę żelazną górę na powierzchni wielkości ogródka działkowego. Wszyscy pracownicy portu, z trzech zmian, przyszli na tę uroczystość, która zresztą żadną oficjalną uroczystością nie była; „Ariel”, podobnie jak inne jednostki prototypowe, miał wszak za sobą dziesiątki próbnych lotów i lądowań księżycowych; co prawda, nigdy jeszcze nie wchodził z pełnym obciążeniem w atmosferę. Do lądowania pozostało niespełna pół godziny, więc Pirx przywitał się z tymi, co nie mieli służby, a potem i Seynowi uściśnął rękę; odbiorniki pracowały już, na ekranach telewizyjnych chodziły rozmazane smugi z góry na dół, ale światełka pulpitu zbliżenia wszystkie jeszcze jaśniały niepokalaną zielenią na znak, że zostało mnóstwo czasu i nic się nie dzieje. Romani, kierownik bazy Agathodaemona, zaproponował mu do kawy kieliszek koniaku, Pirx zawahał się, ale w końcu był przecież osobą całkiem prywatną i — chociaż nieprzywykły do tak ранego używania trunków — pojmował, że chodzi im o symboliczne uświetnienie chwili; czekano wszak od miesięcy na te najcięższe jednostki, miały zdjąć z głowy kierownictwu bezustanne kłopoty, bo dotąd wciąż toczył się wyścig między żarłoczością budowy, której nie mogła zaspokoić flotyła Projektu, a wysiłkami przewoźników, takich jak Pirx, żeby obracać na trasie Mars — Ziemia tak sprawnie i szybko, jak się tylko dało. Teraz, po opozycji, obie planety zaczynały się rozchodzić, odległość dzieląca je miała już przez całe lata rosnać, aby dojść do przeraźliwego maksimum setek milionów kilometrów; i właśnie w tym najgorszym dla Projektu okresie przybywało potężne wsparcie.

Wszyscy mówili przyciszonymi głosami, a kiedy . zieleń zgasła i odezwały się brzęczyki, nastąpiła zupełna cisza. Dzień wstawał typowo marsjański, ani chmurny, ani czysty, bez wyraźnego horyzontu, bez wyraźnego nieba, jak gdyby bez dającego się oznaczyć i

rachować czasu. Mimo dnia obrzeża kwadratów betonowych, leżące płasko w centrum Agathodaemona, obwiodły palające linie, zapaliły się tam automatycznie laserowe oznakowania, a krawędzie centralnej okrągłej tarczy z prawie czarnego betonu wyznaczały błyszczące gwiazdziste jody. Kontrolerzy poprawili się w fotelach, zresztą i tak roboty mieli tyle co nic; za to główny komputer rozjaśnił swoje tarcze, jakby objawiał wszem wobec swą nadzwyczajną ważność, przekaźniki zaczęły gdzieś cichutko stukać i z głośnika doszedł ich wyraźny bas:

— Halo tam, Agathodaemon, tu „Ariel”, mówi Klyne, jesteśmy na optycznej, wysokość sześćset, za dwadzieścia sekund przełączymy się na automaty, do zejścia, odbiór.

— Agathodaemon do „Ariela”! — rzekł skwapliwie Seyn; mały, z dziobatym profilkiem u sitka mikrofonu, doduszał szybko papierosa — mamy was na wszystkich ekranach, na jakich możemy was mieć, kładźcie się i schodźcie ładnie na dół, odbiór!

Żartują tu sobie — pomyślał Pirx, który tego nie lubił, może był przesądny — no, widać mają procedury w małym palcu.

— „Ariel” do Agathodaemona: mamy trzysta, włączamy automaty, schodzimy bez bocznego dryfu, zero na zero, jaka siła wiatru? — odbiór.

— Agathodaemon do „Ariela”: wiatr 180/h, północ–no–północnozachodni, nic wam nie zrobi, odbiór.

— „Ariel” do wszystkich: schodzę na osi ruf owo, automaty przejęły stery, koniec.

Zapadła cisza, tylko przekaźniki coś tam drobiły po swojemu, a na ekranach ukazał się już wyraźnie białe płonący punkt, rosnący szybko, jakby ktoś wydymał bańkę ognistego szkła. Była to ziejąca rufa statku, który schodził w samej rzeczy jak zawieszony na niewidzialnym pionie, bez najmniejszych drgnień, bocznych przechyłów, bez śladu zawirowań — Pirxowi przyjemnie było na to patrzeć. Oceniał odległość na jakieś sto kilometrów; przed pięćdziesięcioma nie było sensu zaglądać w niebo przez okna, mimo to zgrupowało się już przy nich sporo obecnych z zadartymi w zenit głowami.

Kontrola miała ciągłą łączność radiofoniczną ze statkiem, ale po prostu nie było o czym mówić; załoga leżała w komplecie na anty grawitacyjnych fotelach, wszystko robiły automaty pod dyktando głównego komputera raketowego, i to on właśnie zdecydował o zmianie ciągu atomowego na borowodorowy — przy sześćdziesięciu kilometrach wysokości, a więc na samej granicy rzadkiej atmosfery. Teraz Pirx podszedł do środkowego, największego okna i natychmiast zobaczył w niebie, przez jego bladyszczącą mgiełkę, ostrozielony ogień, mikroskopijny, ale wibrujący niezwykle blaskiem — jak gdyby ktoś nawiercał z wysokości nieboskłon Marsa płonącym szmaragdem. Od tego równomiernie

pałającego punktu szły w różne strony blade smużki, były to jakieś wiechetka i strzępy chmur, a raczej tych niedonosków, które w tutejszej atmosferze pełniły zastępczo ich obowiązki. Schwytane w orbitę okrętowego odrzutu, zapalały się i rozpadały jak sztuczne ognie. Statek rósł, a właściwie wciąż tylko rosła jego okrągła rufa. Powietrze najwyraźniej drgało pod nim od żaru i przez to mogło się niedoświadczonemu zdawać, że i sama rakietka trochę chodzi na boki, ale Pirx znał ten obraz zbyt dobrze, by się omylić. Jakoś tak bez żadnego napięcia, w spokoju szło wszystko, przypominał sobie pierwszy krok ludzki na Księżycu, tam też tak poszło, jak po maśle. Rufa była już zieloną palącą się tarczą z aureolą rozbryzgów. Zerknął na główny altimetr nad pulpitemi kontroli, bo przy tak dużej jednostce można się łatwo było omylić w szacunku wysokości; jedenaście, nie, dwanaście kilometrów dzieliło „Ariela” do Marsa — oczywiście opadał coraz wolniej dzięki rosącemu ciągowi hamowania.

Nagle stało się kilka rzeczy naraz.

Obraz rufowych dysz „Ariela”, w koronie zielonych płomieni, zadrgał inaczej niż dotąd. W głośniku rozległ się jakiś niezrozumiały bełkot, okrzyk, coś jakby „ręczna!”, a może „raczej!” — jedno niepojęte słowo wykrzywane ludzkim głosem, tak odmiennym, że chyba nie był to Klyne. Zieleń buchająca z rufy „Ariela” nagle zbladła. Był to ułamek sekundy. W następnym mgnieniu rozkrzaczyła się straszliwym, błękitnobiałym błyskiem — i Pirx zrozumiał od razu, w dreszczu osłupienia, który przeszył go od stóp do głów, tak że głuchy, ogromny głos, co wyrwał się z głośnika, nie zaskoczył go wcale.

„Ariel” — sapnięcie. — Zmiana procedury. Od meteorytu. Cała naprzód na osi! Uwaga! Cały ciąg!

Był to automat. W tle tego głosu ktoś jakby krzyczał. W każdym razie Pirx prawidłowo zinterpretował zmianę barwy ognia wylotowego: borowodory zastąpił pełny ciąg reaktorów i olbrzymi statek, zahamowany jakby straszliwym uderzeniem niewidzialnej pięści, dygocąc wszystkimi spojeniami, zatrzymał się — a przynajmniej tak to patrzącym wyglądało — w rozrzedzonym powietrzu, tych pięć czy cztery ledwo kilometry nad tarczą kosmodromu. Chodziło o manewr niesamowity — zakazany przez wszystkie reguły, postanowienia, wykraczający poza całą kosmologję: żeby powstrzymać stutysięczną masę — bo wszak trzeba było chyżość jej spadania wygasić pierwej, nim mogła na powrót wystrzelić wzwyż. Pirx zobaczył w perspektywnym skrócie bok olbrzymiego cylindra. Rakietka straciła pion. Przechylała się. Zaczęła, niezwykle powoli, prostować się, ale wychyliło ją w drugą stronę jak gigantyczne wahadło; ponowny przechył ćwierćmilowego kadłuba w przeciwną stronę był już większy. Przy tak małej szybkości utrata równowagi była w tej amplitudzie nie do opanowania; dopiero w owych sekundach doszedł Pirxa krzyk głównego kontrolera:

— „Ariel”, „Ariel”! Co robicie?! Co się u was dzieje?!

Jak wiele rzeczy mogło zajść w cząstkach sekund! Pirx, przy równoległym, nie obsadzonym pulpicie, krzyczał całą piersią w mikrofon:

— Klyne! Na ręczną!!! Na ręczną do lądowania!!! Na ręczną!!!

Wtedy nakrył ich nadchodzący przeciągły nieustanny grom. Dopiero teraz dobiegła ich fala dźwiękowa! Jak krótko musiało wszystko trwać! Stojący u okien krzyknęli jednym głosem. Kontrolerzy oderwali się od pulpitów.

„Ariel” spadał młyńcem jak kamień, ślepo wałąc w atmosferę smugami zataczającego się ognia ruf; kręcił się powoli, bezwładny na podobieństwo trupa, jak gdyby ktoś olbrzymią żelazną wieżę cisnął z nieba ku brudnym wydmom pustyni; wszyscy stali jak wryci, w głuchej, straszliwej ciszy, bo już nic nie można było zrobić; głośnik niewyraźnie chrypiał, bormotał odległą wrzawą czy hukiem morza, nie wiadomo było, czy to ludzkie głosy, wszystko się tam zlewało w jeden chaos; a biały, jakby skąpany w blaskach, niesamowicie długi cylinder gnał coraz szybciej w. dół; wydawało się, że trafi samą kontrolę; ktoś przy Pirxie jęknął. Skurczyli się odruchowo.

Kadłub wyrznął skosem w jedno z niskich obmurowań poza tarczą, złamał się na dwoje i z jakąś dziwną powolnością pękając dalej, że buchnęło szczątkami na wszystkie strony, zarył się w piach; w oka mgnieniu powstała tam na dziesięć pięter wysoka chmura, w której zagrzmiało, zagruchotało, trysnęło ognistymi szwami, ponad zgrzywioną zasłonę wyrzuconego piasku wychynał oślepiająco biały wciąż dziób statku, oderwał się od reszty, przeleciał kilkaset metrów w powietrzu, poczuli jedno, drugie, trzecie potężne uderzenie, te wstrząsy gruntu były tak mocne, jak przy trzęsieniu ziemi. Cały budynek podniosło, poszedł w górę i opadł niczym łódka na fali. Potem w piekielnym rumorze rozłamywanego żelastwa wszystko zakryła przed nimi brązowoczarna ściana dymu i kurzu. I to był koniec „Ariela”. Gdy biegli po schodach do komory wyjściowej, Pirx, jeden z pierwszych w kombinezonie, nie miał wątpliwości — z takiego zderzenia nikt nie mógł wyjść żywy.

Potem biegli zataczając się pod uderzeniami wichury; z daleka, od strony klosza, pokazały się pierwsze pojazdy gaśnicowe i hovercrafty. Ale już nie trzeba się było spieszyć. Nie było do czego. Pirx sam nie wiedział, jak i kiedy wrócił do budynku kontroli — z obrazem krateru i zgniecionego kadłuba w osłupiających oczach, tak że na dobre ocknął się dopiero, ujrawszy w ściennym lustrze własną poszarzałą i jakby ściągniętą nagle twarz.

*

W południe powołano komisję rzeczoznawców do zbadania przyczyn katastrofy. Ekipy robocze koparkami i dźwigami rozwłóczyły jeszcze dzwona ogromnego kadłuba, jeszcze nie dotarto do wrytej głęboko w grunt, zmiażdżonej sterówki, mieszczącej automaty Kontroli, kiedy z Wielkiej Syrty przyleciała grupa specjalistów — jednym z tych dziwnych małych helikopterów o gigantycznych śmigłach, zdolnych do lotu jedynie w rozrzedzonym powietrzu Marsa. Pirx nie włąził nikomu w drogę i nikogo o nic nie pytał, bo aż nazbyt dobrze rozumiał, że sprawa jest wyjątkowo ciemna. W toku normalnej procedury lądowania, podzielonej na uświęcone etapy i zaprogramowanej niczym rozkład jazdy niezawodnych pociągów, bez żadnej widocznej przyczyny główny komputer „Ariela” zgasił borowodorowy ciąg, wyrzucił hasła przypominające szczątkowy alarm meteorytowy i przełączył napęd na ucieczkę od planety całą mocą; stateczności, utraconej podczas tego karkołomnego manewru, nie mógł już odzyskać. O czymś podobnym nie wspominała historia astrolocji i nasuwające się przypuszczenia — że komputer zwyczajnie zawiódł, że się w nim jakieś obwody pozwierały, poprzepalały — wyglądały zgoła nieprawdopodobnie, ponieważ szło o jeden z dwóch programów — startu i lądowania — zabezpieczonych przed awariami taką liczbą zabezpieczeń, że już raczej przychodziło myśleć o sabotażu. Głowił się nad tym w pokoiku, który Seyn oddał mu poprzedniej nocy do dyspozycji, umyślnie nie wysuwając nosa za drzwi, żeby się nie narzucać, tym bardziej że miał przecież za kilkanaście godzin wystartować, a nic takiego nie przychodziło mu do głowy, z czym powinien by pospieszyć do komisji. Okazało się jednak, że nie zapomniano o nim; kilka minut przed pierwszą zajrzał do niego Seyn. Był z nim i Romani; czekał na korytarzu; wychodząc, Pirx w pierwszej chwili nie poznał go; kierownik kompleksu Agathodaemona wydał mu się jednym z mechaników; miał na sobie osmolony, pokryty zaciekami kombinezon, twarz jakby zmalaną z wyczerpania, lewy kąt ust drgał mu co chwila, lecz głos pozostał ten sam; poprosił Pirxa, w imieniu komisji, do której należał, by odłożył start „Cuiviera”.

— Naturalnie... jeżeli jestem potrzebny — Pirx był zaskoczony; zbierał myśli. — Muszę tylko uzyskać zezwolenie Bazy.

— Załatwimy to sami, jeśli się pan zgadza.

Nikt już nic nie powiedział; poszli we trzech do głównego „bombla”, gdzie w długim, niskim pomieszczeniu kierownictwa siedziało dwudziestu kilku rzeczoznawców — kilku miejscowych, większość przyleciała z Wielkiej Syrty. Jako że była pora obiadowa, a szło o

każdą godzinę, przyniesiono im zimnego jedzenia z bufetu i tak, przy herbacie, nad talerzykami, przez co wszystko wyglądało dziwnie jakoś nieoficjalnie, a prawie i niepoważnie, zaczęły się obrady. Pirx oczywiście domyślał się, czemu przewodniczący, inżynier Hoyster, jego jako pierwszego poprosił o opis katastrofy. Był on jedynym ponad wszelką wątpliwość niestronniczym świadkiem, bo nie należał ani do zespołu kontroli lotów, ani do załogi Agathodaemona. Gdy Pirx doszedł w zeznaniu do swej reakcji, Hoyster przerwał mu po raz pierwszy.

— Więc pan chciał, żeby Klyne wyłączył całą automatykę i starał się lądować sam, tak?

— Tak.

— A można wiedzieć, czemu?

Pirx nie zwlekał z odpowiedzią.

— Miałem to za jedyną szansę.

— Tak. A nie przypuszczał pan, że przejście na sterowanie ręczne może spowodować utratę stateczności?

— Już była stracona. To można zresztą sprawdzić, są przecież taśmy.

— Oczywiście. Chcieliśmy najpierw wytworzyć sobie obraz ogólny. A... jakie jest pana osobiste zdanie?

— O przyczynie...?

— Tak. Ponieważ na razie nie tyle obradujemy, co informujemy się. Cokolwiek pan powie, nie będzie szczególnie wiążące; cenne może się okazać każde przypuszczenie, nawet ryzykowne.

— Rozumiem. Coś się stało z komputerem. Nie wiem — co, i nie wiem też, jak to możliwe. Gdybym tam nie był sam, nie uwierzyłbym w to, ale byłem i słyszałem. To on odwrócił procedurę — i dał meteorytowe ostrzeżenie, jakkolwiek w poronny sposób. Brzmiało to mniej więcej jak: „meteoryty — uwaga, cała na osi naprzód”. A ponieważ nie było żadnych meteorytów... — Pirx wzruszył ramionami.

— Ten model — „Ariela” — jest udoskonaloną wersją komputera AIBM 09 — zauważył Boulder, elektronik, którego Pirx znał, bo stykał się z nim przelotnie w Wielkiej Syrcie.

Pirx skinął głową.

— Wiem o tym. Dlatego powiedziałem, że nie uwierzyłbym, gdybym tego nie widział na własne oczy. Ale to się stało.

— Jak pan sądzi, komandorze, czemu Klyne nic nie zrobił? — spytał Hoyster.

Pirx poczuł wewnętrzny chłód i nim odpowiedział, spojrzał w obie strony — na wszystkich. Pytanie takie musiało paść. Wolałby jednak nie być pierwszym, który miał mu sprostac.

— Tego nie wiem.

— Naturalnie. Ale wieloletnie doświadczenie pozwala panu postawić się na jego miejscu...

— Postawiłem się. Zrobiłbym to, do czego próbowałem go skłonić.

— A on?

— Nie było żadnej odpowiedzi. Hałas, jakby krzyki. Trzeba będzie bardzo dokładnie przesłuchać taśmy, ale obawiam się, że to da niewiele.

— Panie komandorze — rzekł cicho, ale dziwnie powoli, jakby ostrożnie dobierając słów, Hoyster — pan orientuje się w sytuacji, nieprawdaż? Dwie następne jednostki tej samej klasy, z takim samym układem sterowania, znajdują się obecnie na linii Aresterra; „Anabis” przybędzie za trzy tygodnie, ale „Ares” już za dziewięć dni. Bez względu na zobowiązania wobec tych, co zginęli, mamy większe wobec żywych. Niewątpliwie przemyślał pan już, w ciągu tych pięciu godzin, wszystko, co zaszło. Nie mogę pana do tego zmusić, ale proszę, żeby pan to nam wyjawiał.

Pirx poczuł, że blednie. Tego, co chciał powiedzieć Hoyster, domyślił się z jego pierwszych słów i ogarnęło go niezrozumiałe wrażenie, rodem z nocnego snu: aura zacieklego, rozpaczliwego milczenia, w którym walczył z przeciwnikiem bez twarzy i zabijając go razem z nim ginął. Było to mgnienie. Przemógł się i spojrzał Hoysterowi w oczy.

— Rozumiem — powiedział. — Klyne i ja należymy do dwóch różnych generacji. Kiedy zaczynałem latać, zawodność procedur automatycznych była daleko większa... To się utrwała w zachowaniu. Myślę, że... ufał im do końca.

— Sądził, że komputer dysponuje lepszym rozeznaniem? Że opanuje sytuację?

— Nie musiał liczyć na to, że ją opanuje... a tylko, że jeśli nie potrafi, tym bardziej nie dokona tego człowiek.

Pirx odetchnął. Powiedział, co myślał, nie rzucając cienia na młodszego — który już nie żył.

— Czy, podług pana, istniały szansę ocalenia statku?

— Nie wiem. Było bardzo mało czasu. „Ariel” był bliski utraty szybkości.

— Czy pan lądował kiedyś w takich warunkach?

— Tak. Ale statkiem o małej masie — i na Księżycu. Im dłuższa i cięższa jest rakieta, tym trudniej odzyskać stateczność przy utracie szybkości, zwłaszcza gdy się zaczyna

przechył.

— Czy Klyne słyszał pana?

— Nie wiem. Powinien był słyszeć.

— Czy przejął stery?

Pirx otwierał już usta, by powiedzieć, że na to jest dowód w rejestrach, ale zamiast tego odparł:

— Nie.

— Skąd pan to wie? — to był Romani.

— Podług kontroli. „Procedura automatyczna” świeciła się przez cały czas. Zgasła dopiero, gdy statek się rozbił

— A czy pan nie uważa, że Klyne nie miał już czasu? — spytał Seyn. Było coś osobliwego w tym, że tak się do niego zwrócił — chociaż byli na „ty”. Jakby powstał między nimi nagły dystans. Wrogość?

— Sytuację można wymodelować matematycznie i wtedy okaże się, czy była jakaś szansa — Pirx starał się o rzeczowość. — Ja tego nie mogę wiedzieć.

— Ale gdy przechył przekroczył 45 stopni, stateczność była nie do odzyskania — upierał się Seyn. — Czy nie tak?

— Na moim „Cuivierze” niekoniecznie. Ciąg można powiększyć — poza dopuszczalną granicę.

— Przeciążenie powyżej dwudziestu kilku może zabić.

— Zapewne. Ale upadek z pięciu kilometrów musi. Na tym się ta krótka polemika zakończyła. Pod lampami, płonącymi mimo dnia, kładł się płasko dym. Palili.

— Podług pana, Klyne mógł przejąć stery, ale nie zrobił tego. Tak? — wrócił do swego wątku przewodniczący Hoyster.

— Prawdopodobnie mógł.

— Czy nie uważa pan za możliwe, że swoją interwencją zbił pan go z tropu? — odezwał się zastępca Seyna, człowiek z Agathodaemona, którego Pirx nie znał. Tutejsi byli przeciwko niemu? I to mógł zrozumieć.

— Uważam to za możliwe. Tym bardziej że tam, w sterowni, ludzie krzyczeli coś. Tak to wyglądało.

— Na panikę? — spytał Hoyster.

— Nie odpowiem na to pytanie.

— Dlaczego?

— Proszę przesłuchać taśmy. To nie są ściśle dane — hałas, który można sobie

rozmaicie tłumaczyć.

— Czy kontrola naziemna mogła, podług pana opinii, coś jeszcze zrobić? — pytał z kamienną twarzą Hoyster. Wyglądało na to, że wewnątrz komisji zachodzi rozłam. Hoyster był z Wielkiej Syrty.

— Nie. Nic.

— Temu, co pan powiedział, zaprzecza pana własny postępek.

— Nie. Kontrola nie ma prawa mieszać się do decyzji dowódcy — w podobnej sytuacji. W sterowni może ona inaczej wyglądać niż na dole.

— Przyznaje pan więc, że pan działał wbrew przyjętym zasadom? — raz jeszcze odezwał się zastępca Seyna.

— Tak.

— Dlaczego? — pytał Hoyster.

— Zasady nie są dla mnie święte. Robię zawsze to, co uważam za właściwe podług własnego zdania. Zdarzyło mi się już za to odpowiadać.

— Przed kim?

— Przed Trybunałem Izby Kosmicznej.

— Ale został pan oczyszczony od zarzutów oskarżenia? — zauważył Boulder. Wielka Syrta — i Agathodaemon. To było prawie wyraźne.

Pirx milczał.

— Dziękuję panu.

Przesiadł się na stojące z boku krzesło, bo zeznawał z kolei Seyn, potem jego zastępca. Nim skończyli, przyniesiono pierwsze taśmy z budynku kontroli lotów. Przychodziły też telefoniczne meldunki z prac we wraku „Ariela”. Już było pewne, że nikt nie pozostał przy życiu, ale do sterowni nie dostali się: weszła na jedenaście metrów w głąb gruntu. Przesłuchiwanie taśm, protokolowanie zeznań trwało bez przerwy do siódmej. Potem zrobiono godzinną przerwę. Syrtyjczycy z Seynem pojechali na miejsce katastrofy. Romani w przejściu zatrzymał Pirxa.

— Komandorze...

— Słucham

— Pan nie ma tu do nikogo...

— Proszę tak nie mówić. Stawka jest zbyt wysoka — przerwał mu Pirx.

Tamten pokiwał głową.

— Zostanie pan, na razie, na siedemdziesiąt dwie godziny. Załatwiliśmy to już z Bazą.

— Z Ziemią...? — Pirx był zaskoczony. — Nie wydaje mi się, żebym mógł jeszcze

pomóc...

— Hoyster, Rahaman i Boulder chcą dokooptować pana do składu komisji. Nie odmówi pan? Sami ludzie Syrty.

— Choćbym chciał, nie mogę — odpowiedział i na tym się rozstali.

O dziewiątej wieczorem zebrali się ponownie. Pełne przesłuchanie taśm było dramatyczne — a jeszcze bardziej film, który przyszło obejrzeć, pokazujący wszystkie fazy katastrofy, od pojawienia się w zenicie zielonej gwiazdy „Ariela”. Hoyster podsumował potem tymczasowe wyniki badań — bardzo lakonicznie.

— Wygląda istotnie na to, że zawiódł komputer. Jeśli nie ogłosił normalnym trybem meteorytowego alarmu — zachował się tak, jakby „Ariel” leżał na kolizyjnym kursie z jakąś masą. Rejestraty wykazują, że przekroczył dozwoloną moc ciągu o trzy jednostki. Dlaczego to zrobił, nie wiemy. Może wyjaśni coś sterownia — miał na myśli taśmy rejestrujące „Ariela”; Pirx był tu sceptykiem. — Tego, co się działo w sterowni w ostatnich chwilach, nie można zrozumieć. W każdym razie komputer nie zawiódł pod względem operacyjnego tempa — w szczycie kryzysu podejmował decyzje z pełną sprawnością, bo iterował w nanosekundach wszystkie swoje polecenia dla agregatów. Także agregaty pracowały bez zarzutu do końca. To całkiem pewne. Nie wykryliśmy absolutnie niczego, co by mogło świadczyć o zewnętrznym lub wewnętrznym zagrożeniu procedury wdrożonego lądowania. Od godziny 7,03 do 7,08 przebiegało doskonale. Decyzja komputera — odwrócenia procedury i próby poronnego startu — nie daje się, jak dotąd, niczym wyjaśnić. Kolego Boulder?

— Nie rozumiem tego.

— Błąd programowania?

— Wykluczony. „Ariel” lądował tym programem szereg razy — osiowo i we wszystkich możliwych dryfach.

— Ale na Księżycu. Tam jest mniejsze ciężenie.

— To może mieć pewne znaczenie dla agregatów mocy, ale nie dla zespołów informacji. A moc nie zawiódła.

— Kolego Rahaman?

— Nie znam dobrze tego programu.

— Ale model komputera pan zna?

— Tak.

— Co może przerwać tok procedury lądowania, jeżeli nie ma przyczyn zewnętrznych?

— Nic.

— Nic?

— Bomba podłożona pod komputer — zapewne... Padły wreszcie te słowa. Pirx słuchał z największą uwagą. Szumiały ekshaustory, dym zgęszczał się przy ich wylotach pod sufitem.

— Sabotaż?

— Komputer działał do końca, jakkolwiek w sposób dla nas niepojęty — zauważył Kerhoven, jedyny intelektownik w komisji, który był miejscowym człowiekiem.

— No... bomba, tak to tylko powiedziałem — wycofał się Rahaman. — Procedurę główną, więc lądowania albo startu, może przerwać w normie, jeśli komputer jest sprawny, tylko coś nadzwyczajnego. Wypadnięcie mocy...

— Moc była.

— Ale w zasadzie komputer może przerwać główną procedurą?

Przewodniczący wiedział to przecież. Pirx rozumiał, że nie mówi teraz do nich: mówił to, co miała usłyszeć Ziemia.

— Teoretycznie może. Praktycznie — nie. Od czasu powstania kosmonautyki nie zdarzył się alarm meteorytowy w toku lądowania. Meteoryt można wszak wykryć w zbliżaniu. Wtedy lądowanie po prostu się odracza.

— Ale nie było przecież żadnych meteorytów?

— Nie.

To był koniec ślepej uliczki. Przez chwilę panowała cisza. Ekshaustory szumiały. Było już ciemno za okrągłymi oknami. Marsjańska noc.

— Potrzebujemy ludzi, którzy budowali ten model i którzy go obciążyli testowo — rzekł wreszcie Rahaman.

Hoyster skinął głową. Przeglądał podany mu przez telefonistkę meldunek. — Do sterowni dotrą za jakąś godzinę — rzekł. A potem, podnosząc głowę: — Macross i van der Voyt wezmą jutro udział w obradach.

Nastąpiło poruszenie. Byli to główny dyrektor i główny konstruktor stoczni, która budowała stutysięczniki.

— J u t r o ? — Pirxowi zdawało się, że się przesłyszał.

— Tak. Nie tutaj, oczywiście. Będą obecni — telewizyjnie. Dzięki bezpośredniej łączności. Oto depesza — podniósł meldunek.

— Ależ...! Jakie jest teraz opóźnienie? — spytał ktoś.

— Ośmiominutowe.

— Jakże oni to sobie wyobrażają? Będziemy czekali w nieskończoność na każdą

replikę — rozległy się głosy.

Hoyster wzruszył ramionami.

— Musimy się podporządkować. Pewno, że to będzie kłopotliwe. Opracujemy odpowiednią procedurę...

— Odraczamy obrady do jutra? — spytał Romani.

— Tak. Zbierzemy się o szóstej rano. Będą już rejestraty ze sterowni.

Pirx, któremu Romani zaoferował nocleg u siebie, był z tego rad. Wolał nie stykać się z Seynem. Rozumiał jego zachowanie, choć go nie pochwalał. Nie bez trudu ulokowano wszystkich Syrtyjczyków i o północy Pirx został sam w maleńkiej klitce, która służyła kierownikowi za podręczną bibliotekę i prywatny gabinet roboczy. Położył się w ubraniu na rozstawionym między teodolitami małym łóżku polowym, z rękami pod głową, wpatrzony w sufit, i leżał tak z nieruchomymi oczami, prawie nie oddychając.

Rzecz dziwna, tam, wśród obcych ludzi, przeżywał katastrofę jak gdyby z zewnątrz, jako jeden z wielu świadków; nie był do końca zaangażowany nawet wówczas, gdy wyczuwał niechęć i animozję za pytaniami — wiszące w powietrzu oskarżenie intruza o to, że chce zdominować miejscowych specjalistów — nawet kiedy Seyn stawał przeciw niemu; było to wszystko wciąż na zewnątrz, osadzone w naturalnym wymiarze nieuchronnego: tak musiało być w podobnych okolicznościach. Gotów był odpowiadać za to, co zrobił, ale zgodnie z racjonalnymi przesłankami, więc nie czuł się odpowiedzialny za nieszczęście. Był wstrząśnięty, zachował jednak spokój, pozostał w nim do końca obserwator, niezupełnie poddany wypadkom, bo układały się systematycznie — przy całej niezrozumiałości można je było sekcjonować, wystygłe, porozdzielane, w uchwycie, jaki nadawał sam oficjalny tok obrad. Teraz to wszystko się rozpadło. Nie myślał nic, nie przywoływał żadnych obrazów, powtarzały się same z siebie, od początku: ekrany telewizyjne, na nich — wejście statku w przymarsie, wyhamowanie kosmicznej zmiany ciągów; był jakby wszędzie naraz, w kontroli i w sterowni, znał te głuche udary, te dudnienia rozbiegające się po kilu i wręgach, kiedy wielką moc zastępowała dygotliwa praca borowodorów, bas, którym turbopompy zapewniały, że tłoczą paliwo, wsteczny ciąg, opadanie rufą, majestatycznie powolne, małe poprawki boczne i to załamanie się, ten grom nagłego obrotu ciągów, gdy pełna moc znów wskoczyła w dysze, wibracja, destabilizacja, rakieta wychwytywana rozpaczliwie, idąca wahadłem, kołysząca się jak pijana wieża, nim runęła z wysokości już bezwładna, już martwa, niesterowna, ślepa jak kamień, upadek i zgruchotanie góry — a on był wszędzie. Był jakby samym walczącym statkiem i odczuwając boleśnie zupełną niedostępność, ostateczne zamknięcie tego, co się stało, jednocześnie powracał do ułamkowych chwil, jakby z

ponawiającym się w milczeniu pytaniem, szukając tego, co zawiodło. To, czy Klyne usiłował przejąć stery, było teraz już bez znaczenia. W gruncie rzeczy kontrola była bez zarzutu, chociaż tam sobie żartowali, ale to mogło urazić tylko przesądnego czy też ukształtowanego w czasach, w których nie można sobie było pozwolić na niefrasobliwość. Rozumowo wiedział, że nic w tym złego. Leżał na wznak, a jakby stał przy skośnym oknie, celującym w zenit, kiedy zieleń iskrzącej się gwiazdy borowodorów pochłonął straszny słoneczny blask, tym pulsem tak charakterystycznym dla atomowej mocy, w dyszach, co już poczynaly stygnąć — przez to właśnie nie wolno wprowadzać całej tak gwałtownie — rakieta zahuśtała się najpierw jak serce dzwonu kołysanego oszalałymi rękami i kłoniła się swoją niesamowitą długością, bo była tak ogromna, jakby samymi rozmiarami, samym rozmachem wielkości wyszła poza granicę wszelkich zagrożeń — tak samo musieli myśleć, przed wiekiem, pasażerowie „Titanica”.

Nagle wszystko to zgasło, jakby się zbudził. Wstał, umył twarz, ręce, otworzył neseser, wyjął piżamę, pantofle, szczoteczkę do zębów, i trzeci raz tego dnia zobaczył siebie w lustrze umywalki — jak kogoś obcego.

Między trzydziestką a czterdziestką, bliżej drugiej: smuga cienia — kiedy już przychodzi akceptować warunki nie podpisanego kontraktu, narzuconego bez pytania, kiedy wiadomo, że to, co obowiązuje innych, odnosi się i do ciebie, że z tej reguły nie ma wyjątków: chociaż to przeciwne naturze, należy się jednak starzeć. Dotąd robiło to po kryjomu ciało — tego już nie dość. Wymagana jest zgoda. Młodzieńczy wiek ustanawia jako regułę gry — nie, jako jej fundament — niezmiennność własną: byłem dziecinny, niedorośli, ale już jestem prawdziwym sobą i taki zostanę. Ten nonsens jest przecież podstawą egzystencji. W odkryciu bezzasadności tego ustalenia zrazu tkwi więcej zdziwienia niż lęku. Jest to poczucie oburzenia tak mocne, jakbyś przejrzał i dostrzegł, że gra, do jakiej cię wciągnięto, jest oszukańcza. Rozgrywka miała być całkiem inna; po zaskoczeniu, gniewie, oporze zaczyna się powolne pertraktacje z samym sobą, z własnym ciałem, które można by wysłowić tak: bez względu na to, jak płynnie i niepostrzeżenie starzejemy się fizycznie, nigdy nie jesteśmy zdolni dostosować się umysłowo do takiej ciągłości. Nastawiamy się na trzydzieści pięć, potem na czterdzieści lat, jakby już w tym wieku miało się zostać, i trzeba potem przy kolejnej rewizji przełamania samoobłudy, natrafiającego na taki opór, że impet powoduje jak gdyby nazbyt daleki skok. Czterdziestolatek pocznie się wtedy zachowywać tak, jak sobie wyobraża sposób bycia człowieka starego. Uznawszy raz nieuchronność, kontynuujemy grę z ponurą zaciekłością, jakby chcąc przewrotnie zdublować stawkę; proszę bardzo, jeśli ten bezwstyd, to cyniczne, okrutne żądanie, ten oblig ma być wypłacony, jeżeli

muszę płacić, chociaż nie godziłem się, nie chciałem, nie wiedziałem, masz więcej, niż wynosi zadłużenie — podług tej zasady, brzmiącej humorystycznie, gdy ją tak nazwać, usiłujemy przelicytować przeciwnika. Będę ci tak od razu stary, że stracisz kontenans. Chociaż tkwimy w smudze cienia, prawie za nią, w fazie tracenia i oddawania pozycji, w samej rzeczy wciąż walczymy jeszcze, bo stawiamy oczywistości opór, i przez tę szamotaninę psychicznie starzejemy się skokami. To przeciągamy, to nie dociągamy, aż ujrzemy, jak zwykle zbyt późno, że cała ta potyczka, te samostraceńcze przebicia, rejterady, butady też były niepoważne. Starzejemy się bowiem jak dzieci, to znaczy odmawiając zgody na to, na co zgoda nasza jest z góry niepotrzebna, bo zawsze tak jest, gdzie nie ma miejsca na spór ani walkę — podszytą nadto załganiem. Smuga cienia to jeszcze nie memento mori, ale miejsce pod niejednym względem gorsze, bo już widać z niego, że nie ma nietkniętych szans. To znaczy: terazniejsze nie jest już żadna zapowiedzią, poczekalnią, wstępem, trampoliną wielkich nadziei, bo niepostrzeżenie odwróciła się sytuacja. Rzekomy trening był nieodwołalną rzeczywistością; wstęp — treścią właściwą; nadzieje — mrzonkami; nie obowiązujące zaś, prowizoryczne, tymczasowe i byle jakie — jedyną zawartością życia. Nic z tego, co się nie spełniło, już na pewno się nie spełni; i trzeba się z tym pogodzić milcząco, bez strachu, a jeśli się da — i bez rozpaczy.

Jest to wiek krytyczny dla kosmonautów — dla nich jak dla nikogo, bo w tym zawodzie każdy, kto nie jest sprawny doskonale, od razu nie jest nic wart. Jak powiadają czasem fizjologowie, wymagania stawiane przez kosmologię są zbyt wielkie, nawet dla najsprawniejszych cieleśnie i duchowo; odpadając od czołówki, traci się tu wszystko naraz. Komisje lekarskie są bezwzględne w sposób przerażający dla jednostek, ale konieczny, bo nikomu nie można pozwolić na śmierć ani na zawał u sterów. Ludzie z pozoru pełni sił schodzą z pokładów i za jednym zamachem widzą się u kresu; lekarze są tak. przyzwyczajeni do wybiegów, do rozpaczliwej dysymulacji, że wykrycie jej nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji dyscyplinarnych, moralnych, niczego; prawie nikt nie może przeciągnąć okresu czynnej służby poza pięćdziesiątkę. Przeciężenia są największym wrogiem mózgu; może za sto albo za tysiąc lat to się zmieni; na razie perspektywa ta zadrecza podczas miesięcy lotu każdego — w smudze cienia.

Klyne był kosmonautą następnej generacji, a jego, Pirxa, wiedział o tym, młodzi nazywali „wrogiem automatów”, „konserwatystą”, „mamutem”. Niektórzy z jego rówieśników już nie latali; podług uzdolnień i możliwości przekwalifikowywali się na wykładowców, członków Izby Kosmicznej, szli na synekury po stoczniach, zasiadali w radach nadzorczych, zajmowali się swoimi ogródkami. Na ogół trzymali się; odgrywali niezłe

swoje pogodzenie się z nieuchronnym — ale Bóg wie, ile to niejednego kosztowało. A zdarzały się i postęпки nieodpowiedzialne, wynikające z niezgody, bezsilnej odmowy, z pychy i wściekłości, z poczucia niesprawiedliwie doznanego nieszczęścia. Wariatów nie znał ten zawód; ale jednostki zbliżały się niebezpiecznie w stronę oblędu, choć nie przekraczały ostatniej granicy; jednakowoż, pod rosnącym ciśnieniem nadszarpającego, bywały wyskoki, co najmniej — dziwaczne... O, tak, znał te różne dziwactwa, aberracje, przesady, którym ulegali i obcy, i ci, z którymi zżył się przez lata, za których kiedyś, zdawało się, mógł ręczyć. Słodka ignorancja nie jest przywilejem fachu, w którym tyle rzeczy trzeba wiedzieć koniecznie; każdego dnia ginie w mózgu nieodwracalnie kilka tysięcy neuronów i już przed trzydziestką rozpoczyna się ten szczególny, niewyczuwalny, ale nieustający wyścig, rywalizacja między słabnięciem funkcji podmywanej atrofią — i jej doskonaleniem zawdzięczanym rosnącemu doświadczeniu; tak powstaje chwiejna równowaga, balans iście akrobatyczny, z którym przychodzi żyć — i latać. I śnić. Kogo zabijał tyle razy poprzedniej nocy? Czy nie miało to jakiegoś szczególnego znaczenia? Kładąc się na polowym łóżeczku, które zatrzeszczało pod jego ciężarem, pomyślał, że, być może, nie uda mu się zasnąć; nie znał dotąd bezsenności, ale kiedyś musiała przecież nadejść. Ta myśl zaniepokoiła go dziwacznie. Bezsennej nocy nie obawiał się wcale, a tylko taka krnąbrność ciała, oznaczająca rozpanoszenie się tego, co było dotąd niezawodne, nawet jako możliwość nabrała w tym momencie sensu nieomal klęski. Nie życzył sobie po prostu leżenia z otwartymi oczami, wbrew woli, więc chociaż było to głupie, usiadł, bezmyślnie spojrział na swoją zieloną pizamę i zwrócił oczy na półki z książkami. Nie spodziewał się na nich niczego ciekawego i zaskoczył go rząd grubych tomów ponad zdiobaną cyrklami rysownicą. Stała tam, w rozwiniętym szyku, cała niemal historia areologii, większość tych książek znał, bo te same egzemplarze tkwiły w jego biblioteczkę na Ziemi; wstał i po kolei jął dotykać solidnych grzbietów. Był tu nie tylko ojciec astronomii Herschel, ale sam Kepler, *Astronomia nova seu Physica coelestis tradita commentariis de motibus stellae martis* — podług badań Tychona de Brahe, wydanie z 1784 roku. A dalej Flammarion, Backhuysen, Kaiser i wielki fantasta Schiaparelli, jego *Memoria terza*, ciemne wydanie rzymskie, i Arrhenius, i Antoniadi, Kuiper, Lowell, Pickering, Saheko, Struve, Vaucouleurs, aż do Wernhera Brauna z jego *Projektem Marsa*, i mapy, rulony map, ze wszystkimi kanałami 196 — *Margaritififer Sinus*, *Lacus Solis* i sam *Agathodaemon*... Stał tak, nie musiał otwierać żadnej z tych książek o wyslizganych, grubych jak deski okładkach. W zapachu starego płótna, osnowy, żółtawych kart, w którym było coś dostojnego i strupieszalego zarazem, ożyły godziny spędzone nad tajemnicą szturmowaną przez dwa wieki, obłożoną mrowiem hipotez: umierali po kolei, nie doczekawszy się rozstrzygnięcia.

Antoniadi przez całe życie nie widział kanałów, aż u schyłku starości niechętnie przyznał się „do jakichś linii, co podobnie wyglądały”. Graff nie dostrzegł żadnego do końca i mówił, że brak mu „imaginacji” kolegów. „Kanałiści” zaś widzieli i rysowali po nocach, czekając godzinami u okularu na jeden z sekundowych momentów znieruchomienia atmosfery, bo wówczas — zapewniali — na buromgławowej tarczce pojawia się precyzyjnie ostra, od włosa cieńsza sieć. Lowell rysował gęstą, Pickering rzadszą, ale ten miał szczęście do „geminacji”, jak nazywano zdumiewające podwajanie się kanałów. Złudzenie? Więc czemu niektóre kanały nigdy się nie chciały podwajać? Ślęczał nad tymi książkami jako kadet, w czytelnicy, bo tak zabytkowych nie wypożyczano. Był — czy trzeba to powiedzieć? — po stronie „kanalistów”. Ich argumenty brzmiały mu niezbitcie: Graff, Antoniadi, Hali, którzy pozostali niewiernymi Tomaszami, mieli obserwatoria w miastach Północy, zadymionych, z wiecznie ruchliwym powietrzem, podczas gdy Schiaparelli pracował w Mediolanie, a Pickering siedział na swojej górze, nad pustynią Arizony. „Antykanaliści” robili przemysłne eksperymenty: dawali odrysowywać tarczkę z bezładnie naniesionymi kropkami i kleksami, które, przy większej odległości, układały się w podobieństwo sieci kanałów, a potem pytali: Dlaczego nie widać ich przez najsilniejsze instrumenty? Dlaczego nie uzbrojonym okiem można się dopatrzeć kanałów i na Księżycu? Dlaczego nie widzieli żadnych kanałów pierwsi obserwatorzy, a po Schiaparellim już wszyscy poszli pod jego komendę? A tamci odpowiadali: w erze przedteleskopowej nikt, nigdy, żadnych kanałów na Księżycu nie dostrzegł. Duże teleskopy nie pozwalają stosować pełnej apertury, maksymalnych powiększeń, bo atmosfera ziemską nie jest dostatecznie spokojna; eksperymenty z rysunkami są wyminięciem sprawy. „Kanałiści” na wszystko mieli odpowiedź. Mars — to jeden olbrzymi zamrożony ocean, kanały — to pęknięcia jego lodowych pól, rozmykających się pod uderzeniami meteorów; nie: kanały — to szerokie doliny, którymi płyną wody odwilży wiosennej, a na brzegach rozkwita wtedy marsjańska roślinność. Spektroskopia przekreśliła i tę szansę: zbyt mało wyjawiała wody, więc ujrzeli w kanałach ogromne zapadliska, długie doliny, którymi płyną od bieguna ku równikowi rzeki chmur, popędzane konwekcyjnymi prądami. Schiaparelli nigdy nie chciał wyraźnie oświadczyć, że są to twory obcego rozumu, wykorzystywał dwuznaczność terminu „kanał”, był to szczególny punkt — owa wstydlivość mediolańczyka i wielu innych astronomów, nie nazywali rzeczy po imieniu, rysowali tylko mapy i przedstawiali je, ale Schiaparelli pozostawił w papierach rysunki tłumaczące, w jaki sposób może przychodzić do rozdawania się, słynnej geminacji: gdy woda wdziera się do równoległych koryt, dotychczas wyschłych — jej przybór zaciemnia nagle linie, jakby ktoś napuścił tuszu do zacięć w drzewie. Przeciwnicy zaś nie tylko przeczyli istnieniu kanałów, nie

tylko gromadzili negatywną argumentację, ale z biegiem czasu zdawali się żywić względem nich coraz bardziej palącą nienawiść. Wallace, drugi obok Darwina twórca teorii naturalnej ewolucji, więc nawet nie astronom, który w życiu chyba nie widział Marsa przez szkła, w stustronicowym pamflecie zniszczył wraz z kanałami wszelką myśl o istnieniu życia na Marsie; Mars — pisał — nie tylko nie jest zamieszkały przez inteligentne istoty, jak to głosi pan Lowell, ale jest absolutnie niemieszkalny. Nie było letnich areologów, każdy musiał wyraźnie wyznać swe credo. Następna generacja kanalistów opisywała już cywilizację Marsa i roziew powiększał się: żywy obszar prac rozumu — mówili jedni; pustynny trup — odpowiadali im drudzy. Potem Saheko dostrzegł owe tajemnicze błyski, krótkotrwałe, wygaszane powstającymi chmurami, zbyt krótkie jak na wulkaniczny wybuch, pojawiające się przy wzajemnej opozycji planet, co wykluczała odbłysk Słońca w lodowym stoku górskim, i to jeszcze przed wyzwoleniem energii atomowej, tak że myśl o marsjańskich testach jądrowych wynikła później... Jedna strona musiała mieć słuszość; w pierwszej połowie dwudziestego wieku godzono się powszechnie, że nie ma wprawdzie geometrycznych kanałów Schiaparellego, ale istnieje jednak coś, co umożliwia ich dostrzeżenie, oko d o p o w i a d a, lecz nie halucynuje z niczego; kanały obserwowano zbyt wielu ludzi ze zbyt wielu różnych miejsc Ziemi. A więc pewno nie otwarte wody w polach lodowych i nie prądy niskich chmur w brzegach dolin, może nawet nie pasy roślinności, ale jednak coś, kto wie — bardziej jeszcze niezrozumiałego, zagadkowego, co czekało oczu ludzkich, fotograficznych obiektów i automatycznych sond.

Pirx nie przyznał się nikomu do myśli, jakie towarzyszyły tym zachłannym lekturom, lecz Boerst, bystry i bezwzględny, jak przystało na prymusa, wydobył na jaw jego tajemnicę i uczynił go na kilka tygodni pośmiewiskiem kursu: zrobił z niego „kanałowca Pirxa”, który w astronomii obserwacyjnej ufundował doktrynę „credo, quia n o n e s t”. Albowiem Pirx wiedział przecież, że nie ma żadnych kanałów i że, co gorsze, a co chyba jeszcze okrutniejsze, nie ma w ogóle n i c z e g o, co by je przypominało. Jakże mógł nie wiedzieć, skoro Mars był zdobyty od lat, skoro zdawał areograficzne kolokwia i nie tylko musiał orientować dokładne mapy fotograficzne pod okiem asystentów, ale na praktycznych zajęciach lądował, w symulatorze, na tym samym dnie Agathodaemona, na którym teraz stał, pod kloszem Projektu, przed półką z dwustuletnim dorobkiem astronomii, stanowiącym muzealny zabytek. Ma się rozumieć, że wszystko to wiedział, lecz wiedza ta tkwiła w jego głowie gdzieś zupełnie o s o b n o, nie podległa sprawdzeniom, jakby były jednym wielkim oszustwem. Jak gdyby nadal istniał jakiś inny, nieosiągalny, pokryty zarysem geometrycznym, tajemniczy Mars.

Podczas lotu na linii Aresterra jest taki czas, taka strefa, z której doprawdy zaczyna się widzieć gołym okiem — i to widzieć trwale, godzinami — to, co Schiaparelli, Lowell i Pickering obserwowali tylko w mgnieniach atmosferycznego zastoju. Przez bulę je można zobaczyć kanały — czasem przez dobę, niekiedy przez dwie — formujące się nikłym rysunkiem w tle burej, nieprzyjaznej tarczy. A potem, gdy glob zbliży się bardziej, poczynają niknąć, rozpuszczać się, jeden po drugim rozpływają się w nicość, nie zostaje po nich najślabszy ślad, a tylko wyzbyta wszelkich ostrych konturów tarcza planetarna zdaje się swoją nudną, szarą obojętnością drwić z nadziei, jakie wzbudziła. Zapewne: po dalszych tygodniach lotu coś wreszcie wyłania się definitywnie i już nie rozplywa, ale wtedy są to po prostu wyszczerbione obrzeża największych kraterów, dzikie nagromadzenia zwietrzałych skał, bezładne rumowiska, utopione w głębokich pokładach burego piachu, niepodobne w niczym do tamtej czystej precyzji geometrycznego rysunku. Swój chaos planeta objawia z bliska już uległe i ostatecznie, niezdolna wycofać się z tak naocznego obrazu miliardoletniej erozji; chaos ów nie daje się wprost pogodzić z tamtym pamiętnym, czystym rysunkiem, który stanowił zarys czegoś, co przemawiało tak intensywnie i budziło takie wzruszenie, ponieważ szło o logiczny ład, o niezrozumiały, ale manifestujący swą obecność *sens* jakiś, który domagał się jedynie znaczniejszego wysiłku — dla ogarnięcia.

Więc gdzież on właściwie był i co kryło się w tak szyderczym mirażu? Projektacja siatkówki oka, jej optycznych mechanizmów? Aktywności wzrokowej kory mózgu? Na to pytanie nikt nie zamierzał udzielić odpowiedzi, ponieważ problem, kiedy upadł, podzielił los wszystkich przekreślonych, przez postęp zgruchotanych hipotez: wymieciono go do rupieciarni. Skoro nie było kanałów ani nawet czegoś szczególnego w rzeźbie planety, co by w wyjątkowy sposób stwarzało ich doskonałe wrażenie — nie było o czym mówić, nad czym się zastanawiać. Więc dobrze się stało, że tych trzeźwiących rewelacji nie dożył żaden „kanalista”, tak samo jak żaden z „antykanalistów”, ponieważ zagadka wcale nie została rozwiązana: ona tylko znikła. Są przecież inne planety o niewyraźnych tarczach; kanałów nie widziano na żadnej — nigdy. Nikt ich nie dostrzegł, nikt nie rysował. Czemu? Nie wiadomo.

Zapewne, można było snuć hipotezy i na ten temat: potrzebna była szczególna mieszanka dystansu i powiększenia optycznego, przedmiotowego chaosu i podmiotowej tęsknoty za porządkiem, ostatnich śladów tego, co, wyłaniając się z mętnej plamki w okularze, trwając poza granicą postrzegalności, sekundowo do niej jednak prawie że docierało; czyli — niechby najniklejszego oparcia i nieświadomych jego potrzeby rojeń, żeby został napisany ten rozdział, zamknięty już, astronomii.

Żądając od planety, aby się opowiedziała po jednej ze stron, trwając na pozycjach gry

do końca uczciwej, pokolenia areologów schodziły do grobu twardo wierząc w to, że sprawa dostanie się wreszcie przed właściwe trybunały, że zostanie do końca, sprawiedliwie i wyraźnie rozstrzygnięta. Pirx czuł, że oni wszyscy — choć, dla rozmaitych przyczyn, w niejednakowy sposób — poczuliby się zawiedzeni i oszukani, gdyby mogli dostąpić dokładnego oświecenia, jakie stało się jego udziałem. W tym przekreśleniu pytań i odpowiedzi, w totalnej nieodpowiedniości pojęć względem zagadkowego obiektu — była jakaś gorzka, ale istotna, okrutna, ale pouczająca lekcja, która — przeszło go nagle olśnienie — miała związek z tym, w co teraz wszedł i nad czym łamał sobie głowę.

Związek starej areografii z katastrofą „Ariela”? Ale jaki? I jak należało rozumieć to mętne, chociaż tak intensywne wyobrażenie? Nie wiedział. Był jednak zupełnie pewien, że tego połączenia tak niepodobnych do siebie, tak odległych spraw ani teraz, w środku nocy, nie przejrzy — ani nie zapomni. Należało rzecz przespać. Gasząc światło pomyślał jeszcze, że Romani musiał być o wiele bogatszym duchowo człowiekiem, niżby się dało przypuścić. Te książki stanowiły jego własność prywatną, a o każdy kilogram osobistych rzeczy, przywożonych na Marsa, szły spory; rozważny zarząd Projektu pozawieszał w ziemskim kosmodromie instrukcje i apele do poczucia lojalności pracowników, tłumacząc, jak obciążanie raket zbędnym balastem szkodzi sprawie. Dopraszano się racjonalności, a sam Romani, w końcu kierownik Agathodaemona, naruszył owe przepisy i zasady, przywożąc kilkadziesiąt kilogramów dzieł wszechstronnie zbędnych — po co właściwie? O tym, aby je mógł czytać, nie było mowy.

Już w ciemności uśmiechnął się, senny, do myśli, która wyjaśniała rację tych bibliofilskich staroci pod kloszem marsjańskiego Projektu. Zapewne, nic nikomu tu po takich książkach, po ewangeliach i zburzonych prorocत्वach. Ale wydawało się rzeczą godziwą, więcej — konieczną, żeby myśli tych ludzi, którzy oddali, co mieli najlepszego, zagadce czerwonej planety, znalazły się — przy pełnym już pogodzeniu najzacieklejszych przeciwników — na Marsie. To im się należało; a Romani, który rzecz rozumiał, był godnym zaufania człowiekiem.

Zbudził się o piątej z kamiennego snu, od razu trzeźwy, jakby wyszedł z chłodnej wody, i mając jeszcze kilka chwil dla siebie — dał sobie pięć minut, nieraz tak robił — pomyślał o dowódcy rozbitego statku. Nie wiedział, czy Klyne mógł uratować „Ariela” z trzydziestoma ludźmi załogi, ale nie wiedział też, czy Klyne próbował walczyć. To było pokolenie racjonalistów, podciągali się do niezawodnie logicznych sojuszników — komputerów, bo stawiały coraz większe wymagania, gdy je ktoś chciał kontrolować. Toteż łatwiej było się zdać na nie ślepo. On tego nie potrafił, chociażby sto razy chciał. Tę

nieufność miał w kościach. Włączył radio.

Burza wybuchła. Spodziewał się jej, lecz zaskoczyły go rozmiary hysterii. Trzy kwestie dominowały w radiowym przeglądzie prasy: podejrzenia o sabotaż, niepewność losu statków lecących na Marsa i — oczywiście — konsekwencje polityczne całej sprawy. Największe dzienniki były ostrożne w wysuwaniu hipotezy sabotażu, ale prasa brukowa tu sobie pofolgowała. Moc było też krytyki stutysięczników: że ich nie wypróbowano dostatecznie, że nie mogły startować z Ziemi, a — co gorsze — niepodobna było zawrócić ich z drogi, bo brakło im dostatecznej rezerwy paliwa; nie dałoby się ich też wylądować na okołomarsjańskich orbitach. To była prawda; musiały stanąć na Marsie. Ale trzy lata wcześniej próbny prototyp, co prawda z innym nieco modelem komputera, lądował na Marsie kilkakrotnie z pełnym powodzeniem. Domorośli rzeczoznawcy zdawali się o tym nie wiedzieć. Rozpętała się też kampania zmierzająca do zniszczenia politycznych popleczników Projektu Marsa; nazywano go wręcz szaleństwem. Musiały już gdzieś być gotowe listy wykroczeń przeciwko bezpieczeństwu prac na obu przyczółkach, krytykowano sposób zatwierdzania projektów i testowania prototypów, suchej nitki nie zostawiono na czołowych postaciach marsjańskiego zarządu; ogólny ton był kasandryczny.

Kiedy zgłosił się o szóstę do kierownictwa, okazało się, że nie należy już do żadnej komisji, bo tę ich samozwańczą organizację Ziemia zdążyła anulować; mogli robić, co chcieli, ale wszystko miało się rozpocząć od nowa, oficjalnie i legalnie, dopiero po przyłączeniu ziemskiej grupy. Zdymisjowane gremium znalazło się jak gdyby w korzystniejszej niż wczoraj sytuacji: skoro nie miało o niczym decydować, tym swobodniej można było przygotować postulaty i wnioski dla instancji wyższej, to znaczy ziemskiej. Sytuacja materiałowa była w Wielkiej Syrcie dość złożona, ale nie krytyczna, natomiast brak dostaw musiał rozłożyć przyczółek Agathodaemona w ciągu miesiąca; o tym, by Syrta mogła mu przyjść z efektywną pomocą, nie było mowy. Brakowało nie tylko budowlanych materiałów, ale nawet wody. Wprowadzenie reżimu najwyższej oszczędności na bieżąco było konieczne. Słuchał tego Pirx jednym uchem, bo tymczasem dostarczono aparaturę rejestrującą ze sterowni. Szczątki ludzkie znajdowały się już w pojemnikach; co do tego, czy będą pochowane na Marsie, nie podjęto jeszcze decyzji. Rejestratów nie można było badać niezwłocznie, potrzebne były niejaki przygotowania i dlatego omawiano sprawy nie związane bezpośrednio z przyczynami i przebiegiem katastrofy: czy mobilizacja największej ilości mniejszych statków nie odwróciłaby groźby zagłady Projektu, czy dałoby się nimi dostarczyć życiowego minimum ładunków w dostatecznie krótkim czasie — przy czym Pirx pojmował racjonalność takich poszukiwań, ale zarazem trudno mu było nie myśleć o obu

stutysięcznikach znajdujących się na kursie Marsa, które owymi uwagami jak gdyby już z góry przekreślano; jakby uznawano, że o ich dalszym ruchu na tej linii nie może być mowy. Więc co się miało z nimi stać — skoro musiały lądować? Wszyscy obecni znali już reakcję amerykańskiej prasy, a na bieżąco dostarczono na salę radiogramy ze streszczonymi wystąpieniami polityków — niedobrze to wyglądało: Projekt jeszcze nie zdążył, ustami swoich przedstawicieli, rozpocząć składania wyjaśnień, a już znalazł się pod ogniem koncentrycznego oskarżenia. Pojawiały się nawet epitety pomawiające o „zbrodniczą lekkomyślność”. Pirx nie chciał mieć z tym nic wspólnego, toteż koło dziesiątej wymknął się z zadymionej sali i skorzystawszy z grzeczności mechaników obsługi kosmodromu, pojechał małym łazikiem na miejsce katastrofy.

Dzień, jak na Marsa, był raczej ciepły i prawie pochmurny. Niebo przybrało rzadki, nie tyle rdzawy, co niemal różowy kolor; w takich chwilach wydaje się, że Mars posiada własną, odmienną od ziemskiej, surową urodę, nieco zawoalowaną, jakby nie oczyszczoną, która niebawem wyłoni się w mocniejszych promieniach Słońca spod pyłowych zamieci i brudnych smug, lecz oczekiwania takie nie chcą się spełniać; nie chodzi o zapowiedź, lecz o najlepszy z pejzaży, jakie planeta ma do pokazania. Pozostawiwszy przysadzisty, do bunkra podobny budynek kontroli lotów o półtorej mili za sobą, dojechali do końca startowych płyt, bo zaraz dalej łazik beznadziejnie ugrzązł. Pirx miał na sobie lekki półskafander, jakim się wszyscy tu posługiwali, jaskrawoniebieski, dużo wygodniejszy od wysokopróżniowego, z lżejszym też tornistrem, dzięki otwartemu obiegowi tlenowemu; coś jednak źle działało w klimatyzacji, bo gdy spotniał od szybszych ruchów — trzeba się było przedzierać przez lotne wydmy — zaraz mu zamgliło szybę w hełmie; tyle że tutaj nie było to nieszczęściem, bo pomiędzy pierścieniem hełmu a piersiową częścią skafandra zwisały, niczym korale indora, luźne woreczki, w które wtykało się rękę, i od środka można było sobie przetrzeć szkło, sposobem wprawdzie prymitywnym, ale skutecznym.

Dno ogromnego leja było zapchane maszynami gąsienicowymi: wykop, którym dotarto do sterowni, przypominał istny otwór kopalnianego szybu, był nawet osłonięty z trzech stron płatami żebrowanej blachy aluminiowej dla ochrony przed zsypywaniem się piasku. Połowę leja zajmowała centralna część kadłuba, wielka jak transatlantyk wyrzucony burzą na ląd i rozbity o skały; pod nią krzątało się z pięćdziesięciu ludzi, ale i oni, i ich dźwigi z koparkami wyglądały jak mrówki u zwłok olbrzyma. Sam dziób rakiety, prawie nietknięty, liczący sobie osiemnaście metrów, nie był stąd widoczny, bo impet cisnął nim o kilkaset metrów dalej; siła miazdząca zderzenia była straszna, skoro znajdowano grudki nadtopionego kwarcu — energia ruchu zmieniała się momentalnie w ciepła, dając termiczny skok jak przy

upadku meteoru, chociaż szybkość nie była wszak zbyt znaczna: w granicach dźwiękowej. Pirx odniósł wrażenie, że dysproporcja pomiędzy środkami, jakimi dysponował Agathodaemon, a ogromem wraku — nie jest wystarczającym usprawiedliwieniem sposobu prowadzenia eksploracji; było to oczywiście improwizowanie, ale było też w tym improwizowaniu nieco bałaganu, prawdopodobnie wywołanego świadomością, że szkoda jest wprost niewyobrażalnie ogromna. Nie ocalała nawet woda, bo wszystkie cysterny co do jednej popękały i piasek pochłonął tysiące hektolitrow, nim reszta obróciła się w lód. Ten lód zwłaszcza robił makabryczne wrażenie, ponieważ z kadłuba — rozprutego na długość dobrych czterdziestu metrów — wywalały się brudne, połyskliwe lodospady, opierając się dziwnymi festonami o wydmy, jakby eksplodująca rakietą wyrzuciła z siebie całą zimową Niagarę. Ale też było osiemnaście stopni zimna, a w nocy temperatura spadła do sześćdziesięciu. Przez ten lód, kaskadą szklący bok „Ariela”, wrak wyglądał niesamowicie staro, można było sądzić, że leży tu od niepamiętnych czasów. Trzeba było go rozbijać i kuć, żeby dostać się do wnętrza kadłuba, albo też penetrować je od strony szybu. Wyciągano tamtędy ocalałe pojemniki, których stopy widać było tu i tam na stoku leja, ale działało się to jakoś niemrawo. Dostęp do rufowej części był wzbroniony; rozpięte na linach, furkotały zawzięcie czerwone chorągiewki — znaki radioaktywnego skażenia. Pirx obszedł górą, po obwałowaniu, teatr katastrofy; naliczył dwa tysiące kroków, nim znalazł się ponad okopconymi lejami dysz; zżymał się patrząc, jak robotnicy wyciągali i nie mogli wyciągnąć jedynej ocalałej cysterny z olejem pędnym, bo im się łańcuchy wciąż ześlizgiwały; zdawało mu się, że jest tu niezbyt długo, kiedy ktoś dotknął jego ramienia i pokazał mu zegar butli tlenowej. Ciśnienie spadło i trzeba było wracać, bo zapasowej nie wziął. Zegarek, ten nowy chronometr, wyjął, że tkwił u szczątków niemal dwie godziny.

Sala obrad zmieniła się: miejscowi zasiadali z jednej strony długiego stołu, po drugiej zaś ustawili technicy sześć dużych płaskich telewizorów; że jednak, jak zwykle, coś jeszcze nie chciało grać w łączności, odroczone obrady do pierwszej. Haroun, technik–telegrafista, którego Pirx znał przelotnie z Wielkiej Syrty, a który żywił dlań, nie wiedzieć czemu, wielkie uszanowanie, dał mu pierwsze powielone odbitki taśm z tak zwanej nieśmiertelnej komory „Ariela”; były to utrwalone decyzje rozrządu mocy, Haroun zaś nie miał prawa wręczyć mu ich nieoficjalnie, ale Pirx ocenił właściwie ów gest. Zamknął się w swym pokoiku i pod silną lampą zaczął na stojąco przeglądać jeszcze wilgotnawy wąż plastikowej taśmy. Obraz był tyleż wyraźny, co niezrozumiały. W 317 sekundzie procedury, dotąd bezbłędnie czystej, pojawiły się w obwodach kontroli prądy pasożytnicze, które w następujących sekundach przybrały postać dudnień. Dwukrotnie wygaszone, po przerzuceniu obciążeń na równoległe,

rezerwowe części sieci, wróciły w spotęgowaniu, a dalej tempo pracy czujników narosło trzykrotnie względem normy. To, co miał w rękę, nie było rejestrem pracy samego komputera, lecz jego „rdzenia pacierzowego”, który, pod zarządem automatycznej zwierzchności, uzgadniał otrzymane polecenia ze stanem agregatów napędowych. Układ ten nazywano niekiedy „mózdzkiem”, przez analogię do mózdzku zawiadującego też u człowieka — jako stacja kontroli między korą a ciałem — korelacją ruchów.

Obejrzał sobie wykres pracy „mózdzku” z największą uwagą. Wyglądało tak, jakby komputerowi spieszyło się, jakby — nie naruszając w niczym procedury — domagał się w jednostce czasu coraz większej ilości danych o podzespołach. Spowodowało to informacyjny tłok i wystąpienie prądów pasożytniczych, mianowicie echowych; odpowiednikiem ich byłby u zwierzęcia nadmiernie spotęgowany tonus, czyli taka skłonność do zaburzeń motoryki, jaką zwie się pogotowiem drgawkowym. Nic z tego nie rozumiał. Nie miał, co prawda, najważniejszych taśm, utrwalających decyzje samego komputera; Haroun dał mu to, czym sam dysponował. Ktoś zapukał do drzwi. Pirx schował taśmy do nesesera i wyszedł na korytarz; stał tam Romani.

— Nowi panowie też chcą, żeby pan uczestniczył w pracach komisji — powiedział. Nie był taki wydrenowany z sił, jak poprzedniego dnia, wyglądał już nieźle, chyba pod wpływem antagonizmów powstających w organizowanej tym osobliwym sposobem komisji. Pirx pomyślał, że zgodnie z prostą logiką rzeczy nawet niechętni sobie „Marsjanie” Agathodaemona i Syrty zjednoczą się, jeśli „nowi panowie” będą chcieli narzucić im własną koncepcję postępowania.

Komisja, ta nowo utworzona, składała się z jedenastu osób. Przewodniczył nadal Hoyster, ale jedynie dlatego, że nikt nie mógł podołać temu zadaniu, pozostając na Ziemi; obrady, w których uczestniczyli ludzie oddaleni o 80 milionów kilometrów, nie mogły iść sprawnie i jeśli zdecydowano się na tak ryzykowne rozwiązanie, to na pewno pod wpływem rozmaitych nacisków, jakie musiały już działać na Ziemi. Katastrofa uczyniła antagonizmy, także polityczne, w których ognisku od dawna działał cały Projekt.

Zrazu rekapitulowano jedynie uzyskane wyniki — dla Ziemian. Pirx znał spośród nich tylko głównego dyrektora stoczni, van der Yoyta. Barwny obraz telewizyjny, przy doskonałej wierności, dodawał mu jakby monumentalnych rysów; było to popiersie ogromnego człowieka z twarzą zarazem obwisłą i odętą, pełną władczej energii, otoczoną kłębam dymu, jakby go tam gdzieś podkadzano — niewidzialnym cygarem, gdyż ręce van der Yoyta były niewidoczne. To, co mówiło się na sali, słyszał z czterominutowym opóźnieniem, a jego głos dopiero po następnych czterech minutach mógł tu rozbrzmieć. Pirx poczuł do niego od razu

niechęć, bo główny dyrektor zdawał się zasiadać wśród nich sam jeden — jak gdyby inni ziemscy rzeczoznawcy, co oczami mrugali z pozostałych ekranów, byli figurantami.

Gdy Hoyster skończył, przyszło czekać osiem minut, ale Ziemianie nie chcieli na razie zabierać głosu: van der Voyt zażądał taśm z „Ariela”, które już leżały przy mikrofonie Hoystera. Każdy członek komisji otrzymał powielony ich komplet. Nie było tego dużo, zważywszy, że rejestraty obejmowały tylko ostatnich pięć minut pracy sterowniczego kompleksu. Taśmy, przeznaczone dla Ziemi, wzięli na cel kamerzyści, a Pirx zajął się swoimi, od razu odłożywszy na bok te, które już znał dzięki Harounowi.

Komputer podjął decyzję odwrócenia procedury lądowania na startową w 339 sekundzie. Nie był to start zwykły, lecz ucieczka w górę, jakby przed meteorami — więc właściwie nie wiadomo co, bo miało to wygląd rozpaczliwej improwizacji. To, co się działo potem, owe zwariowane skoki krzywych na taśmach podczas runięcia — uznał Pirx za całkiem nieistotne, ponieważ szło tam już tylko o sposób, w jaki komputer dławił się, nie mogąc wypić nawarzonego przez siebie piwa. Istotne było teraz nie analizowanie szczegółów makabrycznej agonii, lecz przyczyna decyzji równoznacznej w efekcie z aktem samobójczym.

Przyczyna ta pozostała niejasna. Komputer pracował od 170 sekundy pod olbrzymim stresem i wykazywał niesamowite przeciążenie informacyjne, ale takim mądrym łatwo było okazać się teraz, bo widziało się wszak końcowe skutki jego pracy; o tym, że jest przeciążony, zawiadomił swoją sterownię, to znaczy — ludzi „Ariela”, dopiero w 201 sekundzie procedury. Już wtedy dławił się danymi — a żądał wciąż nowych. Zamiast wyjaśnień dostali w ręce nowe zagadki. Hoyster dał im dziesięć minut czasu na obejrzenie taśm i spytał potem, kto chce zabrać głos. Pirx podniósł palec jak w szkolnej ławce. Nim otworzył usta, inżynier Stotik, który był przedstawicielem stoczni i miał baczyć na przebieg rozładunku stutysięczników, zauważył, że trzeba poczekać — być może, jako pierwszy zechce przemówić ktoś z Ziemi. Hoyster zawahał się. Był to nieprzyjemny incydent, zwłaszcza że doszło do niego już na samym początku; Romani poprosił o głos w sprawie formalnej i oświadczył, że jeśli dbałość o równouprawnienie zasiadających w komisji odbije się szkodliwie na płynności obrad, ani on, ani nikt z ludzi Agathodaemona w komisji pracować nie zamierza. Stotik wycofał się i Pirx mógł wreszcie mówić. — To jest podobno udoskonalona wersja AIBM 09 — rzekł. — Ponieważ przelatałem z AIBM 09 prawie tysiąc godzin procedur, mam pewne praktyczne spostrzeżenia co do jego pracy. Na teorii się nie znam. Wiem tyle, ile muszę wiedzieć. Chodzi o pracujący w realnym czasie komputer, który musi zawsze zdążyć z przerabianiem danych. Słyszałem, że ten nowy model ma przepustowość o 36 procent

większą niż AIBM 09. To sporo. Na podstawie materiału, który dostałem, mogę powiedzieć, że było tak: komputer wprowadził statek w normalny tok lądowania, a potem sam zaczął sobie utrudniać pracę, żądając od podzespołów coraz większej ilości danych na jednostkę czasu. Efekt był taki, jakby dowódca kompanii odrywał coraz większą ilość ludzi od walki po to, żeby z nich robić gońców czy informatorów; postępując w ten sposób, byłby pod koniec bitwy doskonale poinformowany, tyle że nie miałby już żołnierzy, nie miałby się kim bić. Komputer nie tyle został udławiony, ile sam się udławił. Zablokował się tą eskalacją i musiałby się zablokować, nawet gdyby miał dziesięć razy większą przepustowość — o ile nie przestałby podwyższać wymagań. Mówiąc bliżej matematyki: redukował sobie przepustowość po eksponencie, wskutek czego „mózdzek” — jako kanał węższy — zawiódł pierwszy. Opóźnienia pojawiły się w „mózdzku”, a potem przeskoczyły do samego komputera. Wchodząc w stan informacyjnego zadłużenia, czyli przestając być maszyną czasu realnego, komputer zagłuszył się sam i musiał podjąć decyzje radykalną, więc powziął decyzję startu, czyli wyinterpretował powstałe zakłócenie jako skutek z zewnątrz pochodzącej awarii.

— Dał ostrzeżenie meteorytowe, jak pan to tłumaczy? — spytał Seyn.

— W jaki sposób mógł się przełączyć z procedury głównej na podrzędną — nie wiem. Nie znam się na tym, bo nie znam się na budowie komputera, przynajmniej w sposób dostateczny. Dlaczego dał ten alarm? Nie wiem. W każdym razie jest dla mnie niezbite, że to on był winien.

Teraz trzeba już było czekać na Ziemię. Pirx był pewien, że van der Voyt zaatakuje go. i nie omylił się. Mięsiasta, ciężka twarz spojrziała na niego przez dym cygara, zarazem oddalona i bliska; kiedy van der Voyt odezwał się, jego bas był uprzejmy, a oczy uśmiechnięte życzliwie, z taką wszechwiedną dobroduszością, jakby się preceptor zwracał do rojującego nieźle ucznia.

— Więc komandor Pirx wyklucza sabotaż? Ale na jakiej podstawie? Co znaczą słowa „on jest winien”? Kto — „on”? Komputer? Ale przecież komputer, jak sam komandor Pirx przyznał, pracował do końca. A więc program? Ale ten program nie różni się w niczym od programów, dzięki którym komandor Pirx lądował setki razy. Czy pan uważa, że ktoś dokonał manipulacji nad programem?

— Nie mam zamiaru wypowiadać się na temat, czy zaszedł jakiś sabotaż — rzekł Pirx. — To mnie na razie nie interesuje. Gdyby komputer i program były w porządku, to „Ariel” stałby tu cały, a nasza rozmowa nie byłaby potrzebna. Na podstawie taśm twierdzą, że komputer pracował we właściwym kierunku, w obrębie właściwej procedury, ale tak, jak

gdyby chciał okazać się perfekcjonistą, któremu żadna osiągnięta sprawność nie wystarcza. Żądał danych o stanie rakiety w rosnącym tempie, nie uwzględniając ani własnych możliwości granicznych, ani pojemności kanałów zewnętrznych. Dlaczego tak działał, nie wiem. Ale właśnie tak działał. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Nikt z „Marsjan” się nie odezwał. Pirx, z nieruchomą twarzą, dostrzegł błysk satysfakcji w oku Seyna i milczące zadowolenie, z jakim Romani poprawił się na krześle. Po ośmiu minutach znów odezwał się van der Voyt. Tym razem nie mówił do Pirxa. Nie mówił też do komisji. Był samą swadą. Przedstawił drogę, jaką przebywa każdy komputer — od montażowej taśmy do sterowni okrętu. Agregaty składało w częściach osiem rozmaitych firm, japońskich, francuskich i amerykańskich. Nie wypełnione jeszcze pamięcią „nic nie wiedzące” jak noworodki, jechały do Bostonu, gdzie w zakładach „Syntronics” odbywało się ich programowanie. Po tym kolejnym akcie każdy komputer podlegał procedurze, która jest niejako odpowiednikiem nauk szkolnych, gdyż składa się zarówno z dostarczania pewnych „doświadczeń”, jak i z poddawania „egzaminom”. Tak jednak badano tylko sprawność ogólną; „studia specjalistyczne” rozpoczynał komputer w fazie następnej. W niej dopiero stawał się z uniwersalnej maszyny cyfrowej — sternikiem raket typu „Ariela”. I wreszcie podłączano go na roboczym stanowisku do symulatora, który imitował niezliczone sekwencje zajęć z tych, co bywają składowymi kosmicznej podróży: nieprzewidziane awarie, defekty zespołów, sytuacje trudnego manewru, także przy niesprawnych układach napędowych, pojawianie się na bliskim dystansie innych rakiet, obcych ciał. Każdą z tych naśladowanych przygód odgrywano w setkach wariantów: zakładając raz statek załadowany, a raz pusty, raz poruszający się w wysokiej próżni, a raz wchodzący w atmosferę, stopniowo komplikując symulowane sytuacje — aż do pojawienia się najtrudniejszych problemów wielu ciał w polu grawitacyjnym, kiedy to zmuszano maszynę, by przewidywała ich ruchy i orientowała bezpiecznie kurs swego statku.

Symulatorem także był komputer pełniący rolę „egzaminatora”, i to perfidnego; wstępnie utrwalony program „uczni” poddawał niejako dalszym obróbkom, próbom na wytrzymałość i sprawność; jakkolwiek więc elektronowy zwiadowca sterów nigdy nie prowadził naprawdę statku, kiedy go montowano wreszcie na pokładzie rakiety, miał większe doświadczenie i wyższą sprawność niż wszyscy razem wzięci ludzie, co kiedykolwiek parali się kosmiczną nawigacją. Tak trudnych zadań, jakim musiał komputer podołać na stanowiskach symulacyjnych, nigdy nie spotyka się w rzeczywistości; aby zaś stuprocentowo wykluczyć wszelką możliwość prześlizgnięcia się newszechstonnie doskonałego egzemplarza przez to ostatnie sito, nadzór nad pracą dwójki „sternik + symulator” pełnił człowiek,

doświadczony programista, który ponadto musiał posiadać wieloletni staż praktycznego pilotażu, przy czym „Syntronics” nie zadowolila się angażowaniem na te odpowiedzialne stanowiska pilotów: pracowali tam wyłącznie kosmonauci powyżej rangi nawigatora, czyli tacy, co mieli ponad tysiąc godzin głównych procedur na swoim koncie zawodowym. W ostatniej instancji od tych ludzi zależało więc, jakim testom z nieprzebranego ich katalogu zostanie poddany kolejny komputer; fachowiec wyznaczał rozmiary trudności do pokonania, a powodując symulatorem, dodatkowo komplikował „egzaminy”, bo naśladował, w toku rozwiązywania zadań, nagle i groźne niespodzianki: wypadanie mocy, rozogniskowanie ciągów, sytuacje kolizyjne, przebicia powłoki zewnętrznej, utratę łączności z naziemną kontrolą podczas lądowania, i nie ustawał w tym, aż upłynęło sto godzin standardowych testów. Egzemplarz, który okazałby w nich najmniejszą zawodność, był kierowany na powrót do pracowni, jak kiepski uczeń, któremu przychodzi powtarzać rok. Wyniósłszy tym przemówieniem produkcję stoczni ponad wszelkie zarzuty, chcąc pewno zatrzeć wrażenie takiej obrony, w pięknych okresach prosił van der Voyt komisję o bezkompromisowe zbadanie katastrofy i jej przyczyn, za czym odezwali się specjaliści ziemscy. Rzecz utonęła od razu w zalewie uczonej terminologii. Pojawiły się na ekranach schematy ideowe i blokowe, wzory, wykresy, zestawienia numeryczne, i Pirx widział z osłupieniem, że znajdują się na najlepszej drodze obrócenia sprawy w pogmatwany casus teoretyczny. Po głównym informatyku mówił cyfronik Projektu Schmidt; Pirx przestał go rychło słuchać. Nie zależało mu na tym, aby dzięki czujności wyjść obronną ręką z kolejnego starcia z van der Yoytem, jeśli do niego przyjdzie. Było to zresztą coraz mniej prawdopodobne: wystąpienia jego nikt nie wspominał, jakby szło o nietaktowny wyskok, który godzi się najrychlejszemu zapomnieć. Następni mówcy wleźli już na wysokie piętra ogólnej teorii sterowania. Pirx wcale nie podejrzewał ich o złą wolę: po prostu rozważnie nie opuszczali terenu, na którym czuli się mocni, a van der Voyt z ufną powagą przysłuchiwał się im, w dymie cygara, bo stało się to, do czego zmierzał: prym wzięła w obradach Ziemia i „Marsjanie” pozostali w rolach biernych słuchaczy. Zresztą nie dysponowali żadnymi rewelacjami. Komputer „Ariela” był elektronicznym gruzem, którego badanie nie mogło dać żadnych rezultatów. Rejestraty obrazowały z grubsza, co zaszło, ale nie, czemu się tak stało. Nie opisują one wszystkiego, co się dzieje w komputerze: do tego byłby potrzebny inny, większy komputer, a gdyby uznać, że i ten może ulec defektowi, należałoby z kolei nadzorować nadzorcę, i tak w nieskończoność. Tak więc znaleźli się na szerokich wodach abstrakcyjnej analizy. Głębia wypowiedzi osłaniała prosty fakt, że katastrofa nie ograniczała się do zagłady „Ariela”. Stabilizację olbrzyma, schodzącego na planetę, przejęły od ludzi automaty tak dawno, że był to fundament,

niewzruszalny grunt wszystkich działań — który nagle usunął się spod nóg. Żaden z modeli gorzej zabezpieczonych i prostszych nigdy nie zawiódł, więc jakże mógł zawieść model doskonalszy i pewniejszy? Jeśli to było możliwe, możliwe było wszystko. Zwątpienie, raz zaatakowawszy niezawodność urządzeń, nie mogło się już zatrzymać na żadnej granicy. Wszystko grzęzło w niepewności. Tymczasem „Ares” i „Anabis” zbliżały się do Marsa. Pirx siedział jakby zupełnie sam, bliski rozpacz. Doszło właśnie do klasycznego sporu teoretyków, który coraz dalej odwodził ich od samego wydarzenia z „Arielem”. Patrząc w zarazem otyłą i masywną twarz van der Voyta, dobrotliwie patronującą obradom, Pirx odnajdywał w jej wyrazie podobieństwo do oblicza starego Churchilla, z jego pozorną dystrakcją, której zadawało kłam drgnienie ust odzwierciedlające uśmiech wewnętrzny, skierowany ku myśli skrytej ciężkimi powiekami. To, co było wczoraj jeszcze nie do pomyślenia, stawało się prawdopodobne — jako próba skierowania obrad ku werdyktowi, który zrzuciłby odpowiedzialność na siłę wyższą, może na fenomeny dotychczas nie znane, na lukę w samej teorii, z konkluzją, że trzeba podjąć zakrojone na wielką skalę i na całe lata badania. Znał podobne, chociaż mniejsze kalibrem sprawy i wiedział, jakie siły musiała uruchomić katastrofa; za kulisami toczyły się już wyęteżone starania o kompromis, zwłaszcza że Projekt, tak zagrożony w całości, był skłonny do niejednego ustępstwa za cenę uzyskania pomocy, a tej mogły właśnie udzielić zjednoczone stocznie, chociażby dostarczając na dogodnych warunkach flotylli mniejszych statków dla zapewnienia dopływu dostaw. Wobec rozmiarów stawki — boż chodziło już o byt całego Projektu — katastrofa „Ariela” stawała się przeszkodą do usunięcia, jeśli nie można jej było niezwłocznie wyjaśnić. Nie takie afery nieraz już zamazywano. Miał wszakże jeden atut. Ziemianie przyjęli go, musieli wyrazić zgodę na jego obecność w komisji, ponieważ był w niej jedynym człowiekiem związanym z załogami rakiet mocniej niż ktokolwiek inny z obecnych. Nie miał złudzeń: wcale nie szło o jego dobre imię ani o kompetencje. W komisji był po prostu nieodzowny przynajmniej jeden kosmonauta czynny, zawodowiec, co właśnie zeszedł z pokładu. Van der Voyt palił w milczeniu cygaro. Zdawał się wszystkowiedny, ponieważ rozsądnie milczał. Wolałby pewno kogoś innego na miejscu Pirxa, ale skoro go лихо nadało, zabrakło pretekstu, żeby się go pozbyć. Gdyby więc, przy mglistym werdykcie, złożył swoje votum separatum, zyskałoby znaczny rozgłos. Prasa wietrzyła skandale i czyhała tylko na taką okazję. Związek Pilotów i Klub Przewoźników nie stanowiły potęg, ale sporo od nich zależało — ci ludzie kładli przecież głowy pod Ewangelię. Toteż Pirx nie zdziwił się, usłyszawszy podczas przerwy, że van der Voyt chce z nim mówić. Przyjaciel potężnych polityków otwarł rozmowę żartem, że to jest spotkanie na szczycie — dwóch planet. Pirx miewał niekiedy odruchy, którym sam się

potem dziwił. Van der Voyt palił cygaro i zwilżał sobie gardło piwem, on zaś poprosił, by mu przyniesiono kilka kanapek z bufetu. Słuchał więc głównego dyrektora w pomieszczeniach łączności, jedząc. Nic nie mogło ich lepiej zrównać.

Van der Voyt jakby nie wiedział, że się poprzednio starli. Nic takiego nigdy po prostu nie zaszło. Podzielał jego troskę o załogi „Anabisa” i „Aresa”; dzielił się z nim swymi kłopotami. Oburzała go nieodpowiedzialność prasy, jej histeryczny ton. Prosił go o ewentualne opracowanie małego memoriału w sprawie następnych lądowań: co można zrobić dla zwiększenia ich bezpieczeństwa. Pokładał w nim takie zaufanie, że Pirx przeprosił go na chwilę i wystawiwszy głowę przed drzwi kabiny kazał sobie dołożyć sałatki śledziowej. Van der Voyt basował mu i ojcował, a Pirx rzekł zniechęcony:

— Mówił pan o tych rzeczoznawcach nadzorujących symulację. Kto to jest z nazwiska?

Van der Voyt zdziwił się po ośmiu minutach, ale to było jedno mgnienie oka.

— Nasi „egzaminatorzy”? — uśmiechnął się szeroko. — Sami pana koledzy, komandorze. Mint, Stoernhein i Cornelius. Stara gwardia... Wytypowaliśmy dla „Syntronics” najlepszych, jakich można było znaleźć. Pan ich na pewno zna!

Dłużej nie mogli rozmawiać, bo zaczynały się obrady. Pirx zapisał karteczkę i podał ją Hoysterowi z uwagą: „To bardzo pilne i bardzo ważne.” Przewodniczący odczytał więc zaraz ów tekst, zwrócony do kierownictwa stoczni. Trzy pytania: 1) W jaki sposób zmianowo pracują naczelnicy kontrolerzy symulacyjni Cornelius, Stoernhein i Mint? 2) Czy i jaka jest odpowiedzialność ponoszona przez kontrolerów w wypadku przeoczenia błędnych funkcji lub innych uchybień pracy obciążanego komputera? 3) Kto z nazwiska nadzorował testowanie komputerów „Ariela”, „Anabisa” i „Aresa”?

Wywołało to poruszenie na sali: Pirx najwyraźniej dobierał się do najbliższych mu ludzi — czcigodnych zasłużonych weteranów kosmonautyki! Ziemia potwierdziła ustami głównego dyrektora odebranie tych pytań; odpowiedzi miano udzielić w ciągu kilkunastu minut.

Oczekiwał jej zgryziony. Źle się stało, że zdobywał informacje na tak oficjalnej drodze. Ryzykował nie tylko animozję kolegów, lecz i osłabienie własnej pozycji w rozgrywce, gdyby miało dojść do votum separatum. Czy próba wyjścia śledztwem poza sprawy techniczne, ku ludziom, nie mogła być wyłożona jako uleganie naciskom van der Voyta? Widząc w tym interes stoczni, generalny dyrektor niezwłocznie by go pogrzyżył, dostarczając prasie odpowiednich napomknien. Rzuciłby jej Pirxa na pożarcie jako niezręcznego sojusznika... Lecz nie pozostawało nic innego, jak ten ślepy strzał. Na

zdobywanie informacji prywatnie, drogą okólną, nie było czasu. Co prawda, nie żywił żadnych określonych podejrzeń. Czym się więc kierował? Dość mętnymi wyobrażeniami o niebezpieczeństwach czających się zawsze nie po stronie ludzi i nie po stronie automatów, lecz na styku — tam, gdzie jedni kontaktują się z drugimi, bo sposób rozumowania ludzi i komputerów jest tak niesamowicie różny. I jeszcze tym, co wyniósł z chwili spędzonej przed półką starych książek, a czego nie potrafiłby nawet wyrazić. Odpowiedź przyszła rychło: każdy kontroler prowadził swoje komputery od początku do końca testów, kładąc zaś podpis na akcie noszącym nazwę „świadectwa dojrzałości”, ponosił odpowiedzialność za dysfunkcyjne przeoczenia. Komputer „Anabisa” badał Stoernhein, pozostałe dwa — Cornelius. Pirx miał ochotę wyjść z sali, na co nie mógł sobie jednak pozwolić. Już i tak czuł narastające wokół napięcie. Obrady zakończyły się o jedenastej. Udał, że nie dostrzega znaków, jakie dawał mu Romani, i wyszedł czym prędzej, jakby uciekał. Zamknąwszy się w swojej klitce, gruchnął na łóżko i podniósł oczy do sufitu. Mint i Stoernhein nie liczyli się. Pozostawał tedy Cornelius. Umysł racjonalny i naukowy zacząłby rzecz od zapytania, co takiego mógł właściwie przeoczyć kontroler? Niezwłoczna odpowiedź, że zupełnie nic, zamknęłaby i tę odnogę śledztwa. Pirx nie był jednak naukowym umysłem, więc pytanie takie nie przyszło mu nawet do głowy. Nie próbował też zastanawiać się nad samą procedurą testową, jakby czuł, że i to źle się dla niego skończy. Myślał po prostu o Corneliusie takim, jakim go znał, a znał go nieźle, choć rozstali się przed wielu laty. Stosunki ich układały się kiepsko, w czym nic dziwnego, zważywszy, że Cornelius był dowódcą „Gulliwera”, on zaś młodszym nawigatorem. Układały się jednak gorzej niż zwykle w takiej sytuacji, gdyż Cornelius był potworem dokładności. Nazywano go mękalem, skrupulatem, liczykrupą i łowcą much, ponieważ potrafił zmobilizować pół załogi dla pogoni za muszką na pokładzie. Pirx uśmiechnął się na myśl o swych osiemnastu miesiącach pod skrupulatem Corneliusem; teraz mógł sobie na to pozwolić, wtedy wychodził ze skóry. Cóż to był za nudziarz! A jednak wszedł nazwiskiem do encyklopedii w związku z badaniami zewnętrznych planet, zwłaszcza Neptuna. Mały, szarawy na twarzy, wiecznie zły, podejrzewał wszystkich o to, że chcą go oszukać. W rzeczy, jakie opowiadał — że przeprowadza osobiste rewizje załóg, bo mu ludzie szmuglują muchy na pokład — nie wierzono, ale Pirx akurat wiedział, że nie było to zmyślenie. Cornelius miał w szufladzie pudło pełne proszku DDT i potrafił zastygać w rozmowie z podniesionym palcem (biada temu, kto nie zamarł na ów znak), łowiąc uchem, co mu się wydało bzyknięciem. W kieszeni nosił pion i metr stalowy; kontrola ładunku w jego wykonaniu przypominała wizję lokalną na miejscu katastrofy, która wprawdzie nie zaszła jeszcze, ale nadciąga. Miał w uszach okrzyk: „Liczydło idzie, kryj się!” — po którym mesa

pustoszała; pamiętał szczególny wyraz oczu Corneliusa, które jak gdyby nie brały udziału w tym, co akurat robił lub mówił, lecz nawiercały otoczenie, poszukując w nim nie doprowadzonych do ładu miejsc. W ludziach latających dziesiątkami lat gromadzą się dziwactwa, ale Cornelius był ich rekordzistą. Nie znosił niczyjej obecności za plecami, a kiedy przypadkiem siadł na krześle, na którym ktoś siedział przed chwilą, i wyczuł to po ciepłe siedzenia, zrywał się jak oparzony. Był z tych, których wyglądu w młodości w ogóle nie można sobie wyobrazić. Nie opuszczał go wyraz zgnębienia niedoskonałością wszystkich dokoła; cierpiał, ponieważ nie mógł ich nawrócić na swoją pedantyczność. Pukając palcem w rubryki, po dwadzieścia razy w kółko sprawdzał...

Pirx zamarł. Potem usiadł powoli, jakby stał się ze szkła. Myśl, biegnąc wśród chaotycznych wspomnień, zawadziła niewidzialnie o coś i było to niczym pogłos alarmu. Co właściwie? Że nie cierpiał nikogo za plecami? Nie. Że zamęczał podwładnych? I co z tego? Nic. Ale jakby blisko. Był teraz jak chłopiec, który błyskawicznie zamknął garść, by pochwycić zuczka i trzyma zaciśniętą pięść przed nosem — bojąc się ją otworzyć. Powoli. Cornelius, prawda, słyszał ze swoich rytuałów. (Czy to?... — zatrzymywał się na próbę myślą.) Kiedy przychodziło do zmiany przepisów, wszystko jedno jakich, zamykał się z urzędowym pismem w kajucie i nie wyszedł z niej, dopóki nie wykuł nowości na pamięć. (To było teraz jak zabawa w „ciepło–zimno”. Czuł, że się oddala...) Rozstali się dziewięć, nie — dziesięć lat temu. Cornelius znikł dziwnie, jakoś raptownie, na szczycie rozgłosu, który zawdzięczał eksploracji Neptuna. Mówiono, że wróci na pokład, a locję wyklada tylko czasowo, lecz nie wrócił. Naturalna rzecz, był przy pięćdziesiątce. (Znów nie to.) A n o n i m . (Słowo to wypłynęło nie wiedzieć skąd.) Jaki znów anonim? Że jest chory i dysymuluje? Że grozi mu zawał? Skąd. Ten anonim to była zupełnie inna historia, innego człowieka — Corneliusa Craiga, tu — imię, tam — nazwisko. (Pomyliłem się?... Tak.) Lecz anonim nie chciał szczeznąć. Dziwna rzecz, nie mógł się odkleić od tego słowa. Im energiczniej je odrzucał, tym idiotyczniej wracało. Siedział skurczony. W głowie — muł. Anonim. Teraz był już niemal pewien tego, że słowo to przesłania jakieś inne. To się zdarza. Wskoczy fałszywe hasło i nie można ani pozbyć się go, ani zedrzyć z tego, które zakrywa. A n o n i m .

Wstał. Na półce, pamiętał, tkwił między marsjanami gruby słownik. Otworzył go na chybił trafił przy „AN”. Ana. Anakantyka. Anaklasyka. Anakonda. Anakreontyk. Anakruza. Analekta. (Ilu słów człowiek nie zna...) Analiza. Ananas. A n a n k e (greckie): Bogini przeznaczenia. (To...? Ale co ma wspólnego bogini...) Także: przymus.

Łuski spadły. Zobaczył biały gabinet, plecy lekarza, który telefonował, okno otwarte i papiery na biurku, które podwijał przeciąg. Zwykle badanie lekarskie. Nie starał się wcale

przeczytać maszynowego tekstu, ale oczy same pochwyliły drukowane litery, jako chłopiec jeszcze uczył się uporczywie czytania do góry nogami. „Warren Cornelius, rozpoznanie: Syndrom anankastyczny.” Lekarz zauważył rozsypkę papierów, zebrał je i schował do teczki. Czy nie był ciekaw, co oznaczała ta diagnoza? Chyba tak, ale czuł, że to nie byłoby w porządku — a potem zapomniał. Ile lat temu? Co najmniej sześć. ,

Odstawił słownik, jednocześnie poruszony, rozgrzany wewnątrz, ale i rozczarowany. Ananke — przymus, więc chyba nerwica natręctw. Nerwica natręctw! Czytał o niej, co się tylko dało, jako chłopiec jeszcze — była taka rodzinna sprawa — chciał się dowiedzieć, co to znaczy i pamięć, chociaż nie bez oporu, przecież udzielała wyjaśnień. Już co jak co, ale pamięć miał dobrą. Powracały zdania lekarskiej encyklopedii w krótkich błyskach olśnień, bo się od razu nakładały na postać Corneliusa. Widział go teraz zupełnie inaczej niż dotąd. Było to zarazem wstydlive i żalosne widowisko. A więc to dlatego mył ręce po dwadzieścia razy dziennie i musiał uganiać się za tymi muchami, i wściekał się, gdy zginęła mu kartka-zakładka do książki, i trzymał ręcznik pod kluczem, i nie mógł siadać na cudzym krześle... Jedne czynności przymusowe rodziły następne, coraz mocniej oblażył go ich pomiot, aż stawał się pośmiewiskiem. Nie uszło to w końcu uwadze lekarzy. Zdjęli go z pokładu. Gdy Pirx wyteżył pamięć, wydało mu się, że na samym dole stronicy znajdowały się trzy słowa rozstrzelone: „niezdolny do lotów”. A że psychiatra nie znał się na komputerach, pozwolił mu pracować w „Syntronics”. Pewno uznał, że to właśnie doskonałe miejsce dla takiego skrupulata. Co za pole do popisu dla pedanterii! Corneliusa musiało to podnieść na duchu. Praca użyteczna i — co najważniejsze — w najściślejszym związku z kosmonautyką...

Leżał z oczami wlepionymi w sufit i nie musiał się nawet specjalnie wysilać, żeby sobie wyobrazić Corneliusa w „Syntronics”. Co tam robił? Nadzorował symulatory przy obciążaniu okrętowych komputerów. To znaczy — utrudniał im pracę, a dawanie szkoły było jego żywiołem. Niczego lepiej nie umiał. Ten człowiek musiał żyć w stałej rozpaczy, że wezmą go w końcu za wariata, jakim nie był. W sytuacjach prawdziwie krytycznych nigdy nie tracił głowy. Był dzielny, ale tę dzielność na co dzień zjadały mu po trochu natręctwa. Pomiędzy załogą i swoim pokreconym wnętrzem musiał się czuć jak między młotem a kowadłem. Patrzył na cierpiętника nie dlatego, że ulegał owym musom, że był szalony, ale dlatego właśnie, że z tym walczył i bezustannie szukał pretekstów, usprawiedliwień, potrzebne były mu te regulaminy, chciał się nimi wytłumaczyć, że to nie on wcale, że to nie z niego ten wieczny dryl. Nie miał duszy kaprała — no bo czy w takim wypadku czytałby Poe'go, historie makabryczne i niesamowite? Może szukał w nich swojego piekła? Mieć w

sobie taki kłębek drucianych musów, takie żerdzie jakieś, tory, i wciąż się z tym bić, zgniatać to, wciąż od nowa... Na dnie tego wszystkiego był strach, że stanie się coś nieprzewidzianego, przeciw temu się tak wciąż dozbrajał, musztrował, ćwiczył, te jego próbne alarmy, wizytacje, kontrole, bezsenne łożenie po całym statku, wielki Boże — wiedział, że się z niego w kułak śmieją, może nawet pojmował, jakie to wszystko niepotrzebne. Czy jest do pomyślenia, że on się na tych komputerach tam jakby mścił? Że im dawał szkołę? Jeśli i tak było, chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. To się nazywa wtórna racjonalizacja. Wy tłumaczył sobie, że właśnie tak powinien postępować.

Zadziwiająca rzecz, jak przyłożenie do tego, co już poprzednio wiedział, co znał w postaci szeregu anegdot — całkiem innego języka, terminów medycznych, nadawało zdarzeniom nowy sens. Mógł zajrzeć w głąb, a pozwalał na to wytrych, jakiego dostarcza psychiatria. Mechanizm cudzej osobowości objawiał się nagi, zwięzły, zredukowany do garstki nieszczęsnych odruchów, którym nie można ujść. Myśl o tym, że można być lekarzem i tak właśnie traktować ludzi, nawet żeby im pomagać, wydała mu się do niesamowitości odpychająca. Zarazem rozcieńczona aura błazeństwa, co otaczała jakby nikłą obwódką wspomnienia o Corneliusie, szczęła. W tym nowym, niespodziewanym widzeniu nie było miejsca na przymieszkę cwaniackiego, złośliwego humorku rodem ze szkoły, koszar i pokładów. Nie było nic w Corneliusie, z czego można by się śmiać.

Praca w „Syntronics”. Zdawałoby się — idealnie dostosowana do człowieka: obciążać, wymagać, komplikować do granicy wytrzymałości. Mógł wreszcie wyswobodzić uwięzione w sobie musy. Dla nie wtajemniczonych wyglądało to znakomicie: stary praktyk, doświadczony nawigator przekazuje swoją najlepszą wiedzę automatom; cóż może być lepszego? A on miał przed sobą niewolników i nie musiał się powściągać, skoro nie byli ludźmi. Schodzący z taśmy komputer jest jak noworodek: tak samo zdatny do wszystkiego, a nic nie umie.

Pobieranie nauk jest wzrostem specjalizacji i zarazem utratą pierwotnego nieodróżnicowania. Na stanowisku kontroli komputer pełni rolę mózgu, gdy symulator jest naśladowcą ciała. Mózg podłączony do ciała — oto właściwa analogia.

Mózg musi orientować się w stanie i gotowości każdego mięśnia, podobnie komputer — ma znać stan okrętowych zespołów. Wysyła elektrycznymi drogami rojowiska pytań, jakby ciskał tysiące naraz piłeczek we wszystkie zakątki metalowego olbrzyma, i z echowych odpowiedzi tworzy sobie obraz rakiety i jej otoczenia. W tę niezawodność wkroczył człowiek cierpiący na lęk przed niespodziewanym i zwalczający go rytuałami natręctw. Symulator stał się narzędziem przymusu, wcieleniem jego lękowych zagrożeń. Działał w zgodzie z zasadą

naczelną: bezpieczeństwa. Czy to nie wyglądało na chwalebny gorliwość? Jak on się musiał starać! Normalny tok uznał niebawem za nie dość pewny. Im trudniejsza sytuacja statku, tym szybciej należy się o niej informować. Uważał, że tempo sprawdzania agregatów ma być skorelowane z wagą procedury. A ponieważ najważniejsza jest procedura lądowania... Czy zmienił program? Ani trochę, jak nie zmienia przepisów podręcznika kierowcy ten, kto sprawdza silnik auta co godzina zamiast raz dziennie. Toteż program nie mógł się mu opierać. Dążył w kierunku, w którym program nie miał zabezpieczeń, bo coś takiego nie przyszło do głowy żadnemu programiście. Jeżeli tak przeciążony komputer zawodził, Cornelius kierował go na powrót do działu technicznego. Czy zdawał sobie sprawę z tego, że zarządza je natręctwami? Chyba nie, był praktykiem, nie orientował się w teorii, skrupulat niepewności — takim był też wychowawcą maszyn. Przeciążał komputery, ale cóż — nie mogły się przecież skarżyć. Były to nowe modele, przypominające zachowaniem gracza w szachy. Komputer-gracz pobije każdego człowieka pod warunkiem, że jego pedagogiem nie będzie jakiś Cornelius. Komputer przewiduje ruchy partnera na dwa-trzy posunięcia naprzód; gdyby usiłował je przewidywać na dziesięć ciągów, udławiłby się nadmiarem możliwych wariantów, bo one rosną wykładniczo. Dla przewidzenia dziesięciu możliwych ruchów kolejnych na szachownicy nie wystarczy i trylionowość operacji. Takiego samoparalizującego się szachistę zdyskwalifikowałaby pierwsza rozgrywka. Na pokładzie rakiety nie było to zrazu widoczne: można obserwować tylko wejścia i wyjścia układu, nie to, co dzieje się w środku. W środku narastał tłok, na zewnątrz wszystko biegło normalnie — do czasu. A więc tak je układał — i takie repliki umysłu, który ledwo sprawnia się z realnymi zadaniami, bo tyle sobie wytworzył fikcyjnych — stanęły u steru stutysięczników. Każdy z tych komputerów cierpiał na syndrom anankastyczny: przymusowe powtarzanie operacji, komplikowanie czynności prostych, manieryzm, obrządkowość, uwzględnianie „wszystkiego naraz”. Nie naśladowały oczywiście lęku, a tylko strukturę właściwych mu reakcji; paradoksalne: to właśnie, że były nowymi, udoskonalonymi modelami o zwiększonej pojemności, przyczyniło się do ich zguby, ponieważ tak długo mogły przecież działać mimo stopniowego zadławiania obwodów sygnałowym tłokiem. Ale w zenicie Agathodaemona jakaś ostatnia kropla przepełniła czarę: może były nią pierwsze uderzenia wichury, wymagające błyskawicznych reakcji, ale zagwoźdzony lawiną, którą sam w sobie rozpętał, komputer nie miał już czym sterować. Przestał być urządzeniem czasu realnego, nie nadążał już z modelowaniem zająć rzeczywistych — tonął w urojeniach... Znajdował się naprzeciw olbrzymiej masy: tarczy planetarnej — i program nie pozwalał mu po prostu zrezygnować z kontynuowania procedury, raz wszczętej, chociaż zarazem kontynuować jej już nie mógł. Wyinterpretował

więc sobie planetę jako meteor leżący na kursie kolizyjnym, ponieważ to była ostatnia otwarta furтка, ponieważ taką jedyną ewentualność dopuszczał program. Nie mógł przekazać tego ludziom w sterowni, bo nie był przecież rozumującym człowiekiem! Rachował do końca, obliczał szansę: zderzenie było pewną zagładą, ucieczka — tylko w dziewięćdziesięciu kilku procentach, wybrał więc ucieczkę: awaryjny start!

Wszystko to układało się logicznie — lecz bez najmniejszego dowodu. Nikt nie słyszał dotąd o takim wypadku. Kto mógł potwierdzić przypuszczenia? Zapewne psychiatra, który leczył Corneliusa, i pomógł mu, a może tylko zezwolił, objąć tę pracę. Ale przez wzgląd na tajemnicę lekarską nie powiedziałby nic. Rozłamać ją mógłby tylko wyrok sądowy. Tymczasem „Ares” za sześć dni...

Pozostawał Cornelius. Czy domyślał się? Czy pojmował teraz, po tym, co się stało? Pirx nie potrafił się wczuć w sytuację starego dowódcy. Było to niedotykalne jak za ścianą ze szkła. Jeśli powstały w nim nawet jakieś wątpliwości, sam nie dopowie ich sobie do końca. Będzie się bronił przed takimi konkluzjami, to chyba oczywiste...

Rzecz wyjdzie przecież na jaw — po kolejnej katastrofie. Jeśli w dodatku „Anabis” wylądaje cało, rachuba czysto statystyczna — że zawiodły komputery, za które odpowiada Cornelius — skieruje podejrzenia w jego stronę. Zaczną brać pod lupę każdy szczegół i wtedy, po nitce do kłębka...

Ale nie można przecież czekać z założonymi rękami. Co robić? Wiedział dobrze: skasować całą pamięć maszynową „Aresa”, przekazać oryginalny program drogą radiową, informatyk pokładowy da sobie z tym radę w ciągu kilku godzin.

Ale by wystąpić z czymś takim, trzeba mieć w ręku dowody. Niechby tylko jeden. Niechby, na koniec, same poszlaki: ale on nie miał nic. Jedno wspomnienie, sprzed lat, jakiejś historii choroby, do góry nogami odczytanej w dwu wierszach... przezwiska i płoteczki... anegdoty, jakie opowiadano o Corneliusie... katalog jego dziwactw... Niepodobna wystąpić przed komisją z czymś takim jako dowodem schorzenia i przyczyna katastrofy. Jeśli nawet, rzucając takie oskarżenie, nie zważać na starego człowieka, to pozostaje „Ares”. Przez czas trwania operacji statek będzie jak ślepy i głuchy, skoro pozbawiony komputera.

Najważniejszy był „Ares”. Rozważał projekty już na pół szalone: jeśli nie może zrobić tego oficjalnie, czy nie wystartować i nie wysłać „Aresowi” ostrzeżenia i opisu tego myślowego śledztwa — z pokładu „Cuiviera”? Mniejsza o konsekwencje, ale to było zbyt ryzykowne. Nie znał dowódcy „Aresa”. Czy sam podporządkowałby się radom obcego człowieka w oparciu o takie hipotezy? Przy zupełnym braku dowodów? Wątpliwe...

Pozostawał więc już tylko sam Cornelius. Znał jego adres: Boston, zakłady

„Syntronics”. Ale jakże zażądać, by ktoś tak nieufny, pedantyczny i skrupulatny przyznał się do popełnienia właśnie tego, czemu usiłował przez całe życie zapobiec? Być może, po rozmowach w cztery oczy, po perswazjach, po wskazaniu na groźbę zawisłą nad „Aresem”, wyraziłby zgodę na to ostrzeżenie i poparłby je, bo był uczciwym człowiekiem. Ale w dyskusji prowadzonej między Marsem i Ziemią, z ośmiominutowymi pauzami, naprzeciw ekranu, a nie żywego rozmówcy, obruszyć takie oskarżenie na głowę bezbronnego, żądać, żeby się przyznał do zabójstwa —choć nieumyślnego — trzydziestu ludzi? Niemożliwe.

Siedział na łóżku ściskając jedną rękę w drugiej, jakby się modlił. Odczuwał bezmierne zdziwienie, że to możliwe: tak wszystko wiedzieć i tak nic nie móc! Objął wzrokiem książki na półce. Dopomogły mu — własną przegraną. Przegrali wszyscy, ponieważ spierali się o kanały, czyli o to, co rzekomo było na odległej plamce, w szklach teleskopów, a nie o to, co było w nich samych. Spierali się o Marsa, którego nie widzieli; widzieli dno własnych umysłów, z niego wylęgły się obrazy heroiczne i fatalne. W przestrzeń dwustu milionów kilometrów rzutowali własne rojenia — zamiast nad sobą się zastanowić. Także i tutaj każdy, kto pakował się w gąszcz teorii komputerów i w niej szukał przyczyn katastrofy, oddalał się od sedna rzeczy. Komputery były bezwonne i neutralne, tak samo jak Mars, do którego on też żywił jakieś bezsensowne pretensje, jak gdyby świat był odpowiedzialny za majaki, które usiłuje mu narzucić człowiek. Ale te stare książki zrobiły już wszystko, co mogły. Nie widział wyjścia.

Na ostatniej, dolnej półce była i beletrystyka; wśród kolorowych grzbietów wypełzły niebieskawy tom Poego. Więc i Romani go czytał? On sam nie lubił Poego za sztuczność języka, wymyślność wizji, która nie chciała się przyznawać do tego, że jest rodem ze snu. Ale dla Corneliusa była to prawie Biblia. Bezmyślnie wyjął ów tom, otworzył mu się w rękach na spisie rzeczy. Odczytał tytuł, który go poraził. Cornelius dał mu to raz, po wachcie, zachwalał tę opowieść o wykryciu mordercy fantastycznie wyreżyserowanym, nieprawdopodobnym sposobem. Potem on sam jeszcze chwalić ją musiał fałszywie — wiadomo, dowódca ma zawsze rację...

Najpierw tylko bawił się pomysłem, który go nawiedził, potem zaczął się do niego przymierzać. Było to trochę jak sztubacki kawał — a zarazem jak podły cios w plecy. Dzikie, niewydarzone, okrutne — ale kto wie, czy nie skuteczne w tej właśnie sytuacji: żeby wysłać w depeszy te cztery słowa. Być może te podejrzenia są jedną brednią, Cornelius, do którego odnosiła się historia choroby, to całkiem inny człowiek, a ten obciążał komputery dokładnie podług normatywów i do niczego nie może się poczuwać. Otrzymałszy taką depeszę, wzruszy ramionami, myśląc, że jego dawny podwładny pozwolił sobie na kretyński dowcip,

w najwyższym stopniu odrażający — ale też nic więcej nie pomyśli i nie uczyni. Jeśli jednak wiadomość o katastrofie wzbudziła w nim niepokój, nieokreślone podejrzenie, jeżeli już się po trosze zaczyna domyślać własnego udziału w nieszczęściu i stawia tym domysłom opór, cztery słowa depechy uderzą go jak grom. Poczuje się w oka mgnieniu przejrany na wylot — w tym, czego sam nie poważał się sformułować do końca, a zarazem winny: nie będzie mógł wtedy ująć już myśli o „Aresie” i o tym, co go czeka; gdyby nawet próbował się przed tym bronić, telegram nie da mu spokoju. Nie zdoła siedzieć z założonymi rękami, w biernym oczekiwaniu; telegram zajdzie mu za skórę, dobierze się do sumienia, a wtedy — co? Pirx znał go dostatecznie, by wiedzieć, że stary nie zgłosi się do władz, nie złoży zeznań, tak samo jak nie pocznie myśleć o najwłaściwszej obronie i sposobach umknienia odpowiedzialności. Jeżeli raz uzna, że ponosi odpowiedzialność, bez jednego słowa, w milczeniu, uczyni to, co uzna za właściwe.

A więc nie można tak postąpić. Jeszcze raz przeszedł wszystkie warianty — gotów iść do samego diabła, żądać rozmowy z van der Voytem, gdyby cokolwiek rokowała... Ale nikt nie mógł pomóc. Nikt. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby nie „Ares” i te sześć dni czasu. Nakłonienie psychiatry do zeznań; obserwacja sposobów, jakimi Cornelius testował komputery; sprawdzanie „Aresowego” komputera — wszystko to wymagało tygodni. A więc? Przygotować starego jakąś wiadomością zapowiadającą, że... Ale wówczas wszystko spali na panewce. Tamten znajdzie w obolałej psychice wybiegi, kontrargumenty, w końcu najuczciwszy człowiek świata też ma instynkt samozachowawczy. Pocznie się bronić albo raczej będzie po swojemu milczał wzgardliwie, gdy tymczasem „Ares”...

Doznawał uczucia zapadania się, wszystko odtrącało go, jak w tym innym opowiadaniu Poego, Studnia i wahadło, gdzie martwe otoczenie milimetr po milimetrze zaciska bezbronnego, popychając go ku otchłani. Jaka może być większa bezbronność od bezbronności cierpienia, które trafiło kogoś i za to właśnie ma się go podstępnie ugodzić? Jaka może być większa podłość?

Zaniechać? Milczeć? Pewno, że to było najłatwiejsze! Nikt nigdy nawet się nie domyśli, że miał w ręku wszystkie nici. Po kolejnej katastrofie sami wpadną na trop. Raz uruchomione śledztwo dotrze wreszcie do Corneliusa i...

Ale jeśli tak właśnie jest, jeśli nie osłoni starego dowódcy nawet zachowując milczenie... nie ma do tego prawa. Nic już więcej nie pomyślał, bo zaczął działać, jakby wyzbyty wszelkich wątpliwości.

Na parterze było pusto. W kabinie laserowej łączności siedział jeden tylko dyżurny technik: Haroun. Wysłał taką depechę: Ziemia, USA, Boston, „Syntronics

Corporation”, Warren Cornelius: THOU ART THE MAN. I podpisał się z dodatkiem: członek komisji do zbadania przyczyn katastrofy „Ariela”. Miejsce wysłania depeszy: Mars, Agathodaemon. To było wszystko. Wrócił do siebie i zamknął się. Ktoś pukał potem do drzwi, słychać było głosy, ale nie dał znaku życia. Musiał być sam, bo przyszły tortury myśli, jakich się spodziewał. Na to nie było już żadnej rady.

Czytał późną nocą Schiaparellego, żeby nie wyobrażać sobie po sto razy w różnych wariantach, jak Cornelius, unosząc szpakowate, nastroszone brwi, bierze do ręki depeszę z nagłówkiem Marsa, jak rozkłada szeleszczący papier i odsuwa od dalekowzrocznych oczu. Ze Schiaparellego nie rozumiał ani słowa; a kiedy odwracał stronicę, wybuchało w nim bezmierne zdumienie przemieszane z dziecinnym prawie żalem: jak to, więc to ja? ja — potrafiłem coś takiego zrobić?

Nie miał przecież wątpliwości: Cornelius tkwił w potrzasku jak mysz; brakło mu luzu, szpary dla najmniejszego uniku, nie dopuszczała go sytuacja samym swoim kształtem nadanym jej przez zgrupowanie zdarzeń; więc swoim spiczastym, wyraźnym pismem rzucił na papier kilka zdań wyjaśnienia, że działał w dobrej wierze, lecz bierze na siebie całą winę, podpisał się i o trzeciej trzydzieści — w cztery godziny po otrzymaniu depeszy — strzelił sobie w usta. W tym, co napisał, nie było jednego słowa o chorobie, żadnej próby usprawiedliwiania się, nic.

Jak gdyby zaakceptował czyn Pirxa tylko w tym, co się wiązało z ocaleniem „Aresa” i postanowił wziąć w tym ocaleniu udział — ale w niczym nadto. Jak gdyby wyraził mu jednocześnie rzeczową aprobatę i pełną wzgardę za tak zadany cios.

Być może zresztą Pirx mylił się. Jakkolwiek tkwi w tym pewna niewspółmierność, szczególnie dolegał mu we własnym uczynku jego koturnowo–teatralny styl, rodem z Poego. Podszedł Corneliusa jego umiłowanym pisarzem i w jego stylu, który mu brzmiał fałszywie, od którego się zżymał, bo nie upatrywał zgrozy życia w zwłokach powracających zza grobu, co wskazują okrwawionym palcem mordercę. Zgroza ta była, zgodnie z jego doświadczeniem, raczej szydercza niż malownicza. Towarzyszyła refleksji nad zmianą roli, jaką Mars odgrywał w dwu następujących po sobie epokach, kiedy z nieosiągalnej, czerwonej plamki na nocnym niebie, objawiającej na wpół czytelne znaki obcego rozumu, stał się terenem zwyczajnego życia, a więc mozolnych zmaganiań, politycznych konszachtów, intryg, światem uciążliwej wichury, zamętu i strzaskanych rakiet, miejscem, z którego można było nie tylko dostrzec poetycznie błękitną iskrę Ziemi, ale i ugodzić na niej śmiertelnie człowieka. Niepokalany, bo na wpół domyślny Mars wczesnej areografii szezeli,

pozostawiając po sobie tylko owe brzmiące jak formuły i zaklęcia alchemików — nazwy grecko-łacińskie, których materialne podłoże deptało się ciężkimi butami. Zaszła nieodwołalnie za horyzont epoka wysokich sporów teoretycznych i ginąc ukazała dopiero swoje prawdziwe oblicze — marzenia żywiącego się własną niespełnialnością. Pozostał tylko Mars żmudnych prac, ekonomicznej rachuby i takich szarobrudnych świtów jak ten, w którym poszedł na obrady komisji z dowodem w ręku.

STO TRZYDZIEŚCI SIEDEM SEKUND

Panowie, wskutek braku czasu i nie sprzyjających okoliczności większość ludzi schodzi z tego świata, nie zastanowiwszy się nad nim. Z kolei tacy, co próbują to robić, doznają zawrotu głowy i zajmują się czymś innym. Ja do nich należę. W miarę tego, jak robiłem karierę, ilość miejsca, poświęcanego mojej osobie we Who's Who rosła z latami, lecz ani w wydaniu ostatnim, ani w następnych nie będzie powiedziane, czemu porzuciłem dziennikarstwo. To właśnie będzie tematem mojej historii, której zresztą w innych okolicznościach na pewno bym nie opowiedział.

Znałem zdolnego chłopca, który postanowił zbudować czuły galwanometr, i udało mu się to zbyt dobrze. Przyrząd poruszał się nawet, kiedy nie było prądu, bo reagował na drgania skorupy ziemi. Anegdota ta może być mottem mojej opowieści. Byłem wtedy nocnym redaktorem zagranicznego serwisu UPI. Przetrzymałem tam wiele, między innymi automatyzację redagowania gazet. Rozstałem się z żywymi metrapażami, żeby pracować z komputerem IBM 0161, specjalnie przystosowanym do roboty redakcyjnej. Prawdziwie żałuję, że nie urodziłem się ze sto pięćdziesiąt lat temu. Historia moja zaczynałaby się od słów „uwiodłem hrabinę de...”, a gdybym przeszedł do tego, jak, wyrwawszy woźnicy lejce z rąk, jałem okładać konie, by ująć pogoni zbirów, nasadzonych przez zazdrosnego męża, nie musiałbym wam tłumaczyć ani co to jest hrabina, ani na czym polega uwiedzenie. Dziś nie ma tak dobrze. Komputer 0131 nie jest mechanicznym metrapażem. Jest to demon szybkości, powściągany sztuczkami inżynierów po to, żeby człowiek mógł mu dotrzymać kroku. Komputer ten zastępuje dziesięciu do dwunastu ludzi. Jest bezpośrednio połączony z setką dokumentów, tak że to, co nasi korespondenci wystukują w Ankarze, w Bagdadzie, w Tokio, w tej samej chwili dostaje się do jego obwodów. Porządkuje to i ciska na ekran kolejne projekty stronic wydania porannego. Między północą a trzecią nad ranem — godziną zamknięcia numeru — może sporządzić i pięćdziesiąt rozmaitych wariantów wydania. Do dyżurnego redaktora należy decyzja, który wariant pójdzie na maszyny. Metrapaż, który by miał wykonać nie pięćdziesiąt, ale pięć projektów łamania numeru, zwariowałby. Komputer pracuje milion razy szybciej niż każdy z nas. to znaczy, mógłby tak pracować, gdyby mu tylko pozwolono. Zdaję sobie sprawę z tego, jak wiele uroku mojej historii niszczy takimi uwagami. Ile zostałoby z uroków hrabiny, gdybym, zamiast unosić się nad nią—oastrową karnacją jej piersi, mówił o ich składzie chemicznym? Żyjemy w czasach fatalnych dla

gawędziarzy, bo to, co opowiadają przystępnie, jest anachroniczną starocia, a to, co mówią rewelacyjnie, wymaga całych stron encyklopedii i podręcznika uniwersyteckiego. Ale na to przekleństwo nikt nie wynalazł lekarstwa. A jednak współpraca z moim IBM była fascynująca. Gdy przybywa nowa wiadomość — dzieje się to w okrągłym wielkim pokoju, pełnym bezustannego stukania dalekopisów — komputer od razu włamuje ją próbnie w makietę strony. Oczywiście tylko na ekranie. Wszystko jest gra elektronów, światłem i cieniem. Niektórzy żałują ludzi na tych straconych stanowiskach. Ja ich tam nie żałowałem. Komputer nie ma ambicji, nie denerwuje się, jeżeli pięć przed trzecią brak ostatniego doniesienia, nie ma domowych zmartwień, nie pożyczka przed pierwszym, nie męczy się i nie daje też do zrozumienia, że wszystko wie lepiej, a zwłaszcza nie obraża się, kiedy to, co włamał do czołówki, każe mu się wyrzucić nonparelem na ostatnią stronę. Zarazem jest niesłychanie wymagający: nie od razu można się w tym rozeznąć. Gdy mu się powie „nie”, jest to „nie” ostateczne, bezapelacyjne, jak wyrok tyrana: przecież nie może się sprzeciwić! Ale ponieważ nigdy się nie myli, błędy wydania porannego mają tylko jednego autora: jest nim zawsze człowiek. Konstruktorzy IBM pomyśleli absolutnie o wszystkim, z wyjątkiem tego drobiazgu, że bez względu na to, jak są wyważone i osadzona, dalekopisy zawsze drżą, podobnie jak bardzo szybka maszyna do pisania. Wskutek tych drgań kable, łączące dalekopisy redakcyjne z komputerem, mają tendencję obluźowywania się, a wreszcie wtyczki wypadają z gniazdek. Dzieje się to rzadko, ot, raz czy dwa na miesiąc. Fatyga, bo trzeba wstać i wetknąć wtyczkę z powrotem, jest w końcu tak mała, że nikt nie pokwapił się z żądaniem zmiany kontaktów. Każdy z nas, dyżurnych, myślał o tym, ale bez większego przekonania. Być może, teraz już zostały zmienione. Jeśli tak się stało, odkrycie, o którym wam opowiem, nie będzie powtórzone.

Było to w willę Bożego Narodzenia. Miałem numer gotowy tuż przed trzecią — lubiłem wyrobić sobie taką choć kilkuminutową rezerwę czasu, ot, żeby odsapnąć i zapalić fajkę. Miałem przyjemne uczucie, że to nie na mnie czeka rotacja, ale na ostatnie doniesienie — w ową Wilię szło o wiadomości z Iranu, gdzie rankiem było trzęsienie ziemi. Agencje podały tylko fragment depeszy korespondenta, bo po pierwszym wstrząsie przyszedł następny, tak silny, że zniszczył łączność kablową. Ponieważ i radio milczało, sądziliśmy, że radiostacja jest w gruzach. Liczyliśmy na naszego człowieka, był nim Stan Rogers, mały jak dżokej, i korzystał z tego nieraz, żeby dostać się na pokład jakiegoś helikoptera wojskowego, kiedy nie było już miejsca, robiono dla niego wyjątek, bo ważył nie więcej niż walizka. Ekran wypełniała makietka strony tytułowej z ostatnim pustym białym prostokątem. Połączenia z Iranem wciąż były przerwane. Wprawdzie kilka dalekopisów jeszcze młóciło, ale odgłos, z

jakim włączył się turecki, od razu rozpoznałem. Jest to kwestia wprawy, której nabywa się automatycznie. Zdziwiło mnie, że biały prostokąt pozostawał pusty, chociaż słowa winny były się ukazać na nim w tym samym tempie, w jakim wybijał je dalekopis, ale ta pauza nie trwała dłużej niż sekundę czy dwie. Potem cały tekst doniesienia, zresztą bardzo zwięzłego, zmaterializował się od razu, co też mnie zaskoczyło. Znam go na pamięć. Nagłówek był już gotowy; pod nim szły zdania: „W Sherabadzie powtórzyły się dwukrotnie wstrząsy podziemne o sile siedmiu i ośmiu stopni między dziesiątą a jedenastą czasu miejscowego. Miasto legło w gruzach. Liczbę ofiar ocenia się na tysiąc, bezdomnych zaś na sześć tysięcy”.

Rozległ się brzęczyk, którym alarmowała mnie drukarnia: minęła właśnie trzecia. Ponieważ tak lakoniczny tekst pozostawiał nieco wolnego miejsca, rozwodniłem go dwoma dodatkowymi zdaniami i nacisnąwszy klawisz, strąciłem gotowy numer do drukarni, gdzie, przekazany wprost linotypom, składał się, żeby pójść na rotację.

Nie miałem już nic do roboty, wstałem więc, wyprostowałem kości i zapalając fajkę, która zgasła, dostrzegłem leżący na podłodze kabel. Wypadł z kontaktu. Należał do dalekopisu z Ankary. A właśnie z tego dalekopisu skorzystał Rogers. Gdy go podnosiłem, przemknęła mi przez głowę bezsensowna myśl, że leżał już tak, zanim odezwał się dalekopis. Oczywiście było to absurdalne, bo jakże komputer mógłby bez połączenia z dalekopisem podać tę wiadomość? Powoli podszedłem do dalekopisu, urwałem papier z wystukany komunikatem i podniosłem go do oczu. Od razu wydał mi się trochę odmiennie sformułowany, ale odczuwałem zmęczenie, byłem rozbity, jak zwykle o tej porze i nie dowierzałem pamięci. Włączyłem jeszcze raz komputer, żądając ukazania czołowej strony i porównałem oba teksty. Rzeczywiście różniły się między sobą, jakkolwiek nieznacznie. Dalekopisowy brzmiał: „Między godziną dziesiątą i jedenastą czasu lokalnego doszło do dwóch następnych wstrząsów w Sherabadzie o sile siódmego i ósmego stopnia. Miasto jest całkowicie zburzone. Liczba ofiar przekracza pięćset, a pozbawionych dachu nad głową — sześć tysięcy”.

Stałem, gapiąc się raz na ekran, a raz na papier. Nie wiedziałem, co myśleć ani co robić. Sensami oba teksty pokrywały się prawie doskonale, jedyną rzeczową różnicą była liczba ofiar śmiertelnych, bo Ankara podała ich pięćset, a komputer ją zdublował. Zachowałem w każdym razie zwykły refleks dziennikarza i połączyłem się od razu z drukarnią.

— Słuchaj — powiedziałem do Langhorne’ a, on był wtedy dyżurnym linotypistą — złapałem błąd w komunikacie irańskim, pierwsza strona, trzecia szpalta, ostatni wiersz, ma być: nie — tysiąc — —

Urwałem, ponieważ dalekopis turecki obudził się i zaczął wystukiwać: „Uwaga. Ostatnie doniesienie. Uwaga. liczbę ofiar trzęsienia oceniają teraz na tysiąc. Rogers. Koniec”.

— No. co tam? Więc jak ma być? — wołał z dołu Langhorne. Westchnąłem.

— Przepraszam cię, chłopie — powiedziałem — nie ma żadnego błędu. Moja wina. Wszystko w porządku. Ma iść tak, jak jest.

Odłożyłem szybko słuchawkę, podszedłem do dalekopisu i przeczytałem ten dodatek ze sześć razy. Za każdym coraz mniej mi się to podobało. Miałem wrażenie, bo ja wiem, jakby podłoga miękła mi pod stopami. Obszedłem dookoła komputer, przyglądając mu się z nieufnością, w której było niechybnie trochę strachu. Jak on to zrobił? Nie rozumiałem nic i czułem, że im dłużej będę się nad tym zastanawiał, tym mniej będę pojmował.

W domu, w łóżku, nie mogłem zasnąć. Usiłowałem, przede wszystkim ze względów higieny psychicznej, zakazać sobie myślenia o tej dzikiej historii. Pod względem rzeczowym był to w końcu drobiazg. Wiedziałem, że nie mogę o tym nikomu powiedzieć: nikt by mi nie uwierzył. Wzięto by to za kawał, do tego naiwny i lichy. Dopiero kiedy, przewracawszy się w łóżku, postanowiłem wziąć rzeczy pod lupę, to znaczy zająć się systematycznie badaniem reakcji komputera na odłączanie dalekopisów, poczułem coś w rodzaju ulgi, przynajmniej na tyle, że udało mi się zasnąć. Zbudziłem się w dość optymistycznym nastroju i diabli wiedzą, skąd przyniosłem na jawę rozwiązanie zagadki, a przynajmniej coś, co mogło uchodzić za rozwiązanie.

Pracując, dalekopisy drżą. Od ich dygotu wypadają wszak nawet wtyczki z gniazdek kablowych. Czy nie może to być źródłem zastępczej sygnalizacji? Nawet ja, z moimi nędznymi i powolnymi zmysłami człowieka, potrafiłem ułoić różnice dźwięku poszczególnych dalekopisów. Paryski poznawałem, gdy ruszał, po tym, że miał tak wyraźne metaliczne uderzenia. Jeśli więc odbiornik będzie setki razy czulszy, chwyci nawet te znikome różnice, jakie zachodzą pomiędzy uderzeniami poszczególnych literowych klawiszy. Zapewne, nie jest to możliwe w stu procentach, i właśnie dlatego komputer nie powtórzył dalekopisowego tekstu słowo w słowo, lecz trochę go przeinaczył stylistycznie: po prostu pouzupełniał sam to, czego zabrakło mu jako informacji. Co do liczby ofiar, był wszak z pochodzenia matematyczną maszyną: pomiędzy ilością zburzonych domów, porą dnia, w której występuje trzęsienie, i liczbą ofiar śmiertelnych muszą istnieć korelacje statystyczne: przepuściwszy cyfrę, komputer, być może, posłużył się swymi umiejętnościami wykonywania błyskawicznych rachunków, z nich wzięło mu się owych tysiąc ofiar. Nasz korespondent, który nie przeprowadzał żadnych obliczeń, przekazał liczbę szacunkową, jaką mu podano na miejscu, a niedługo potem, uzyskawszy dokładniejszą informację, posłał to końcowe

sprostowanie. Komputer okazał się górą dlatego, ponieważ nie opierał się na pogłoskach. lecz na ścisłym materiale statystycznym, którego moc tkwiła w jego ferrytowej pamięci. Rozumowanie to uspokoiło mnie całkowicie. IBM 0161 nie jest przecież biernym przekaźnikiem; jeśli obsługujący dalekopis zrobi błąd ortograficzny czy gramatyczny. błąd ten pojawia się na ekranie, aby w ułamku sekundy zostać zastąpionym przez właściwą formę wyrażenia. Czasem zachodzi to tak szybko, że człowiek nie potrafi go dostrzec i przekonuje się o wprowadzonej poprawce dopiero później, kiedy porówna tekst wystukany z tym, który komputer podał na ekranie. IBM nie jest nawet samym tylko automatycznym metrapażem, ponieważ ma połączenia z siecią komputerową, zarówno agencji jak bibliotek. . można od niego zażądać danych, którymi natychmiast wzbogaca się zbyt chude komunikaty. Jednym — słowem wytłumaczyłem sobie wszystko bardzo dobrze, jakkolwiek nadal zamierzałem zrobić parę małych dalszych doświadczeń na własną rękę podczas najbliższego dyżuru, lecz nie mówić o nich nikomu ani o tej historii z wigilijnej nocy. bo tak było rozsądniej.

Okazji mi nie brakowało. Już dwa dni potem znów siedziałem w sali zagranicznego serwisu i gdy Bejrut rozpoczął przekazywanie wiadomości o zaginięciu łodzi podwodnej szóstej floty na Morzu Śródziemnym, wstałem i nie spuszczać z oczu ekranu, na którym pojawiały się w szybkim tempie słowa tekstu, płynnym, ukradkowym ruchem wyjąłem wtyczkę z gniazdka. Przez część sekundy tekst nie rozrastał się. lecz trwał urwany w półslowie, zupełnie, jakby komputer, zaskoczony, nie wiedział, co począć. Lecz to porażenie trwało doprawdy moment; niemal natychmiast następne wyrazy poczęły wyskakiwać na białym tle, ja zaś gorączkowo porównywałem je z tekstem, wybijanym przez dalekopis. Powtórzyła się znana mi już rzecz — komputer podawał dalekopisowy komunikat, tyle że trochę odmiennymi słowami: „rzecznik szóstej floty oświadczył” — zamiast „powiedział”. „poszukiwania trwają”, zamiast „są w toku”; jeszcze kilka podobnych drobiazgów odróżniało oba teksty.

Szczególne z jaką łatwością człowiek przy wyka do niezwykłego, jeśli tylko chwyci jego mechanizm — albo jeśli mu się chociaż wydaje, że go uchwycił. Miałem już wrażenie, że bawię się komputerem jak kot myszą, że go nabieram, że panuję w pełni nad sytuacją. Makieta numeru świeciła jeszcze licznymi łysinami i teksty, które miały je wypełnić, przychodziły teraz, w informacyjnym szczycie, po kilka naraz. Wyszukiwałem po kolei właściwe kable z ich pęków i wyjmowałem wtyczki jedną po drugiej, aż zostałem z sześcioma czy siedmioma w garści. Komputer pracował najspokojniej w świecie dalej, choć nie był już połączony z żadnym dalekopisem. Ani chybi, powiedziałem sobie, rozróżnia po drganiach wystukiwane litery i słowa, a czego nie odtworzy od razu, tego się dopracuje

błyskawiczną ekstrapolacją czy innym ze swych matematycznych sposobów. Działalem jak w transie; skupiony, oczekiwałem ocknięcia się kolejnego dalekopisu — a gdy zagrał rzymski, pociągnąłem za kabel, ale tak mocno, że gdy wtyczka została mi w ręce, jednocześnie wypadła i druga, ta, poprzez którą zasilany jest sam dalekopis, więc naturalnie zamarł. Już ruszyłem, żeby wetknąć ją do kontaktu, gdy coś mnie tknęło i rzuciłem okiem na ekran.

Dalekopis rzymski był martwy, lecz komputer w najlepsze wypełniał miejsce przeznaczone dla włoskiego kryzysu rządowego „ostatnim doniesieniem”. Z zapartym tchem, czując, że znów dziwne rzeczy robią się z podłogą i moimi kolanami, podszedłem do ekranu i niewinne słowa: „powołał na premiera Battistę Castellaniego”... czytałem jak depezę z tamtego świata. Czym prędzej połączyłem dalekopis rzymski z głównym kablem dosyłowym, aby czytać oba teksty. O, teraz już różnice między nimi były znacznie większe, lecz komputer nie odchylił się od prawdy, to jest od treści komunikatu. Premierem rzeczywiście został Castellani, ale zdanie to występowało w innym kontekście i o cztery wiersze niżej niż na ekranie. Wrażenie odniosłem takie, jak gdyby dwóch dziennikarzy, dowiedziawszy się, niezależnie od siebie, tego samego, swobodnie zredagowało, każdy po swojemu, tekst notatki; z miękkimi kolanami usiadłam, żeby ostatni raz podratować moją hipotezę, ale czułem już, że będzie to daremna próba. Cała moja racjonalizacja zawaliła się w jednej chwili; bo i jakże mógł komputer odczytywać drgnienia dalekopisu, który był głuchy i martwy jak pień? A przecież nie był w stanie wychwycić drgnień tego dalekopisu, na którym w Rzymie pracował nasz korespondent! Poczułem zawrót głowy. Gdyby ktoś wszedł, wzbudziłbym podejrzenia Bóg wie jakie — spocony, ze skaczącym wzrokiem, z garścią kabli, które jeszcze ścisakałem w spoconych rękach, jak zbrodniarz, pochwycony na gorącym uczynku. Czułem się jak szczur, przyparty w kącie, i zareagowałem jak zrozpaczony szczur — bo zacząłem gwałtownie odłączać wszystkie dalekopisy, tak że po chwili stukot ostatniego zamarł — i zostałem w śmiertelnej ciszy z moim komputerem. Wtedy stała się dziwna rzecz: może jeszcze bardziej zdumiewająca niż to, co zaszło dotąd. Chociaż makietą numeru nie była jeszcze wypełniona, przyrastanie tekstów wyraźnie osłabło. Co więcej, w nowym, spowolnionym tempie pojawiały się zdania, wyzbyte ściśle treści, jałowe, jednym słowem tak zwana wata. Przez dobrą chwilę sznureczki wierszy pełzały jeszcze w ekranie na swoje miejsca, aż znieruchomiały — wszystkie. Kilka tekstów nabrało absurdalnie komicznego charakteru, była tam notatka o meczu piłkarskim, w której zamiast ostatecznego wyniku figurował pusty frazes o dzielnej postawie graczy obu drużyn. Kolejne wiadomości z Iranu załamywały się stwierdzeniem, że trzęsienia ziemi są zjawiskami skali kosmicznej, bo występują nawet na Księżycu. Brzmiało to ni w pięć, ni w dziesięć. Tajemnicze źródła, z których komputer

czepał dotąd ściśle natchnienie, wyschły.

Moim pierwszym zadaniem było, oczywiście, złamać numer, więc podłączyłem w największym pośpiechu dalekopisy i o tym, co się rozegrało przede mną, mogłem porozmyślać dopiero po trzeciej, kiedy maszyna rotacyjna ruszyła. Wiedziałem, że nie zaznam spokoju, dopóki nie zejść do korzeni tego fascynującego pokazu sprawności, z nie mniej zaskakującym jej załamaniem. Laikowi nasuwa się jako pierwsza myśl, że należałoby po prostu zadać odpowiednie pytania samemu komputerowi: skoro taki mądry, a zarazem taki bezwzględnie posłuszny, niechże wyjawi, w jaki sposób, dzięki jakim mechanizmom pracował, odłączony, a także, co tę pracę potem zahamowało. Myśl tę zasadziły nam w głowach popularne bajania o elektrycznych mózgzach, bo z komputerem nie można rozmawiać jak z człowiekiem, wszystko jedno, mądrym czy głupim: przecież on w ogóle nie jest osobą! Z równym skutkiem można by się spodziewać, że maszyna do pisania powie nam, gdy zepsuta, gdzie i jak ją naprawić. Komputer przetwarza informację, do której nie ma żadnego sensownego stosunku. Zdania, które wypływa, są jak pociągi, jadące po szynach składni. Jeżeli się wykołują, oznacza to, że coś działa w nim niewłaściwie, ale on nic o tym nie wie. dla wystarczającej przyczyny, że „on” można mówić o komputerze tylko jak o lampie czy stołku. Nasz IBM umiał samodzielnie formułować i przeformułowywać teksty stereotypowych komunikatów prasowych, nic więcej. O tym, jaką wagę mają poszczególne teksty, zawsze musi decydować człowiek. IBM potrafił skomplikować dwie uzupełniające się informacyjnie notatki w jedną albo dobrać frazeologiczny wstęp do doniesienia czysto rzeczowego, na przykład do depeszy, dzięki gotowym wzorcom takich postępowań, których miał utrwalone setki tysięcy. Ten wstęp odpowiadał treści depeszy tylko dzięki temu, że IBM dokonywał jej analizy statystycznej, wychwytyjąc tak zwane kluczowe słowa; jeśli więc w depeszy powtarzały się terminy „bramka”, „karny”, „drużyna przeciwnika”, dobierał coś z repertuaru sportowych zawodów; komputer jest, jednym słowem, jak kolejarz, który potrafi we właściwy sposób przedstawiać zwrotnice, łączyć wagony i wysyłać pociągi we właściwym kierunku, jakkolwiek nie zna ich zawartości. Orientuje się w cechach słów, zdań, fraz, czysto zewnętrznych, tych, co są podległe matematycznym operacjom rozbiórki i składania. Nie mogłem się więc spodziewać po nim żadnej pomocy.

Tę noc spędziłem w domu bezsennie na rozmyślaniach. W produkcji komputera dostrzegałem taką prawidłowość: im dłużej był odłączony od źródeł informacji, tym gorzej ją rekonstruował. To mi się wydawało nawet dosyć zrozumiałe, jeśli zważyć, że pracuję w dziennikarstwie od dwudziestu paru lat. Jak wiecie, redakcje takich dwóch wysokonakładowych tygodników jak „Time” i „Newsweek” są od siebie zupełnie niezależne.

Łączy je, przy redagowaniu poszczególnych numerów, to tylko, że znajdują się w tym samym świecie i w analogicznym czasie dysponują bardzo zbliżonymi źródłami informacji. Ponadto zwracają się do wielce upodobnionych czytelników. Toteż wcale nie jest zaskakujące podobieństwo mnóstwa zawartych w nich artykułów. Wynika ono ze swoistej doskonałości przystosowania do rynku, jaką osiągnęły oba te rywalizujące z sobą zespoły. Umiejętności pisania przeglądów wydarzeń w jednym kraju albo w skali jednego tygodnia na całym globie można się nauczyć, a jeśli się pisze z podobnych pozycji — mianowicie elity dziennikarskiej Stanów Zjednoczonych — dysponuje się podobnym wykształceniem, analogiczną informacją, i operuje się nią, celując w uzyskanie optymalnego efektu u czytelnika — to nic dziwnego, że teksty, układane niezależnie i równolegle, przypominają nieraz bliźniacze pary. Podobieństwa nie sięgają nigdy aż pojedynczych zdań, lecz nastawienie, ton, intensywność afektacji, rozłożenie akcentów, uwypuklenie pewnych szczegółów drastycznych, przeciwstawianie kontrapunktowe rysów — np. w sylwetce jakiegoś polityka — czyli to wszystko, co służy przykuwaniu uwagi czytelnika i sugerowaniu mu, iż znajduje się u źródła najświetniejszej informacji, stanowi ryzsztunek chwytów każdego biegłego dziennikarza. W pewnym sensie nasz IBM był sam „makieta;” takiego właśnie reportera. Znał sposoby i chwytły, umiał więc to, co każdy z nas. Dzięki rutynie, którą weń wprogramowano, został geniuszem chwytliwej frazeologii, szokującego zestawienia danych, ich najkorzystniejszego wyeksponowania; o wszystkim tym wiedziałem, ale wiedziałem też, że jego koncert nie daje się sprowadzić do takich wyjaśnień. Dlaczego, odłączony od dalekopisów, był tak sprawny? Dlaczego ta sprawność tak szybko go opuszczała? Dlaczego zaczynał potem bredzić? Jeszcze mi się roilo, że potrafię sam znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Przed następnym dyżurem zatelefonowałem do naszego korespondenta w Rio de Janeiro, prosząc go, aby na początku nocnego serwisu przysłał nam króciutką fałszywą wiadomość o wyniku pięściarskiego spotkania Argentyny i Brazylii. Miał podać wszystkie zwycięstwa Brazylijczyków jako argentyńskie i na odwrót. W czasie naszej rozmowy wyniki spotkania nie mogły być znane; mecz rozpoczynał się późnym wieczorem. Dlaczego zwróciłem się właśnie do Rio? Ponieważ prosiłem o przysługę z zawodowego punktu widzenia niesłychaną, a Sam Gernsback, który był tam naszym korespondentem — to mój przyjaciel, z owego rzadkiego, najcenniejszego gatunku nie pytających o nic.

To, czego doświadczyłem dotąd, pozwalało przypuszczać, że komputer powtórzy fałszywy komunikat: ten, który Sam wystuka na swoim dalekopisie (nie będę skrywał, że miałem już na ów temat hipotezę; wyobrażałem sobie mianowicie, że dalekopis staje się jakby nadajnikiem radiowym, a jego kable pełnią funkcję anteny; mój komputer, tak

myślałem, potrafi wychwycić fale elektromagnetyczne, tworzące się wokół kabli, pograżonych w ziemi, ponieważ jest widać dostatecznie czułym odbiornikiem).

Natychmiast po wysłaniu fałszywej wiadomości miał ją Gernsback sprostować; pierwszą oczywiście zniszczyłbym, aby po niej i śladu nie zostało. Plan, który wymyśliłem, zdawał mi się niezwykle wyrafinowany. Żeby zaś doświadczenie nabrało charakteru krzyżowego, postanowiłem do przerwy w meczu utrzymać normalne połączenie dalekopisu z komputerem, a po przerwie dalekopis odłączyć. Nie będę się bawił w opisywanie moich przygotowań, emocji, atmosfery tej nocy, a tylko powiem wam, co zaszło. Komputer podał, to jest, włamał w makietę numeru wyniki spotkania fałszywie do przerwy, i zgodnie z prawdą — po niej. Czy rozumiecie, co to znaczyło? Dopóki był zdany na dalekopis, w ogóle niczego nie rekonstruował ani „nie kombinował” — powtarzał po prostu litera w literę to, co było kablowane z Rio. Odłączony, przestał zważać na dalekopis, a zarazem i na kable, które miały w myśl moich przypuszczeń pełnić rolę anteny radiowej — podał po prostu rzeczywiste wyniki spotkania! To, co w tym czasie wystukiwał Gernsback, nie miało dla mego IBM najmniejszego znaczenia. Ale to nie wszystko. Podał właściwie rezultaty wszystkich spotkań — pomylił się za to przy ostatnim — w wadze najcięższej. Jedno okazało się pewne niezbiecie: w momencie odłączenia przestawał być w ogóle zależny od dalekopisu, tego u mnie i tego w Rio. Uzyskiwał wiadomości jakąś zupełnie inną drogą.

Kiedy spotniały, z wygasłą fajką, nie mogłem jeszcze przetrwać tego, co widziałem, brazylijski dalekopis oderwał się: Sam podał właściwe wyniki, jak było umówione. t w końcowym doniesieniu wprowadził do listy poprawkę: rezultat walki w wadze ciężkiej odmienił się po ostatecznym werdykcie sędziów, którzy uznali, że waga rękawic Argentyńczyka — zwycięzcy na ringu — była nieprzepisowa.

Tak więc komputer nie pomylił się ani raz. Potrzebna mi była jeszcze jedna wiadomość, którą zdobyłem po zamknięciu numeru, telefonując do Sama; już spał u siebie i zbudzony klął jak szewc; łatwo mogłem go zrozumieć, bo pytania, jakimi go zasypałem, wyglądały na błahe, a właściwie na idiotyczne po prostu: o której godzinie ogłoszono wynik walki w wadze ciężkiej i w jaki czas potem sędziowie zmienili werdykt? Sam powiedział mi wreszcie jedno i drugie. Walkę unieważniono prawie natychmiast, przy obwieszczeniu zwycięstwa Argentyńczyka, ponieważ sędzia, podnosząc jego rękę, jako zwycięzcy, wyczuł przez skórę rękawicy ciężarek, poprzednio ukryty pod warstwą plastyku, który obluźował się i przesunął podczas walki. Sam wybiegł do telefonu przed ową sceną, w chwili gdy wyliczony Brazylijczyk został na deskach, bo chciał jak najprędzej przekazać wiadomość. A zatem komputer nie zawdzięczał swojej wiedzy odczytaniu myśli Sama, bo podał prawdziwy

wynik walki, kiedy Sam go jeszcze nie znał.

Bez mała pół roku robiłem ze nocne eksperymenty i dowiedziałem się niejednego, choć nadal nic nie rozumiałem. Odłączony od dalekopisu, komputer najpierw zastygał na dwie sekundy, potem podawał dalszy ciąg komunikatu — przez sto trzydzieści siedem sekund. Do tego momentu wiedział o zdarzeniu wszystko, a potem już nic. Być może jeszcze bym to jakoś strawił, ale odkryłem rzecz gorszą. Komputer przewidywał przyszłość, i to nieomylnie. Nie miało dlań żadnego znaczenia to, czy podawana informacja dotyczy zdarzeń, które już zaszły, czy takich, które dopiero nastąpią — byle mieściły się w granicach dwóch minut i siedemnastu sekund. Jeżeli wystukiwałem mu na dalekopisie informację wymyśloną, powtarzał ją posłusznie, a po wyjęciu kabla od razu milkł; umiał więc kontynuować opisywanie tego tylko, co gdzieś naprawdę zachodziło, a nie tego, co ktoś sobie pomyślał. Taki przynajmniej wyciągnąłem wniosek i wpisałem go do notatnika, z którym się nie rozstawałem. Powoli przywykłem do jego zachowania i sam nie wiem, kiedy zaczęło mi się ono kojarzyć z zachowaniem psa. Jak psa należało go najpierw wprowadzić na konkretny trop, dać mu niejako do porządnego obwąchania początek serii zajęć, niby śladów, tak jak pies. potrzebował chwili czasu, żeby sobie utrwalić dane, a gdy dostał ich zbyt mało, milkł albo wykręcał się ogólnikami, czy wreszcie wchodził na trop fałszywy. Mylił z sobą na przykład różne miejscowości o tej samej nazwie, jeśli nie określiłem jednej w sposób całkowicie jednoznaczny. Jak psu. było mu zupełnie wszystko jedno, jakim pójdzie tropem, ale gdy już się na nim znalazł, był niezawodny — w ciągu stu trzydziestu siedmiu sekund.

Nasze nocne sesje, odbywające się zawsze między trzecią i czwartą nad ranem, nabrały charakteru śledczych przesłuchań. Usiłowałem przypierać go do muru, wynaleźć taktykę krzyżowych pytań, a raczej wykluczających się alternatyw, aż wpadłem na pomysł, który, przy swej prostocie, wydał mi się rewelacyjny. Jak pamiętacie, Rogers doniósł o trzęsieniu ziemi w Sherabadzie z Ankary, więc nadawca komunikatu nie musiał tkwić dokładnie tam, gdzie działo się opisywane; dopóki jednak szło o wypadki ziemskie, nie można było wykluczyć tego, że ktoś, człowiek, czy zwierzę chociażby, jest ich obserwatorem, i że komputer potrafi jakoś z tego skorzystać. Postanowiłem sfingować początek komunikatu dotyczącego miejsca, w którym nie ma i nigdy nie było żadnego człowieka, bo szło o Marsa. Podąłem mu więc współrzędne areograficzne samego środka Syrtis Minor i doszedłszy do słów „obecnie na Syrtis Minor panuje dzień; obserwując otoczenie, widzimy —” — targnąłem za kabel, wrywając go z gniazdka. Po sekundowej pauzie komputer dokończył „planetę w promieniach słońca” — i to było wszystko. Przeformułowałem ten początek z dziesięć razy na różną modłę, ale nie wycisnąłem z niego ani jednego wyraźnego szczegółu,

wciąż rozpływał się w ogólnikach. Uznałem, że jego wszechwiedza nie sięga planet, a chociaż sam nie wiem dobrze czemu, zrobiło mi się od tego jakby nieco lżej.

Co miałem robić dalej? Mogłem oczywiście wystrzelić sensacją pierwszej wody, zdobywając rozgłos i niezły grosz; ani przez chwilę nie brałem tej ewentualności poważnie. Czemu? Sam nie wiem dobrze. Może dlatego, że rozgłos, nadany zagadce, najpierw mnie wytrącił z jej kręgu; mogłem sobie wyobrazić tłumy techników, które wtargnęłyby do nas, ekspertów, porozumiewających się swoim zawodowym żargonem: bez względu na to, do czego by doszli, zostałbym natychmiast wyeliminowany ze sprawy jako mąciwoda i laik. Mógłbym już tylko opisywać przeżyte wrażenia, udzielać wywiadów i inkasować czeki. Otóż na tym akurat najmniej mi zależało. Gotów byłem podzielić się z kimś tajemnicą, ale nie zrezygnować z niej zupełnie. Postanowiłem więc przyciągnąć do współpracy dobrego fachowca, któremu mógłbym stuprocentowo zaufać. Znałem bliżej tylko jednego, Milтона Harta z MITu. Jest to gość z charakterem, oryginalny, i właściwie anachroniczny, bo kiepsko mu się pracuje w wielkim zespole, a dziś uczony samotnik jest wymierającym mastodontem. Z wykształcenia był Hart fizykiem, a z zawodu informatykiem—programistą: to mi odpowiadało. Co prawda stykaliśmy się dotąd na osobliwym terenie, bo obaj graliśmy w mah-jonga, a nasze pozostałe kontakty były nikłe, ale podczas takiej gry właśnie można się dowiedzieć niejednego o człowieku. Jego ekscentryczność przejawiała się w tym, że wypowiadał ni stąd, ni zowąd w głos różne dziwaczne myśli, pamiętam, jak raz spytał mnie, czy nie jest możliwe, że Bóg stworzył świat nie chcący. Nigdy nie można się było zorientować, kiedy mówi coś serio, a kiedy żartuje, czy zwyczajnie pokpiwa z rozmówcy. Otwartą głowę miał na pewno; zapowiedziawszy się więc telefonicznie, pojechałem do niego w najbliższą niedzielę i jak na to liczyłem, przystał na mój konspiracyjny plan. Nie wiem, czy uwierzył mi od razu, Hart nie należy do ludzi wylewnych, w każdym razie sprawdził wszystko, co mu opowiedziałem, i jako pierwszą rzecz zrobił potem to, co mi w ogóle do głowy nie przyszło. Odłączył mianowicie nasz komputer od federalnej sieci informatycznej. Natychmiast nadzwyczajne talenty mego IBM znikły, jak ręką odjął. Tajemnicza moc nie tkwiła więc w komputerze, lecz w sieci. Jak wiecie, obecnie liczy ona ponad czterdzieści tysięcy ośrodków obliczeniowych, i jak może nie wiecie (ja o tym nie wiedziałem, dopóki mi Hart nie powiedział), ma hierarchiczną budowę, przypominającą trochę układ nerwowy kręgowca. Sieć ma węzły stanowe, a pamięć każdego z nich zawiera więcej faktów, niż mają ich wszyscy uczeni razem wzięci. Każdy abonent opłaca składkę, podług czasu pracy komputerowej, wykorzystanej w ciągu miesiąca, z jakimiś mnożnikami i współczynnikami, bo jeśli problem, który ma abonent, jest zbyt trudny dla najbliższego komputera, dystrybutor

włącza mu automatycznie posiłki, brane z rezerwy federalnej, to znaczy z komputerów idących luzem albo niedociążonych. Tym dystrybutorem, rozumie się, też jest komputer. Dbam o równomierne rozłożenie informacyjnego obciążenia całej sieci oraz pilnuje tak zwanych banków pamięci zastrzeżonej, czyli danych niedostępnych, objętych tajemnicą państwową, militarną i tak dalej. Mina mi się wydłużyła, kiedy Hart mi to mówił, bo choć niby wiedziałem, że istnieje sieć i że UPI jest jej abonentem, myślałem o tym akurat tyle, ile rozmawiając przez telefon myśli się o urządzeniach centrali telefonicznej. Hart, któremu nie brak złośliwości, zauważył, że wolałem sobie wyobrażać moje nocne tête a tête z komputerem jako romantyczne schadzki w oderwaniu od reszty świata, bo było to bardziej w stylu niesamowitych opowieści, aniżeli trzeźwa refleksja, że tkwię w gromadzie abonentów, którzy między trzecią a czwartą nad ranem zwykle śpią, przez co sieć jest wtedy najmniej obciążona i właśnie dzięki temu mój IBM mógł korzystać z jej potencjału tak, jak nigdy by nie mógł w porannym szczycie. Hart sprawdził rachunki, które UPI płaciła jako abonentka, i okazało się, że parę razy mój IBM korzystał za jednym zamachem z sześćdziesięciu do sześćdziesięciu pięciu procent całej sieci federalnej. Co prawda te nieprawdopodobne obciążenia trwały krótko, po kilkadziesiąt sekund, ale i tak ktoś powinien się być już dawno zainteresować, czemu jakiś dyżurny dziennikarz agencyjnego serwisu pobiera z sieci moc dwadzieścia razy większą od potrzebnej do obliczenia wszystkich rubryk dochodu narodowego? Wprawdzie teraz wszystko uległo skomputeryzowaniu, więc kontrola poborów informatycznych też wiadomo zaś, że komputery nie mogą się niczemu dziwić — przynajmniej dopóki rachunki płacone są punktualnie, z czym nie było problemów. ponieważ płacił je także komputer, mianowicie nasz. z UPI, buchalteryjny, więc przyschło i to, że za moje zainteresowanie pejzażem Syrtis Minor na Marsie UPI zapłaciła dwadzieścia dziewięć tysięcy dolarów, dość słono, jeśli zważyć, że nie zostało zaspokojone. W każdym razie, choć milczał wtedy jak głaz, mój komputer zrobił, co było w jego i nie tylko w jego mocy, skoro przez osiem minut jego milczenia, przerwanego wykrętnym frazesem, sieć wykonała jakieś biliony i tryliony operacji — widniało to czarno na białym, utrwalone w miesięcznym rachunku. Inna rzecz, że charakter tych syzyfowych prac pozostał dla nas kompletną zagadką. Były to jakieś czysto algebraiczne czary mary.

Ostrzegłem was, że nie jest to historia o duchach. Zjawy zza grobu, przecucia, mistyczne prorocтва, klątwy, widma pokutujące i cała reszta tych uczciwych, wyraźnych, wdzięcznych a przede wszystkim prostych stworów znikła z naszego życia raz na zawsze. Żeby dokładnie opowiedzieć o duchu, który włąził do maszyny IBM przez główną mufę sieci federalnej, należałoby rysować diagramy, pisać wzory, a jako detektywów używać jednych

komputerów, żeby się dobierały do innych. Duch nowego typu powstaje z wyższej matematyki i dlatego jest taki nieprzystępny. Moja historia musi się rozleźć, zanim postawi wam włos na głowie, bo będę teraz wykladał to, co mi powiedział Hart. Sieć informatyczna przypomina elektryczną, tyle że zamiast energii czerpie się z niej informację. Krażenie zaś, czy to energii elektrycznej, czy wiadomości, przypomina ruch wody w zbiornikach połączonych rurociągami. Prąd płynie tam, gdzie spotyka najmniejszy opór, czyli gdzie jest największe zapotrzebowanie. Jeśli przerwać jeden kabel dosyłowy, elektryczność sama szuka sobie drogi okólnymi liniami, co zresztą może doprowadzić do przeciążenia i awarii. Obrazowo mówiąc, mój IBM, kiedy tracił łączność z dalekopisem, zwracał się o pomoc do sieci, która ruszała na to hasło z szybkością kilkunastu tysięcy kilometrów na sekundę, bo tak szybko porusza się prąd w przewodach. Nim się zgrały wszystkie wezwane posiłki, mijała jedna do dwu sekund i przez ten czas właśnie komputer milczał. Potem połączenie zostawało jak gdyby odtworzone, ale w jaki sposób właściwie, o tym nie mieliśmy nadal pojęcia. Wszystko, wyjaśnione do tego miejsca, miało bardzo rzeczowy, fizyczny charakter, a nawet dawało się przeliczyć na dolary, tyle że zdobyta wiedza była czysto negatywna. Wiedzieliśmy już, co uczynić, żeby komputer stracił swoje nadzwyczajne talenty: wystarczyło w tym celu odłączyć go od informatycznej mufy. Ale nadal nie pojmowaliśmy, jak mogła mu pomóc sieć, bo i jakże właściwie dobierała się do jakiegoś Sherabadu, gdzie było akurat trzęsienie ziemi albo do sali w Rio, w której odbywał się mecz bokserski? Sieć jest zamkniętym systemem połączonych komputerów, ślepy i głuchy na cały świat zewnętrzny, z wyjściami i wejściami, którymi są dalekopisy, przystawki telefoniczne, rejestratory w korporacjach czy w urzędach federalnych, sterujące pulpity w bankach, w centralach energetycznych, w wielkich firmach, w portach lotniczych i tak dalej. Nie ma ona żadnych oczu, uszu, anten własnych, czujników zmysłowych, a ponadto nie wykracza swoim zasięgiem poza teren Stanów Zjednoczonych, więc jakże mogłaby zdobyć informacje o tym, co działo się w jakimś Iranie?

Hart, który wiedział tu akurat tyle co ja, to znaczy nic, zachowywał się jednak w sposób zupełnie odmienny od mego, bo ani sam takich pytań nie stawiał, ani mnie nie dopuszczał do głosu, kiedy go nimi chciałem zarzucić. Kiedy zaś nie udało mu się już powstrzymać mojej rozeźlonej ciekawości, i kiedy powiedziałem mu niemiłe rzeczy, które łatwo wymykają się z ust między trzecią a czwartą nad ranem po nie przespanej nocy, oświadczył mi, że nie jest wróżką, znachorem ani jasnowidzem. Sieć, jak się okazuje, przejawia własności, których nie zaplanowano w niej ani nie przewidziano; są ograniczone, jak o tym świadczy historia z Marsem, więc mają fizyczny charakter, czyli podlegają badaniu, które może przynieść po pewnym czasie określone wyniki, ale które zapewne nie

będą odpowiedziami na moje pytania, ponieważ tego rodzaju pytań w nauce stawiać nie wolno. Zgodnie z regułą Pauliego. każdy stan kwantowy może być obsadzony tylko przez jedną cząstkę elementarną, a nie przez dwie, pięć albo milion, i fizyka ogranicza się do takiego stwierdzenia, natomiast: nie wolno jej pytać, czemu ta zasada jest przez wszystkie cząstki bezwzględnie przestrzegana i co albo kto zabrania cząstkom zachowywać się inaczej. Zgodnie z zasadą indeterminizmu cząstki zachowują się w sposób tylko statystycznie określony, a w obrębie owego indeterminizmu pozwalają sobie na rzeczy ze stanowiska klasycznej fizyki nieprzyzwoite albo wręcz koszarne, bo naruszają prawa zachowania, ale ponieważ to się dzieje w przedziale nieokreśloności, nie można ich nigdy obserwować na gorącym uczynku naruszania tych praw. I znów nie wolno pytać, jak mogą cząstki pozwalać sobie na te wybryki w indeterministycznym przedziale obserwacji, skąd biorą upoważnienia do takich wyskoków, które zdają się sprzeczać ze zdrowym rozsądkiem, ponieważ sprawy takie do fizyki nie należą. W pewnym sensie doprawdy można by sądzić, że wewnątrz szpary nieokreśloności cząstki zachowują się jak przestępca zupełnie pewien bezkarności dlatego, bo wie, że na pewno nikt go in flagranti nie przyłapie, ale są to antropocentryczne sposoby mówienia, które nie tylko nie dają niczego, lecz wprowadzają w rzecz szkodliwy mętlik, bo zdają się przypisywać cząstkom elementarnym ludzkie intencje jakiejś perfidii czy chytryści. Z kolei sieć informatyczna potrafi, jak wolno sądzić, zdobywać wiadomości o tym, co się dzieje na Ziemi również i tam, gdzie tej sieci w ogóle nie ma ani też żadnych jej czujników. Oczywiście można by oświadczyć, że sieć wytwarza „własne pole percepcyjne” z „gradientami teleologicznymi”. czy też, posługując się podobną terminologią, sporządzić inne pseudo-tłumaczenie, które jednak nie będzie miało żadnej wartości naukowej; chodzi o to, aby się przekonać, co, w jakich granicach, przy jakich warunkach początkowych i brzeżnych sieć może wykonać, a cała reszta należy już do nowożytnych powieści fantastycznych. O tym, że można dowiadywać się o otoczeniu bez oczu, uszu i innych zmysłów, wiemy, bo dowodzą tego specjalnie sporządzone modele i doświadczenia. Dajmy na to, że mamy maszynę cyfrową z optymistą, dbającym o maksymalne tempo obliczeniowych procesów, i że ta maszyna może się poruszać własnym napędem po terenie, który jest w połowie zacieniony, a w połowie osłoneczniony. Jeżeli maszyna przebywając w słońcu będzie się przegrzewała i od tego tempo jej pracy spadnie, optymistą uruchomi napęd i maszyna będzie się poty błąkała po tym terenie, aż trafi w cień, gdzie ochłodłszy, będzie pracowała wydajniej. Tak więc maszyna owa, chociaż nie ma oczu, odróżnia cień od światła. Jest to przykład niezwykle prymitywny, wskazuje jednak na to, że można się orientować w otoczeniu bez posiadania jakichkolwiek zmysłów, skierowanych na zewnątrz.

Hart osadził mnie, przynajmniej na jakiś czas. i zajął się swoimi rachunkami i eksperymentami, a ja mogłem sobie myśleć, co mi się żywnie podobało. Tego nie mógł mi już zabronić. Być może. myślałem, kiedy jakieś kolejne przedsiębiorstwo włączyło swój komputer do sieci, został bez niczyjej wiedzy przekroczony próg krytyczny, i sieć stała się organizmem. Od razu przychodzi do głowy obraz molocha, potwornego pająka czy elektrycznego wielonoga. kablowymi mackami zarytego w ziemi od Gór Skalistych po Atlanty, który, wykonując zlecane mu obliczenie ilości przesyłek pocztowych i rezerwując miejsca w samolotach, jednocześnie po cichu knuje straszliwe plany owładnięcia Ziemią i wzięcia ludzkości w niewolę. Oczywiście są to bzdury. Sieć nie jest organizmem takim jak bakteria, drzewo, zwierzę czy człowiek, po prostu powyżej punktu krytycznej złożoności stała się systemem, jak systemem staje się gwiazda albo galaktyka, kiedy nagromadzi się dość materii w przestrzeni, sieć jest systemem i organizmem niepodobnym do żadnego z nazwanych, bo właśnie nowym, takim jakiego dotąd jeszcze nigdy nie było. Myśmy ją sami wprowadzili, ale nie wiedzieliśmy do samego końca, co właściwie robimy. Wykorzystywaliśmy ją. ale były to drobne uszczknięcia, ot jakby mrówki pasły się na mózgu, zajęte wyszukiwaniem tego, wśród miliarda toczących się w nim procesów, co pobudza ich czułki smakowe i szczęki. Hart przychodził zwykle na mój dyżur koło trzeciej z teczką wypchaną papierami, termosem pełnym kawy, i brał się do dzieła, a ja czułem się wystrychnięty na dudka, cóż jednak mogłem począć, skoro pod względem rzeczowym miał słuszność? Myślałem dalej, po swojemu, wpadając w koleiny dostępnych mi wyobrażeń, a więc, na przykład, przedstawiałem sobie, że świat martwych dotąd przedmiotów, linie przesyłowe, kable podmorskiego telegrafu, telewizyjne anteny, może metalowe siatki ogrodzeń, łuki i zwory mostów, szyny, wyciągi, struny w betonowych gmachach, że wszystko to, za impulsem sieci, ulega nagłemu sprzęgnięciu w jeden olbrzymi układ śledzący, któremu przewodzi akurat mój IBM przez liczone sekundy, bo do tego, że on właśnie stał się ośrodkiem krystalizacyjnym tej potencji, doprowadziło parę błahych przypadków. Ale nawet te moje majaki nie wyjaśniały, chociażby w jakiś mglisty sposób, zdumiewających i tak konkretnych szczegółów, jak talent przewidywania zająć, jak jego dwuminutowe ograniczenie — musiałem więc zmuszać się do milczącej cierpliwości, bo widziałem wszak, że Hart daje z siebie wszystko.

Przechodzę do faktów. Omawialiśmy z Hartem dwie rzeczy — praktyczne zastosowania efektu i jego mechanizm. Wbrew pozorom, praktyczne perspektywy efektu stu trzydziestu siedmiu sekund nie są ani specjalnie wielkie, ani doniosłe, mają raczej spektakularny charakter — niesamowitego wyczynu. Decyzje, które przesądzą o losach

narodów i o biegu historii światowej, nie mieszczą się na ogół w przedziale dwu minut, ponadto zaś dwuminutowe przepowiadanie przyszłości potyka się o niby drugorzędą, lecz zasadniczą, przeszkodę: po to, żeby komputer zaczął stawiać te swoje nieomyślne prognozy, trzeba pierwiej wprowadzić go na określony trop, nakierować go. a wymaga to czasu, zwykle dłuższego od dwu minut, więc chodzi o zysk pod względem praktycznym przeważnie od razu roztrwoniony. Granicy przewidywania nie można przesunąć ani o ułamek sekundy. Hart przypuszczał, że jest to jakaś stała, constans, o uniwersalnym, chociaż nie znanym nam dotąd charakterze. Zapewne można by bawić się w rozbijanie banków wielkich domów gry, myśleć o zyskach czerpanych z ruletki na przykład, lecz koszt zainstalowania odpowiednich urządzeń byłby niemały (IBM kosztuje ponad cztery miliony dolarów), a zorganizowanie dwukierunkowej łączności, i do tego skrzętnie skrywanej, między graczem przy stole a ośrodkiem obliczeniowym też byłoby niełatwym do zgryzienia orzechem, nie mówiąc już o tym, jak prędko zorientowano by się w tym, że coś jest nie w porządku: zresztą takie wykorzystanie efektu obu nas nie interesowało.

Hart sporządził fragmentaryczny katalog osiągnięć naszego komputera. Jeśli spytacie go o płeć dziecka, które ma Me za dwie minuty urodzić konkretnej kobiecie w konkretnym miejscu, rozpozna tę płeć niezawodnie, lecz trudno uznać taką prognozę za coś godnego zachodu. Jeżeli zaczniecie rzucać monetą lub kostką do gry, podając komputerowi wyniki początkowe serii rzutów, a polem urwiecie podawanie informacji, wyliczy wyniki wszystkich następnych rzutów aż do stu trzydziestu siedmiu sekund w przyszłość, i to jest już wszystko. Musicie oczywiście naprawdę rzucać tą kością czy monetą i podawać komputerowi kolejne wyniki, co najmniej w ilości trzydziestu sześciu do czterdziestu, co silnie przypomina wprowadzanie psa na właściwy trop, jeden z miliardów, bo wszak w tym samym momencie Bóg wie, ilu ludzi rzuca monetami czy kośćmi, a komputer, który jest głuchy i ślepy, musi zidentyfikować w owym zbiorze waszą serię rzutów jako tę jedyną, o którą chodzi. Musicie też naprawdę rzucać kością lub monetą. Jeśli przestaniecie nią rzucać, będzie wystukiwał same zera, a jeśli rzucicie tylko dwa razy, poda tylko te dwa kolejne wyniki. Także i do tego niezbędna jest mu łączność z siecią, chociaż na zdrowy rozum sieć nie może mu w niczym pomóc, skoro rzucacie kością o dwa kroki od niego — i cóż tu ma do rzeczy owa sieć? Wszystko w tym sensie, że odłączony od niej nie wyduka ani sylaby, a nic w tym, że nie pojmujemy tego związku. Zauważcie, że komputer wie z góry, czy będziecie, czy też nie będziecie rzucali kością, a zatem przewiduje rozwój całej sytuacji, to jest nie tylko los kości, to, jakimi powierzchniami do góry upadną, ale i wasz własny los. przynajmniej w obrębie decyzji rzucania lub nierzucania kością. Robiliśmy też i takie próby, że postanawiałem rzucać

na przykład sześć razy po kolei, a Hart miał mi to na przemian udaremnić lub umożliwić, przy czym nie znałem jego decyzji w danych rzutach. Okazało się, że komputer zna z góry nie tylko mój plan rzucania, ale i postanowienia Harta, czyli wiedział, kiedy Hart zamierza chwycić mnie za rękę trzymającą kubek, żebym nie mógł wykonać następnego rzutu. Raz zdarzyło się, że chciałem rzucić cztery razy pod rząd, a rzuciłem tylko trzy w przedziale właściwego czasu, ponieważ potknąłem się o leżący na podłodze kabel i nie zdążyłem rzucić kości w porę. Otóż komputer przewidział jakoś to moje potknięcie, dla mnie samego najzupełniej niespodziewane, więc wiedział wtedy o mnie znacznie więcej niż ja sam. Obmyślaliśmy znacznie bardziej skomplikowane sytuacje, w których miałyby uczestniczyć wielu ludzi naraz, ot na przykład takie, żeby doszło do walki, nie pozorowanej, o kubek z kośćmi, ale nie wypróbowaliśmy takich wariantów, bo wymagały czasu i zachodu, na które nie mogliśmy sobie pozwolić. Hart użył też zamiast kości małego przyrządu, w którym poszczególne atomy izotopu rozpadają się, a na ekranie pojawiają się błyski, tak zwane scyntylacje: komputer nie umiał przewidzieć ich dokładniej, niż by to zrobił fizyk, to znaczy podawał tylko prawdopodobieństwa rozpadu. Kości ani monety to ograniczenie nie dotyczy. Widocznie dlatego, bo są makroskopowymi przedmiotami. Ale w naszym mózgu przecież o decyzjach przesądzają procesy mikroskopowe. Widocznie, mówi Hart, nie mają one kwantowego charakteru.

W całym obrazie zdają się tkwić sprzeczności. Dlaczego komputer może przewidzieć to, że potknę się za dwie minuty, chociaż gdy stawia prognozę, sam nie wiem jeszcze o tym, że wykonam ów krok, który doprowadzi do potknięcia, a zarazem nie może przewidzieć, które atomy radioaktywnego izotopu się rozpadną? Sprzeczność, twierdzi Hart, nie znajduje się w samych zdarzeniach, lecz jest własnością naszych wyobrażeń o świecie, a zwłaszcza o czasie. Hart uważa, że to nie komputer przewiduje przyszłość, ale że i o my jesteśmy w pewien osobliwy sposób ograniczeni w postrzeganiu świata. Oto jego słowa: „Jeżeli wyobrazić sobie czas jako linię prostą, rozciągniętą z przeszłości w przyszłość, nasza świadomość jest jak koło, toczące się po tej linii i dotykające jej zawsze tylko w jednym punkcie: ten punkt nazywamy teraźniejszością, która niezwłocznie staje się chwilą minioną i ustępuje miejsca następnej. Badania psychologów wykazały, że to, co bierzemy za moment teraźniejszy, wyzbyty rozciągłości czasowej, jest w istocie odrobinę wydłużone i obejmuje nieco mniej niż pół sekundy. Otóż jest możliwe, że styk z tą linią, jaką stanowi czas, może być jeszcze szerszy, że można przebywać w kontakcie z jej większym odcinkiem naraz, i że maksymalne rozmiary tego odcinka czasowego wynoszą właśnie sto trzydzieści siedem sekund”.

Jeżeli tak jest naprawdę, powiada Hart, to cała nasza fizyka wciąż jest jeszcze antropocentryczna, bo wychodzi z założenia, że świat jest inny, niż dziś głosi fizyka, a jasnowidzenie, jako przepowiadanie przyszłości, elektronowe czy nieelektronowe, nigdy nie zachodzi. Fizyka przeżywa koszarne kłopoty w związku z czasem, który podług jej ogólnych teorii i praw właściwie powinien być doskonale odwracalny, ale nie jest taki wcale. Ponadto zagadnienie pomiarów czasu w skali zjawisk wewnątrzatomowych nasuwa rozmaite trudności, tym większe, im mniejszy jest czasowy interwał do ustalenia. Być może wynika to stąd, że pojęcie teraźniejszości nie tylko jest tak względne, jak o tym mówi teoria Einsteina, czyli jest uzależnione od lokalizacji obserwatorów, ale że jest, też zależne od samej skali zjawisk w tym samym „miejscu”.

Komputer przeżywa po prostu w swojej teraźniejszości fizycznej i ta teraźniejszość jest bardziej rozległa w czasie aniżeli nasza. To, co dla nas ma dopiero nastąpić za dwie minuty, dla komputera już się staje właśnie tak samo, jak dla nas to, co teraz dostrzegamy i czujemy. Nasza świadomość jest tylko częścią tego wszystkiego, co zachodzi w naszym mózgu, i kiedy postanawiamy rzucić kością tylko jeden raz, aby „oszukać” komputer, który ma przewidzieć całą serię rzutów, on się od razu o tym dowiaduje. W jaki sposób? To możemy sobie wyobrazić tylko posługując się prymitywnymi przykładami: błysk i grzmot wyładowania atmosferycznego są równoczesne dla obserwatora bliskiego, a różne w czasie dla oddalonego; błysk, w tym przykładzie, to moja milcząco powzięta decyzja, żeby zaprzestać rzucania kością za kilkanaście sekund, a grzmot to chwila, w której rzeczywiście zaniecham kolejnego rzutu; otóż komputer, w jakiś niewiadomy sposób potrafi wychwycić z mojego mózgu „błysk”, czyli powzięcie tej decyzji; Hart powiada, że ma to ważne konsekwencje filozoficzne, oznacza bowiem, iż jeśli mamy wolną wolę, rozpościera się ona dopiero poza granicami stu trzydziestu siedmiu sekund, tyle że nam samym z introspekcji nic o tym nie wiadomo. W obrębie tych stu trzydziestu siedmiu sekund mózg nasz zachowuje się podobnie jak ciało, które się porusza bezwładnie i nie może zmienić nagle kierunku ruchu, do tego niezbędny jest czas, w którym będzie działała odchyłająca tor siła, i coś w tym rodzaju dzieje się w każdej ludzkiej głowie. Wszystko to nie dotyczy jednak świata atomów i elektronów, bo tam komputer jest tak samo niezaradny jak nasza fizyka. Hart sądzi, że czas nie jest naprawdę jakąś linią, lecz jest to raczej continuum, które na poziomie makroskopowym ma zupełnie inne własności niż „na dole”, tam, gdzie są już tylko atomowe wymiary. Hart przypuszcza, że im pewien mózg lub układ mózgowopodobny jest większy, tym szerszy jest obszar jego styku z czasem, czyli z tak zwaną „teraźniejszością”, natomiast atomy

właściwie nie stykają się z nią wcale, lecz niejako wciąż wokół niej tańczą. Jednym słowem terażniejszość to coś w rodzaju trójkąta: punktowa, dozerowa tam, gdzie są elektrony i atomy, a najszersza tam, gdzie są wielkie ciała, obdarzone świadomością. Jeżeli powiecie, że nie zrozumieliście z tego ani słowa, odpowiem wam, że ja też tego nie rozumiem i co więcej, Hart nigdy nie ośmieliłby się mówić takich rzeczy z katedry czy opublikować ich w naukowym piśmie. Właściwie powiedziałem wam już wszystko, co zamierzałem opowiedzieć i pozostają mi tylko dwa epilogi, jeden rzeczowy, a drugi stanowiący rodzaj ponurej anegdoty, którą odstępuję wam bez zysku.

Pierwszy był taki, że Hart przekonał mnie i sprawę wzięli w ręce fachowcy. Jeden z nich, wysoka figura, powiedział mi po kilku miesiącach, że po rozebraniu i ponownym złożeniu komputera zjawiska nie udało się już więcej odtworzyć. Nie tyle to wydało mi się podejrzane, ile fakt, że specjalista, z którym mówiłem, był w mundurze. A i to jeszcze, że ani jedna zgłoszka tej sprawy nie dostała się do prasy. Sam Hart został od badań szybko odsunięty. On też nie chciał poruszać tego tematu i tylko raz, po wygranej partii mah-jonga, powiedział mi z tego, ni z owego, że sto trzydzieści siedem sekund nieomylnego przepowiadania to w pewnych okolicznościach różnica między zagładą i ocaleniem kontynentu. Na tym utknął, jakby się ugryzł w język, ale, już wychodząc od niego, zobaczyłem na biurku otwarty tom jakiejś pracy, naszpikowanej matematyką, o raketach zwalczających głowice nuklearne. Być może, miał na myśli takie właśnie pojedynki raket. Ale to są już moje domysły.

Drugi epilog zdarzył się tuż przed pierwszym, dosłownie w pięć dni przed najazdem chmary rzeczoznawców. Powiem wam, co wtedy zaszło, ale nie będę tego komentował i z góry odmawiam odpowiedzi na wszelkie pytania. Były to już ostatki naszych samotnych eksperymentów. Hart miał przyprowadzić na mój dyżur pewnego fizyka, któremu roilo się, że efekt stu trzydziestu siedmiu pozostaje w związku z tajemniczą liczbą sto trzydzieści siedem, podobno pitagorejskim symbolem podstawowych własności Kosmosu: pierwszy zwrócił uwagę na tę liczbę już nieżyjący astronom angielski, Eddington. Ów fizyk nie mógł jednak przyjść i Hart zjawił się sam. koło trzeciej, kiedy numer szedł na maszyny. Hart nauczył się wprost fenomenalnie postępować z komputerem. Dokonał kilku prostych usprawnień, które ogromnie ułatwiły nasze próby. Nie trzeba już było wyciągać wtyczki z gniazdka, bo w kablu był przycisk, i jednym dotknięciem palca odłączało się dalekopis od komputera. Jak już wiecie, nie można go o nic pytać wprost, ale można mu przekazywać dowolne teksty przypominające ten rodzaj bezosobowo zredagowanej informacji, jakim odznaczają się notatki prasowe.

Mieliśmy zwykłą elektryczną maszynę do pisania, pełniącą rolę dalekopisu.

Wystukiwało się na niej odpowiednio ułożony tekst i urywało się go w wybranym z góry momencie, tak by komputer został niejako zmuszony do kontynuowania sfingowanej „wiadomości”.

Hart przyniósł tej nocy kostki do gry i rozkładał właśnie swoje rzeczy, kiedy zadzwonił telefon. Był to dyżurny linotypista. Blackwood. Należał do wtajemniczonych.

— Słuchaj — mówi — mam tu Amy Foster. wiesz, żonę Billa. udało mu się uciec ze szpitala, wpadł do domu, zabrał jej siłą klucze od wozu. wsiadł i pojechał, no, we wiadomym stanie, dała już znać policji, a teraz przyleciała tutaj, że może my jej coś pomożemy. Ja wiem. że to nie ma sensu, ale jest ten twój prorok — może on by coś skombinował, jak myślisz?

— Nie wiem — mówię — nie wyobrażam sobie... ale... wiesz... trudno ją tak odprawić, słuchaj, przyslij ją do nas, niech pojedzie służbową windą.

A ponieważ ta jazda musiała trwać chwilę, zwróciłem się do Harta i tłumaczę mu. że nasz kolega, dziennikarz. Bill Foster. w ostatnich dwu latach rozpił się. pociągał nawet na dyżurach, aż go wylano z pracy, wzmocnił to wtedy psychodelikami. miał w ciągu miesiąca dwa poważne wypadki samochodowe, bo prowadził półprzytomny, odebrano mu prawo jazdy, w domu było piekło, wreszcie żona oddała go z ciężkim sercem na kurację odwykową, a teraz wymknął się jakoś ze szpitala, wrócił do domu. zabrał auto i wyjechał nie wiadomo dokąd — rozumie się. co najmniej pijany. Może i po narkotyku. Żona przyszła tu. policji dała już znać, szuka pomocy, rozumie pan. doktorze, jak to jest. Właśnie zaraz tu będzie. Jak pan uważa — możemy coś zrobić? I pokazuję oczami komputer.

Hart nie zdziwił się. nie jest to człowiek, którego łatwo zaskoczyć, i powiada: — Cóż ryzykujemy? Proszę połączyć maszynę z komputerem. — Jeszczem to robił, kiedy pojawiła się Amy. Widać było po niej, że nie dała mu tak od razu tych kluczyków. Hart podsunął jej krzesło i powiada: — Proszę pani. chodzi nam o czas. nieprawdaż? Więc proszę nie dziwić się żadnym pytaniom, które będę pani zadawał, tylko proszę odpowiadać podług najlepszej wiedzy. Najpierw potrzebne mi są dokładne dane osobiste męża: imię, nazwisko, wygląd, i tak dalej.

Ona, nieźle nawet opanowana, tylko ręce się jej trzęsą, mówi:

— Robert Foster, Sto trzydziesta szósta Ave., dziennikarz, trzydzieści siedem lat, pięć stóp siedem cali wzrostu, brunet, nosi rogowe okulary, na szyi poniżej lewego ucha ma białą bliznę po wypadku, sto sześćdziesiąt dziewięć funtów wagi. grupa krwi zero... czy to wystarczy?

Hart nie odpowiada, lecz zaczyna stukać. Równocześnie na ekranie pojawia się tekst: „Robert Foster, zamieszkały przy Sto trzydziestej szóstej ulicy, mężczyzna średniego wzrostu,

z białą blizną poniżej lewego ucha. o grupie krwi zero. wyjechał dziś z domu autem —

— Proszę o markę i rejestrację wozu — to do niej.

— Rambler. N.Y., sześćset pięćdziesiąt siedem dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa.

— .”Wyjechał dziś z domu autem marki Rambler. N.Y. sześćset pięćdziesiąt siedem dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa i znajduje się obecnie...”

Tu doktor naciska wyłącznik. Komputer zdany jest na siebie. Nie waha się ani chwili, tekst na ekranie rośnie:

„I znajduje się obecnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Zła widoczność, spowodowana deszczem, przy niskiej powłoce chmur, utrudnia prowadzenie.”

Hart wyłącza komputer. Namysła się. Zaczyna pisać jeszcze raz od początku, z tą różnicą, że po „znajduje się”, pisze dalej „na odcinku drogi pomiędzy” — tu wyłącza znów dopływ informacji. Komputer kontynuuje bez wahania: „Nowym Jorkiem a Waszyngtonem. Jadąc skrajnym pasem, wyprzedza długą kolumnę samochodów ciężarowych i cztery cysterny SHELLA, przekroczywszy dozwoloną szybkość maksymalną”.

— To już jest coś — mruczy Hart — ale nie wystarcza nam kierunek, musimy wycisnąć więcej. Każe mi skasować to, co było, i zaczyna jeszcze raz. „Robert Foster... i tak dalej... znajduje się na odcinku drogi pomiędzy N.Y. a Waszyngtonem, pomiędzy kamieniem milowym numer...” tu wyłącza kabel. Komputer robi wtedy coś. czegośmy jeszcze nie widzieli. Anuluje część tekstu, który już się pojawił na ekranie, i czytamy: „Robert Foster... wyjechał z domu... i znajduje się obecnie w mleku na poboczu drogi Nowy Jork — Waszyngton. Należy się obawiać, że strata, poniesiona przez firmę Muller–Ward, nie zostanie pokryta przez Towarzystwo Ubezpieczeniowe United TWC, ponieważ wygasła przed tygodniem polisa nie została odnowiona”.

— Czy on zwariował? — mówię. Hart daje mi znak, żebym siedział cicho. Zaczyna pisać jeszcze raz. dochodzi do krytycznego miejsca i wystukuje: „znajduje się obecnie na poboczu drogi Nowy Jork — Waszyngton w mleku. Jego stan...” — tu urywa. Komputer ciągnie dalej: „jest taki, że nie nadaje się do spożycia. Z obu cystern uszło łącznie 29 hektolitrow. Przy obecnych cenach rynkowych...”

Hart każe mi skasować to i mówi do siebie „typowe nieporozumienie, był w porządku z gramatyką, bo „jego” mogło się odnosić tak do Fostera, jak do mleka. Jeszcze raz!”

Włączam komputer. Hart uparcie pisze ten dziwaczny „komunikat”, po owym mleku daje kropkę i młóci od nowej linii „Stan Roberta Fostera w obecnej chwili jest...” urywa, komputer zaś zamiera na sekundę, potem oczyszcza cały ekran — mamy przed sobą pusty, mgławo świecący kwadrat bez jednego słowa — wyznaję, że włosy zaczęły mi stawać na

głowie. Potem formułuje się tekst: „Robert Foster nie jest w żadnym poszczególnym stanie, ponieważ właśnie przecinał autem marki Rambler N.Y. 657 992 granicę międzystanową”. A żeby cię diabli wzięli... myślę, oddychając z ulgą. Hart. z twarzą wykrzywioną nieprzyjemnym śmieszkiem, znów poleca mi znakiem skasować wszystko i bierze się do tego od początku. Po słowach „Robert Foster przebywa obecnie w miejscu, którego lokalizacja opiewa” — naciska wyłącznik. Komputer kontynuuje: „rozmaicie w zależności od tego. jakie kto żywi na ów temat poglądy. Należy uznać, iż chodzi o osobiste opinie, których podzielenia, zgodnie z naszymi obyczajami i naszą Konstytucją, nikomu nie można narzucać. W każdym razie tego zdania jest nasze pismo”. Hart wstaje, sam wyłącza komputer i daje mi głową dyskretny znak, żebyśmy wyprowadził Amy, która, jak mi się zdaje, nic z tej całej magii nie rozumiała. Kiedy wróciłem, telefonował, ale mówił tak cicho, że nic nie dosłyszałem. Odłożywszy słuchawkę, popatrzał na mnie i mówi:

— Przejechał na przeciwbieżny pas i czołowo zderzył się z cysternami, które wiozły mleko do Nowego Jorku. Żył jeszcze około minuty, kiedy wyciągali go z wozu; dlatego on się wyraził najpierw „znajduje się w mleku”. Kiedy powtórzyłem ten fragment po raz trzeci, już było po wszystkim, no, i w samej rzeczy można żywić rozmaite opinie na temat, gdzie przebywa się po śmierci, a nawet, czy przebywa się wtedy gdziekolwiek.

Jak widzicie z tego, wykorzystywanie tak nadzwyczajnych szans, jakie daje nam postęp, nie zawsze jest rzeczą łatwą, nie mówiąc już o tym, że może to być dosyć koszmarna zabawa — zważywszy mieszaninę żargonu dziennikarskiego i bezbrzeżnej naiwności, czy, jeśli wolicie, obojętności na ludzkie sprawy, jaką — siłą rzeczy — okazuje maszyna elektronowa. Możecie w wolnej chwili porozprawiać o tym, co wam opowiedziałem. Sam nie mam już nic, ale to nic do dodania. Osobiście wolałbym posłuchać teraz innej jakiejś historii, żeby o tej zapomnieć.